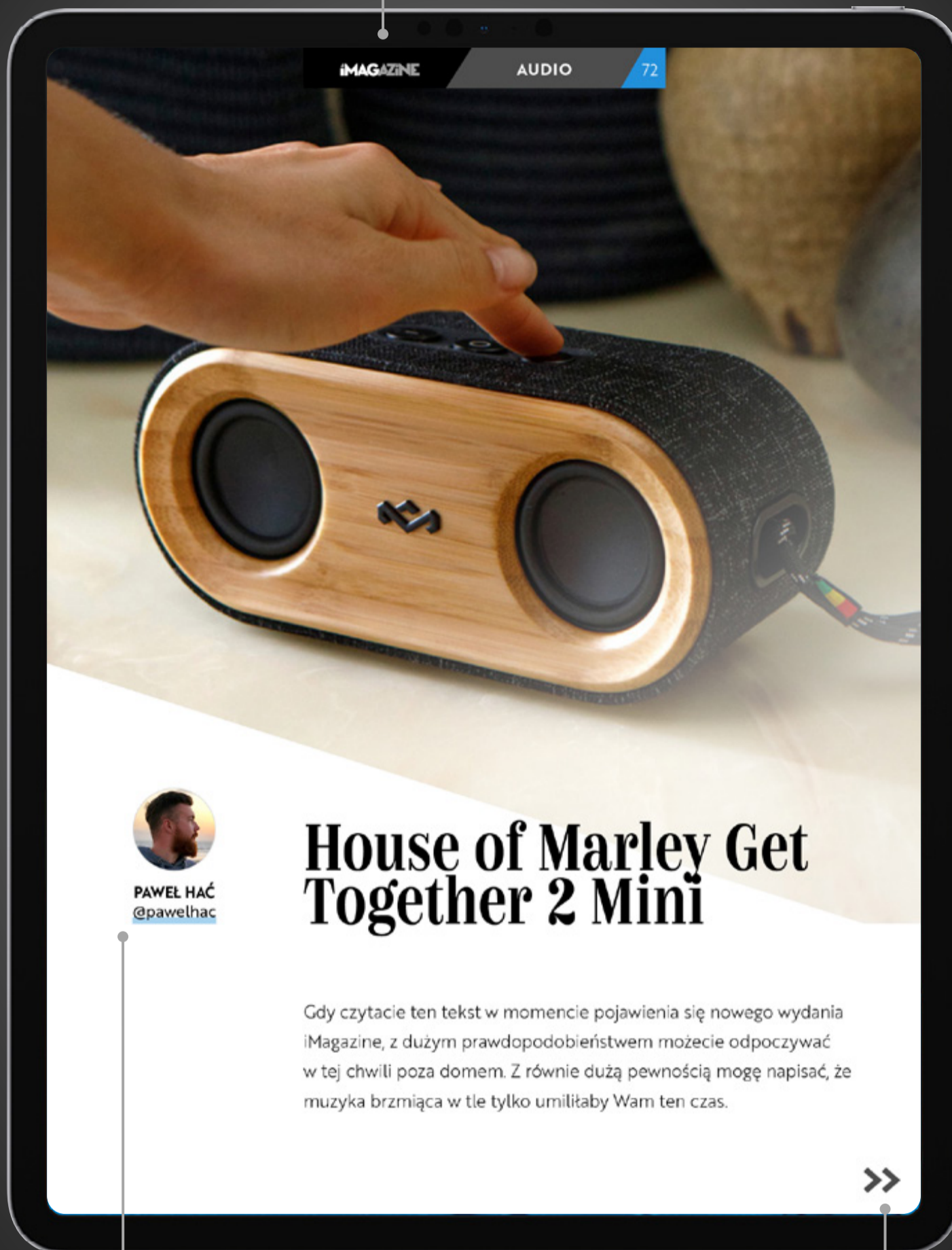


iMAGAZINE

5/2024 (161) / ISSN 2082-3630 / imagazine.pl



tapnij by przejść do menu/spisu treści



PAWEŁ HAĆ
[@pawelhac](#)

House of Marley Get Together 2 Mini

Gdy czytacie ten tekst w momencie pojawienia się nowego wydania iMagazine, z dużym prawdopodobieństwem możecie odpoczywać w tej chwili poza domem. Z równie dużą pewnością mogę napisać, że muzyka brzmiąca w tle tylko umiliłaby Wam ten czas.



[przejdź do Twittera autora](#)

[przeciągnij w prawo](#)





Bezprzewodowe słuchawki nauszne Px8

Bez hałasu, bez kompromisów. W nowym kolorze.

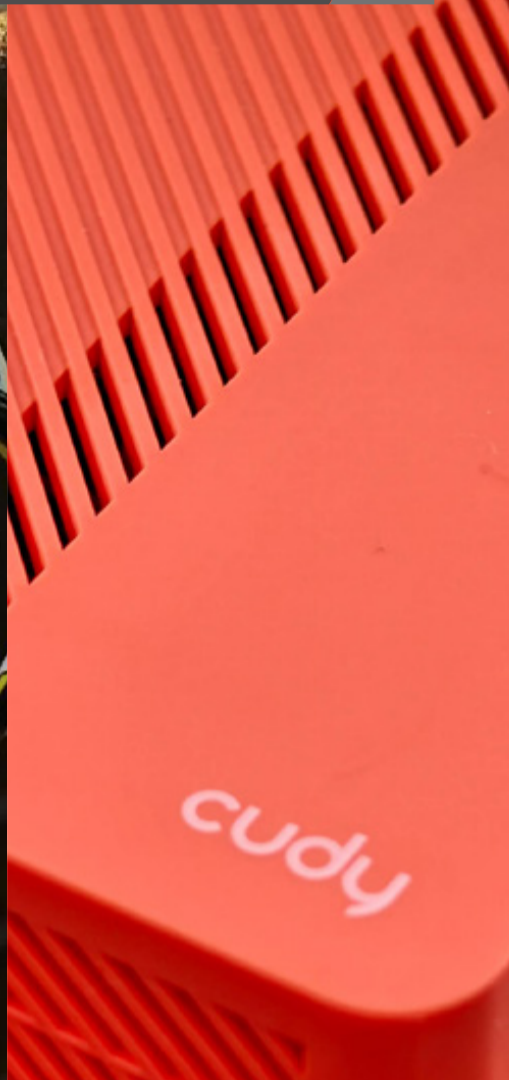
Słuchawki klasy premium, które stanowią punkt odniesienia pod względem oferowanej jakości dźwięku, designu i komfortu użytkowania. Teraz dostępne w nowym, zachwycającym kolorze Royal Burgundy. Zastosowano w nich innowacyjne rozwiązania techniczne, m.in. przetworniki z karbonowymi membranami inspirowane kolumnami głośnikowymi z serii 700. Ta dbałość o detale wynosi Px8 na jeszcze wyższy poziom pod względem szczegółowości, rozdzielczości i przestrzenności brzmienia.



**Polacy wśród laureatów
Apple Swift Student
Challenge 2024**
Dominik Łada



OnePlus Watch 2 – rewolucja
Dańsz Hałas



**Cudy TR1200 i Cudy
TR3000**
Dańsz Hałas



**StethoMe – rodzicielski
must have**
Paweł Hać

Okiem Pawła Jońcy

7 Okiem Pawła Jońcy

Aktualności

14 Aktualności

WWDC 2024

54 Polacy wśród laureatów Apple Swift Student Challenge 2024 | *Dominik Łada*

Productivity

67 Mam mózg wyprany przez Apple. A Ty? | *Michał Śliwiński*

Lifestyle

76 Lifestyle | *Dominik Łada*

81 Cartier Santos-Dumont | *Wojtek Pietrusiewicz*

Technokultura

88 Dwie prędkości rozwoju, czyli tam, gdzie Polska jest królową | *Ania Gabryś*

Audio

92 House of Marley Get Together 2 Mini | *Paweł Hać*

98 Sudio audio – słuchawki i głośnik | *Agnieszka Serafinowicz*

107 Logitech Astro A30 – The Mandalorian Edition – wyższy poziom grania | *Paweł Hać*

Sprzęt

115 OnePlus Watch 2 – rewolucja | *Dariusz Hałas*

123 Cudy TR1200 i Cudy TR3000 – Tego potrzebowałem | *Dariusz Hałas*

133 Lenovo Legion GO – ultramobilny, gamingowy PC | *Paweł Hać*

142 Realme 12 Pro+ 5G – uczciwa cena | *Paweł Hać*

150 StethoMe – rodzicielski must have | *Paweł Hać*

156 Oclean X Ultra S | *Wojtek Pietrusiewicz*

158 RØDEcaster Duo + NT-1 | *Jan Urbanowicz*

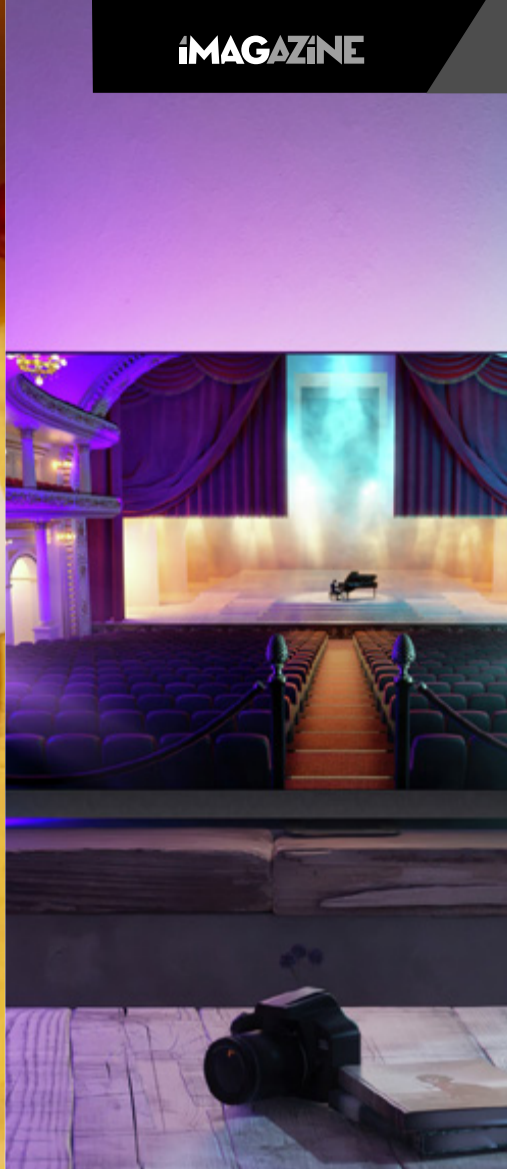
170 BenQ PD3225U – monitor dla macusera | *Paweł Okopień*

175 Thule Subterra 2 – kolejna generacja praktycznych plecaków | *Paweł Okopień*





Sudio audio
– słuchawki i głośnik
Agnieszka Serafinowicz



Philips TV i sportowe emocje? Odkryj najlepsze doświadczenia
Paweł Okopień



Fallout
Jan Urbanowicz



BMW X2 i iX2 – pierwsze wrażenia
Wojtek Pietrusiewicz

TV

- 180** Nowe telewizory Sony BRAVIA – jest na co czekać | Paweł Okopień
- 185** Philips TV i sportowe emocje? Odkryj najlepsze doświadczenia | Paweł Okopień
- 191** Hisense UXKQ 65" – nowy lider Państwa Środka | Paweł Okopień

Mobilność

- 196** Audi S3 (i A3) to już baby-RS3 | Wojtek Pietrusiewicz
- 202** BMW X2 i iX2 – pierwsze wrażenia | Wojtek Pietrusiewicz
- 213** Mazda MX-30 R-EV – a niby to tylko nowy napęd | Paweł Hać
- 223** Hyundai Ioniq 6 – ekstrawertyk | Dariusz Hałas
- 236** VW ID.7 Special Edition | Dariusz Hałas
- 245** Land Rover Defender V8 130. Gdy nie lubisz kompromisów | Dariusz Hałas
- 254** Culture. Harmonia rowerowa | Napoleon Bryl

Gry

- 260** Rise of the Ronin – życie to walka | Paweł Hać
- 270** Fallout Shelter | Wojtek Pietrusiewicz
- 272** LaGuardia International Airport (KLGa) | Wojtek Pietrusiewicz

- 277** Bologna Guglielmo Marconi Airport (LIPE) | Wojtek Pietrusiewicz

Porady

- 282** Dokładna lokalizacja w aplikacjach | Maciej Skrzypczak

Felietony

- 285** Zwolnij, biegaczu! | Krzysztof Kołacz
- 289** AI po naszymu, czyli czego oczekujemy po WWDC 2024 | Krzysztof Kołacz
- 293** Czy potrzebujemy przeprojektowanego Apple Watcha? | Krzysztof Kołacz

Film

- 297** Fallout | Jan Urbanowicz
- 300** Civil War | Jan Urbanowicz
- 304** Premiery streamingowe maj 2023 | Jan Urbanowicz

Muzyka

- 306** Czy istnieje zła muzyka? | Maciej Szamowski

Makowa kuchnia

- 309** Sałatka ziemniaczana z kielbasą i jabłkiem | Małgorzata Łada





GO4

Dowiedz się więcej



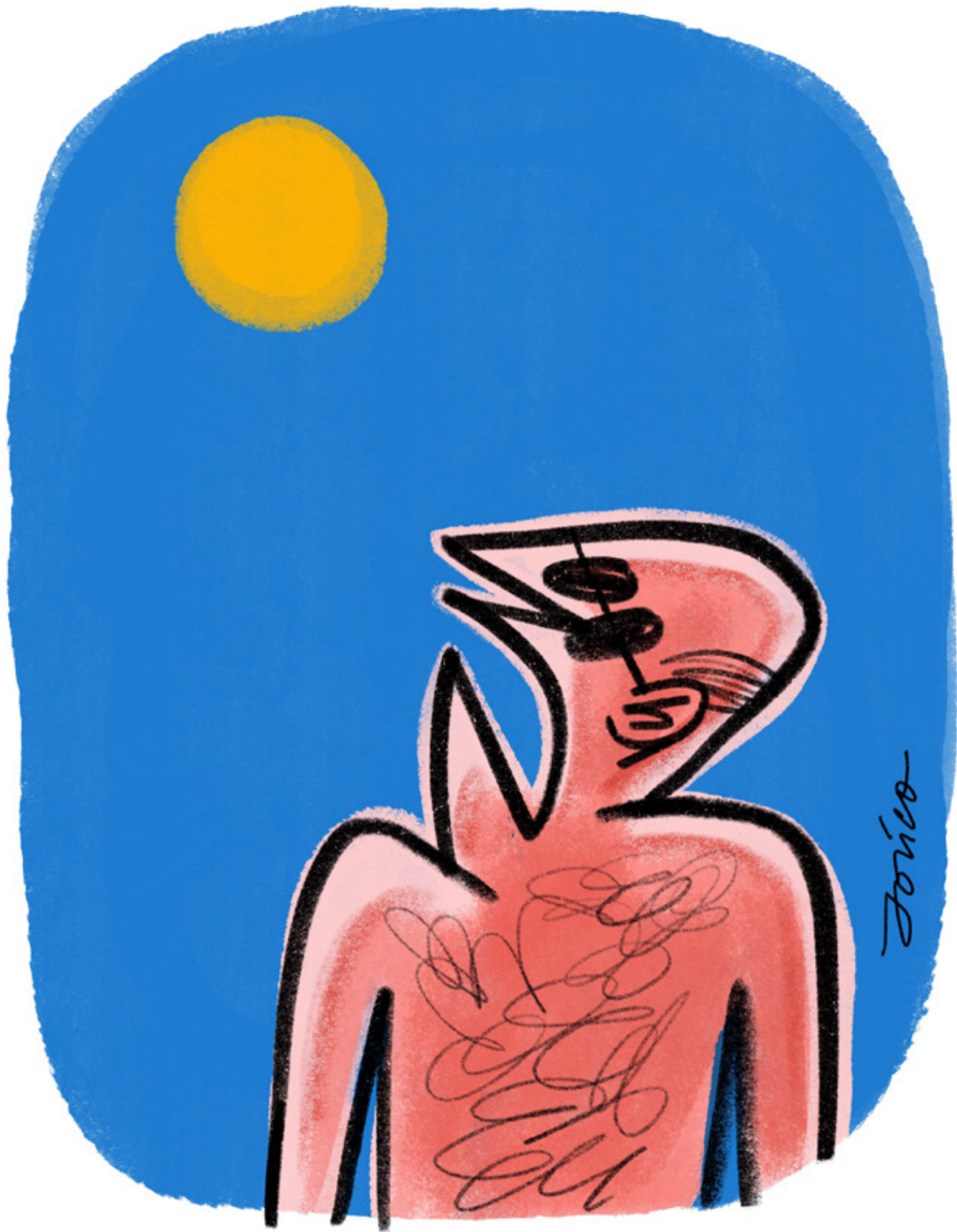
ZABIERZ GO GDZIE ZECHCESZ!

Odważny i kolorowy głośnik **Bluetooth** z potężnym brzmieniem **JBL Pro Sound**. Mieści się w dłoni, jest wodoodporny i pyłoszczelny (**IP67**). Nawet **7** godzin odtwarzania plus 2 godziny z **Playtime Boost**. Sparowanie dwóch **Go 4** daje dźwięk stereo, a bezprzewodowe połączenie wielu głośników JBL z obsługą **Auracast™** zapewnia jeszcze potężniejsze brzmienie.

Aplikacja **JBL Portable** i materiały pochodzące z recyklingu.

© 2024 Harman International Industries, Incorporated. Wszelkie prawa zastrzeżone. JBL to znak towarowy należący do HARMAN International Industries, Incorporated, zarejestrowany w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach. Dane techniczne, ceny i wygląd produktów mogą ulec zmianie bez uprzedzenia.





"Teraz za ciepło!"



PAWEŁ JOŃCA
[@paweljonca](#)



CREATIVE



CREATIVE ZEN[®] AIR PRO

SŁUCHAWKI KTÓRE ŁĄCZĄ LUDZI – LE AUDIO

Nowe bezprzewodowe słuchawki dokanałowe, które oferują imponujący łączny czas odtwarzania wynoszący aż 33 godziny. Wyposażone w 10-milimetrowe dynamiczne przetworniki oraz zaawansowane Bluetooth 5.3 z kodekiem audio AAC, zapewniają wciągające doznania dźwiękowe. Dodatkowo, wyposażone są w hybrydową aktywną redukcję szumu (ANC), tryb Ambient oraz posiadają certyfikat odporności na zachlapanie IPX5. Dzięki *Bluetooth*[®] LE Audio, nowej generacji bezprzewodowego strumieniowania dźwięku, możesz cieszyć się niezakłóconym, wolnym od opóźnień brzmieniem oraz możliwością słuchania muzyki wraz z innymi osobami z jednego źródła dźwięku.

1 W oparciu o średni poziom głośności. Rzeczywisty czas pracy baterii zależy od ustawień użytkownika, utworów i warunków otoczenia.

33 HRS
TOTAL
PLAYTIME

9 HRS
PER
CHARGE

5.3
LE AUDIO

ULTRA-LOW
LATENCY

HYBRID
ANC

AMBIENT
MODE

DYNAMIC
DRIVERS

DNN
TECHNOLOGY

SIX MICS

IPX5

RTV EURO AGD
euro.com.pl

pl.creative.com



Majówka przed nami, a zapewne dla części z was nawet już w trakcie... Idealny moment na lekturę majowego wydania iMagazine.

Wiecie, że mamy w tym roku aż czterech finalistów Apple Swift Student Challenge, konkursu odbywającego się przy okazji WWDC? Co więcej, jeden z nich jest zwycięzcą! Zapraszam do wyjątkowego materiału o Wicie i trzech Jakubach. Tylko u nas poznacie tych niesamowitych chłopaków. Jestem pewien, że jeszcze nie raz o nich usłyszycie.

Majówka to podróże, te małe i te trochę większe, dlatego warto zobaczyć, czym wybrać się w wygodną podróż, na czym i w co podczas tej podróży pograć, jak najwygodniej słuchać muzyki i nie tylko.

Ze swojej strony mocno polecam testy najnowszego, polskiego unikalnego produktu – StethoMe – dzięki któremu telemedycyna wreszcie staje się praktyczna.

Trzymamy kciuki za pogodę. Korzystajcie w wolnego czasu, spędzajcie go aktywnie, a wieczorami zapraszamy do nas. Wydanie świetne!

Zapraszam do numeru!

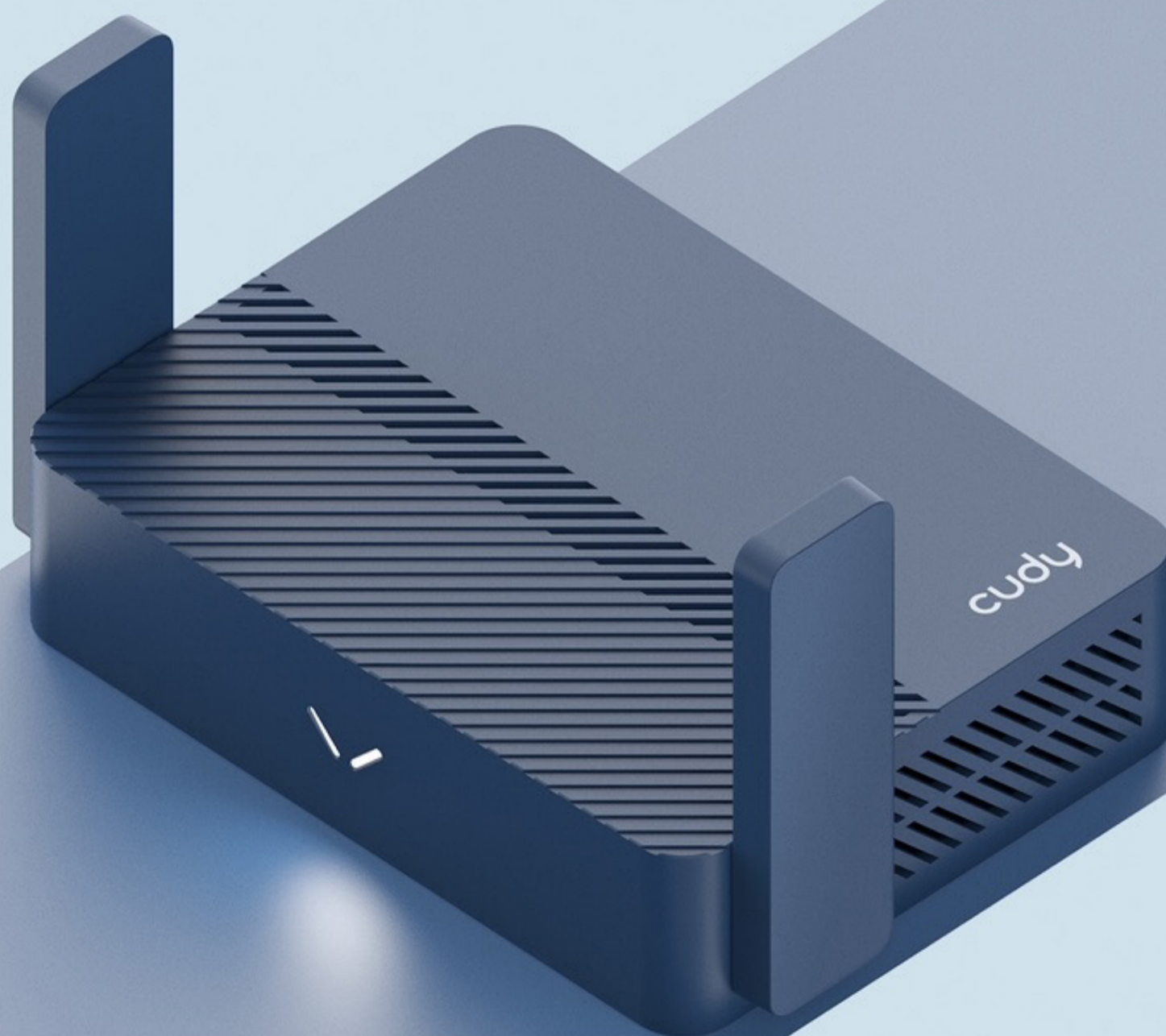
Dominik Łada

A handwritten signature in black ink, appearing to read 'DŁada', positioned below the printed name.



Utwórz swoją prywatną sieć WiFi 6 gdziekolwiek jesteś

AX3000 **2.5G** Wi-Fi 6 Travel Router



Model: TR3000



Kompaktowy rozmiar,
waga - 160g



Zasilanie przez port USB-C



Port WAN 2,5 Gbps,
Port LAN 1 Gbps

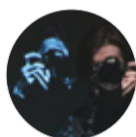


Udostępnianie plików za
pomocą interfejsu USB 3.0



KIESZONKOWY
ROUTER PODRÓŻNY

WSPÓŁPRACA

Paweł
JońcaMariusz
OstrowskiPaweł
OkopieńKrzysztof
KołaczJan
UrbanowiczPaweł
HaćMaciek
SkrzypczakMałgorzata
ŁadaGracjan
PietrasNapoleon
BrylAnia
GabryśDariusz
HałasFranciszek
ŁadaThomas
VolandMichał
ŚliwińskiAdalbert
FreemanMaciek
Szamowski

Teksty, grafiki oraz inne treści opublikowane na łamach „iMagazine” są chronione prawami autorskimi wydawcy magazynu „iMagazine”, ich autorów lub osób trzecich. Znaki towarowe i wszelkie inne oznaczenia o charakterze odróżniającym, umieszczone w „iMagazine” podlegają ochronie prawnej na rzecz wydawcy magazynu „iMagazine” lub innych uprawnionych osób trzecich.

Używanie bądź korzystanie z utworów, znaków towarowych lub oznaczeń, o których mowa wyżej, jest zabronione bez uzyskania uprzedniej pisemnej zgody właściwego podmiotu uprawnionego, z wyjątkiem wykorzystania ich zgodnie z prawem dla celów prywatnych i niekomercyjnych.

Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów i fotografii oraz zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania nadesłanych materiałów. Zdjęcia z zasobów Apple dzięki uprzejmości Apple Inc. Pozostałe zdjęcia z zasobów autorów lub redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

Nasz magazyn monitorowany jest
przez Instytut Monitorowania Mediów IMM

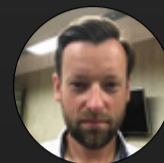


WYDAWCA

Mac Solutions Dominik Łada,
Nalewki 8/79, 00-158 Warszawa
NIP: 118-135-60-13

REDAKCJA

redakcja@imagazine.pl



REDAKTOR NACZELNY

Dominik Łada
+48 501 055 988 | d.lada@imagazine.pl

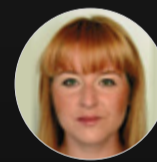
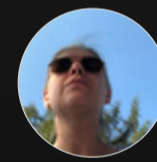
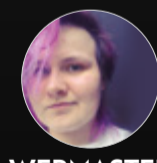
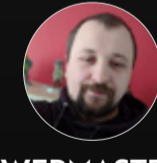


ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Wojtek Pietrusiewicz
w.pietrusiewicz@imagazine.pl

REKLAMA

reklama@imagazine.pl

KOREKTA
Malwina WadasKOREKTA
Ania GabryśWEBMASTER
Angelika BoruckaWEBMASTER
Krzysztof Stambuła

PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD

Mateusz Gileta
m.gileta@imagazine.pl

PROJEKT OKŁADKI:
Wojtek Pietrusiewicz





MiCard



MiBell

WAKACYJNY **NIEZBĘDNIK**



MiTag Travel Wallet



MiLock



Aktualizacja do visionOS 1.1.2

Czytaj dalej...



Aktualizacja firmware AirPods Max

Czytaj dalej...



Aktualizacja pakietu iWork na iOS, iPadOS i macOS

Czytaj dalej...





Program Apple Developer Academy wkracza na Bali

Czytaj dalej...

Apple powiadamia zwycięzców loterii WWDC 2024

Czytaj dalej...

WW
DC
24



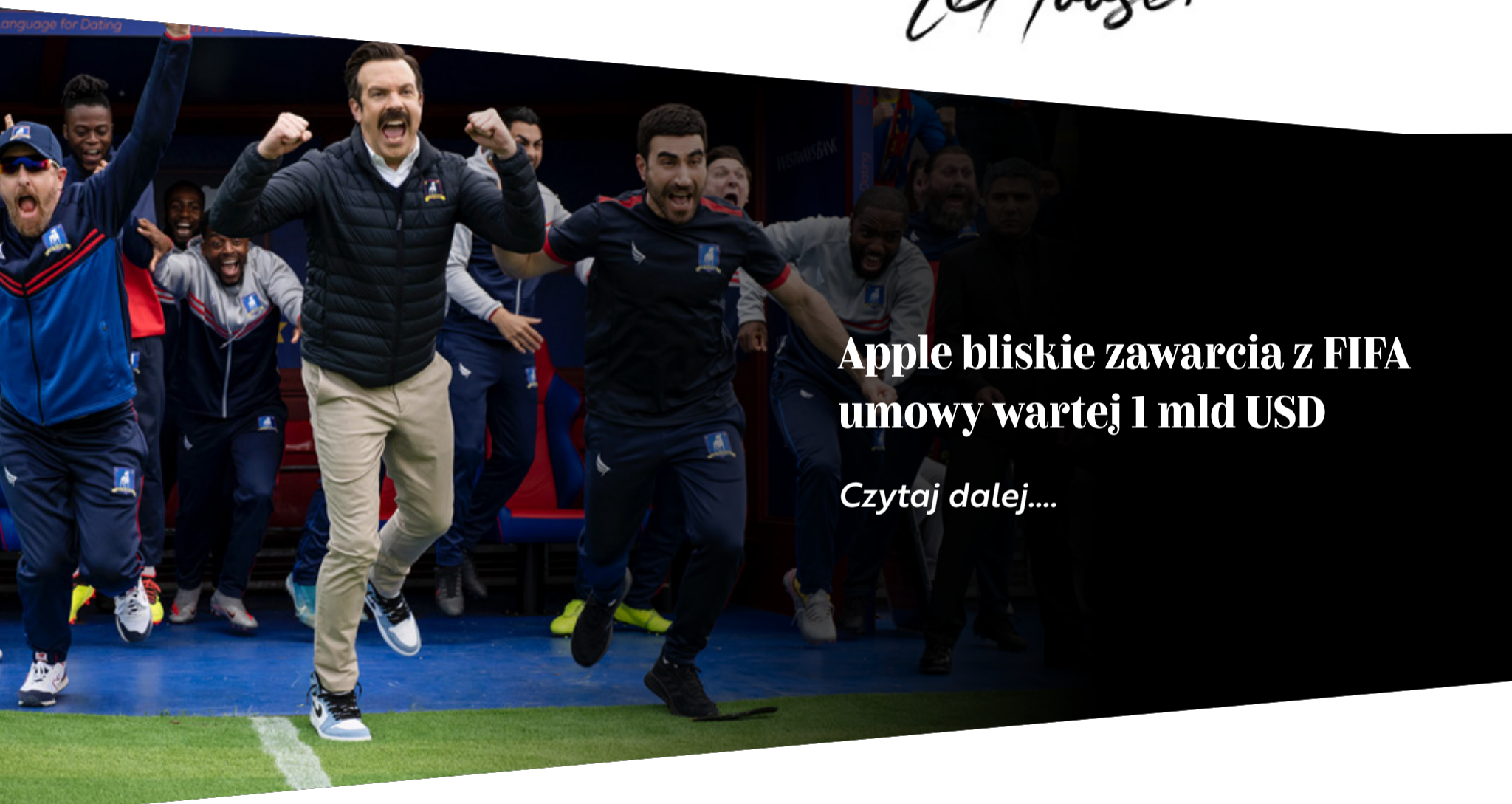
Nowe Beats Solo 3 z ulepszonym dźwiękiem i USB-C

Czytaj dalej...



Nowe iPady zobaczymy już 7 maja podczas Apple Event!

Czytaj dalej...



Apple bliskie zawarcia z FIFA umowy wartej 1 mld USD

Czytaj dalej...

Apple „sprzeciwiło się” UE, blokując najnowszą aktualizację Spotify

Czytaj dalej...





**Apple wykonuje rozkaz
rządu Chin: usuwa WhatsApp,
Signal, Telegram i Threads
z chińskiego App Store**

Czytaj dalej...

**Apple kończy z produkcją
akcesoriów z materiału
FineWoven?**

Czytaj dalej...



**Chcesz polatać dronem?
Musiś zgłosić lot – możesz
to zrobić w aplikacji PAŻP
DroneTower**

Czytaj dalej...





TP-Link Tapo C425 i C120 – dwie nowe, wodoodporne kamery 2K QHD

TP-Link poszerza portfolio kamer z serii Tapo o dwa nowe modele przeznaczone do monitoringu domu i jego najbliższego otoczenia.

Nowe kamery, TP-Link Tapo C425 oraz Tapo C120 to urządzenia rejestrujące obraz w rozdzielczości 2K QHD. W obu przypadkach sprzęt jest odporny na warunki atmosferyczne (obudowa z certyfikatem IP66). Producent zachwala też prosty montaż i konfigurację.

Tapo C425 to zewnętrzna, w pełni bezprzewodowa kamera zasilana baterią o pojemności 10000mAh. Zgodnie z deklaracjami producenta taki zapas energii ma wystarczyć na około 300 dni działania bez konieczności ponownego ładowania. Co więcej, istnieje opcja podłączenia panelu słonecznego, co praktycznie eliminuje potrzebę ręcznego ładowania urządzenia. Kompatybilne panele słoneczne trafią do portfolio producenta w ciągu kilku miesięcy.





Urządzenie umożliwia rejestrowanie obrazu w rozdzielczości 2560×1440 (2K QHD) o szerokim polu widzenia 150°. Dzięki przetwornikowi Starlight o wysokiej czułości, kamera ponoć zarejestruje obraz w wysokiej jakości nawet w warunkach bardzo słabego oświetlenia. Dodatkową zaletą jest również kolorowy tryb nocny z wykorzystaniem białych diod doświetlających. Dzięki zaawansowanym funkcjom detekcji i powiadomień wykorzystującym sztuczną inteligencję, kamera klasyfikuje ludzi, zwierzęta oraz samochody, automatycznie powiadamiając użytkowników o potencjalnych zagrożeniach i intruzach.

Z kolei Tapo C120 to kompaktowa kamera do zastosowań zarówno





wewnątrz jak i na zewnątrz budynków. Również to urządzenie rejestruje obraz w rozdzielczości 2K QHD, jest wyposażone w przetwornik Starlight oraz białe diody doświetlające. Opcjonalnie, użytkownicy mogą również skorzystać z funkcji doświetlenia podczerwienią. Jeśli czerwone diody IR LED są zbyt rozpraszające, kamerę można łatwo przełączyć na niewidzialny tryb IR, aby monitorować obszar w ciągu nocy, bez widocznych diod. Także w tym modelu zaimplementowano funkcje detekcji smart z klasyfikacją obiektów. Tapo C120 potrafi też wykrywać płacz dziecka, dzięki czemu świetnie sprawdzi się jako elektroniczna niania.

Obydwie kamery wyposażone są w alarm dźwiękowy i świetlny, który można łatwo ustawić, aby odstraszyć nieproszonych gości. Funkcja dwukierunkowej transmisji



audio, dzięki wbudowanemu mikrofonowi i głośnikowi, umożliwia skuteczną komunikację poprzez kamerę, zapewniając dodatkową warstwę bezpieczeństwa.

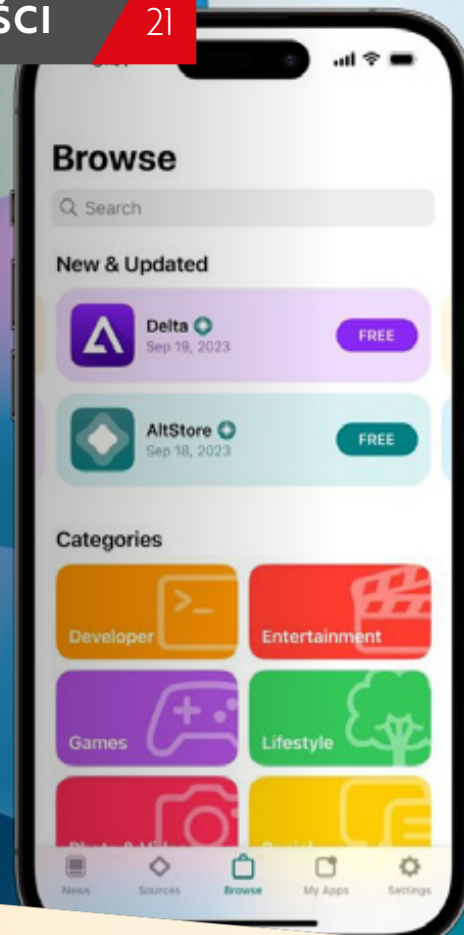
Użytkownicy mają również możliwość wyboru miejsca zapisu – na karcie microSD o pojemności do 512GB lub korzystając z usługi przechowywania w chmurze Tapo Care. Dodatkowo, obie kamery posiadają klasę szczelności IP66, co gwarantuje ochronę przed wodą i kurzem, a tym samym pozwala na montaż urządzeń również poza budynkiem. Instalacja kamer jest maksymalnie uproszczona dzięki magnetycznym podstawkom.

Kamery Tapo C425 i Tapo C120 mogą być zarządzane za pomocą prostej w obsłudze aplikacji na urządzenia mobilne (z systemem iOS lub Android). Aplikacja Tapo obsługuje do 32 kamer i pozwala na podgląd z czterech różnych urządzeń na jednym ekranie. Wymienione, nowe modele kamer z serii Tapo są już dostępne w sprzedaży w cenach: Tapo C425 ok. 590 zł i Tapo C120 ok. 230 zł. Kamery objęto dwuletnią gwarancją.



AltStore PAL – alternatywny sklep z aplikacjami dla iPhone już działa w UE

Czytaj dalej...

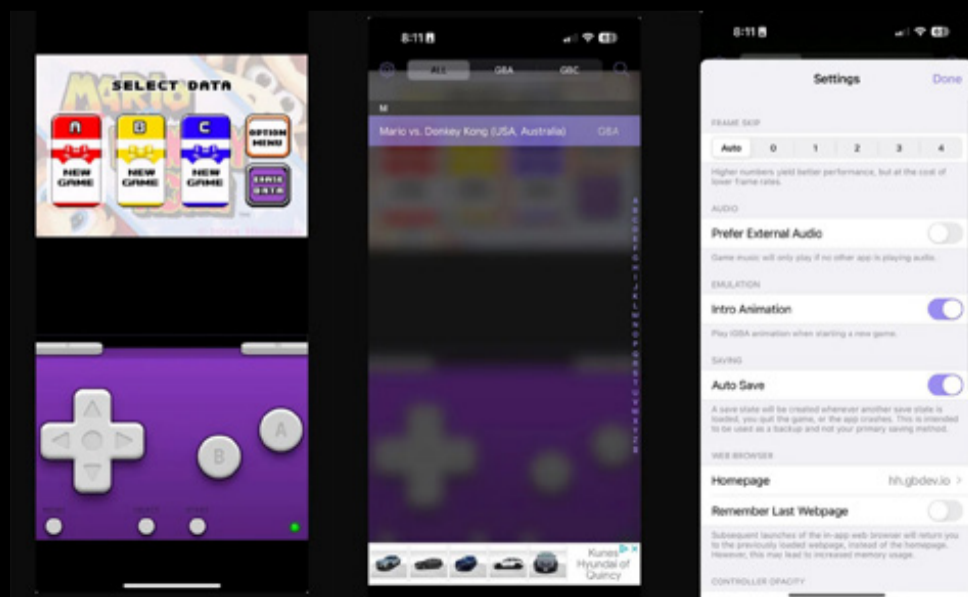


Cykl wydawniczy komputerów Mac na najbliższy rok

Czytaj dalej...

Pojawił się i znikł – pierwszy zatwierdzony przez Apple emulator Game Boya dla iPhone'a

Czytaj dalej...





Porady Apple dotyczące korzystania z AirPods

Czytaj dalej...

Problemy zdrowotne właścicieli Apple Vision Pro

Czytaj dalej...



Co ma wspólnego Świątynia Opatrzności Bożej i señal „Fundacja”?

Czytaj dalej...



iPhone 6 Plus i iPad mini 4 dopisane do listy przestarzałych sprzętów

Czytaj dalej...



SAMSUNG
Artificial Intelligence

Samsung zaszalał z telewizorami: inteligentniejsza seria Excellence Line i nowe OLED-y

Czytaj dalej...

iOS 18: Kiedy spodziewać się wersji beta i publicznej premiery?

Czytaj dalej...



18





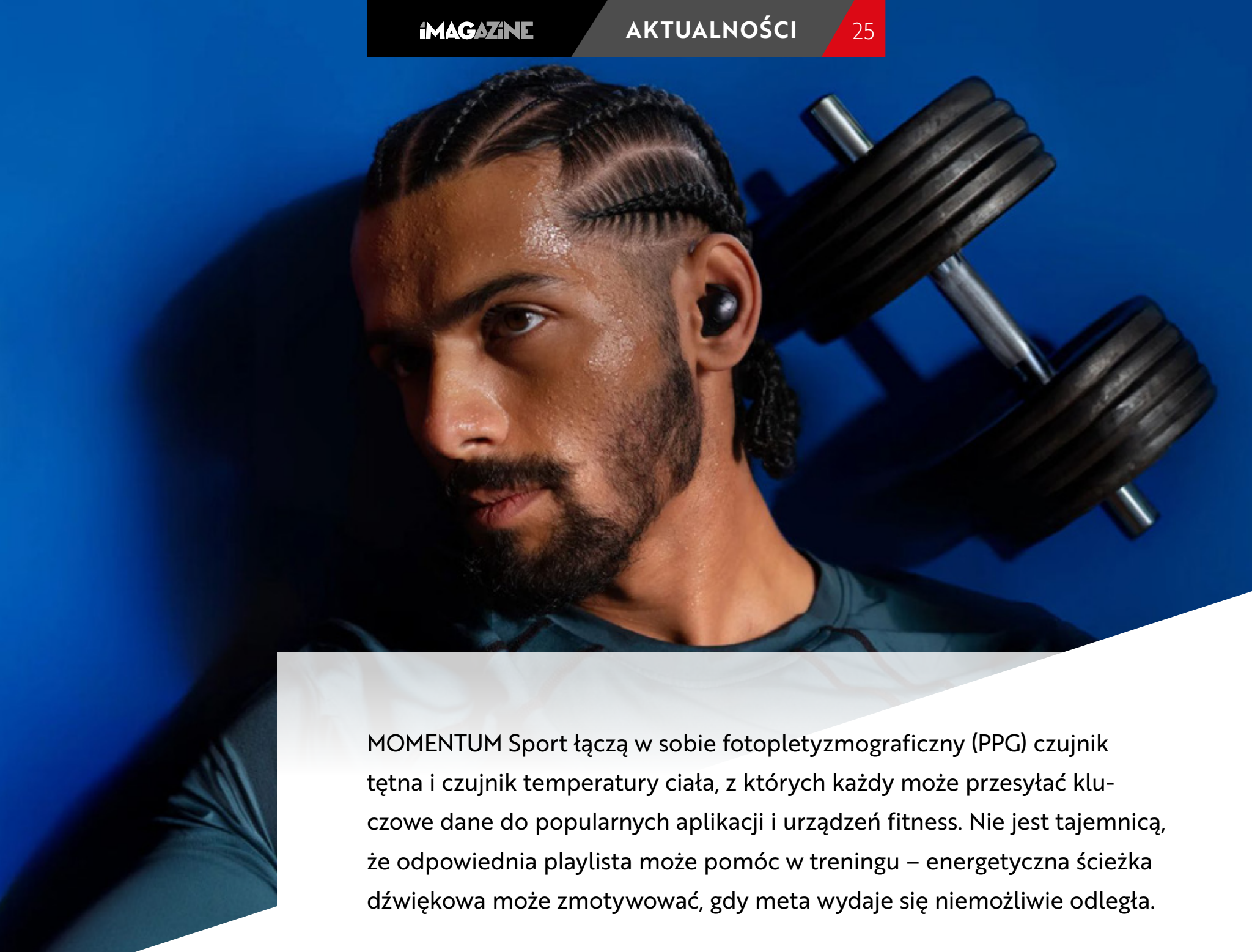
Sennheiser MOMENTUM Sport dostępne w Polsce

Świat zobaczył słuchawki Sennheiser MOMENTUM Sport na targach CES 2024. Teraz firma Sennheiser poinformowała, że nowe słuchawki douszne są już dostępne w Polsce.

Sennheiser MOMENTUM Sport to w istocie więcej niż tylko słuchawki. Opracowane dla sportowców i entuzjastów aktywności fizycznej, łączą w sobie najnowocześniejsze zintegrowane czujniki douszne do pomiaru tętna i temperatury ciała z jakością dźwięku, z której ta marka jest znana.

„Przez ponad trzy lata pracowaliśmy nad stworzeniem najlepszych sportowych słuchawek dousznych. MOMENTUM Sport zmienia słuchawki z podstawowego akcesorium do ćwiczeń w siłę napędową Twojego treningu” – mówi David Holm, menedżer produktów Sennheiser Sports. „Teraz sportowcy i entuzjaści aktywności fizycznej mogą korzystać z najnowocześniejszej technologii fitness i doskonałego dźwięku w jednym urządzeniu.”





MOMENTUM Sport łączą w sobie fotopletyzmoграфiczny (PPG) czujnik tętna i czujnik temperatury ciała, z których każdy może przesyłać kluczowe dane do popularnych aplikacji i urządzeń fitness. Nie jest tajemnicą, że odpowiednia playlista może pomóc w treningu – energetyczna ścieżka dźwiękowa może zmotywować, gdy meta wydaje się niemożliwie odległa.

Odczyty temperatury w uchu są dokładniejsze niż pomiary na nadgarstku; użytkownik MOMENTUM Sport może dokładnie monitorować temperaturę swojego ciała z dokładnością +/- 0,3 stopnia Celsjusza, aby uniknąć zmęczenia cieplnego, które mogłoby wystąpić w przypadku przekroczenia optymalnego zakresu docelowego dla treningu. Podobnie użytkownik może obserwować swoje tętno w zakresie od 30 do 220 uderzeń na minutę – a wszystko to przy jednoczesnym czerpaniu korzyści motywacyjnych ze świetnej listy odtwarzania. Zintegrowane trójosiowe akcelerometry oraz pojemnościowe czujniki dotykowe i czujniki podczerwieni współdziałają, aby zarządzać odtwarzaniem dźwięku i funkcjami połączeń za pomocą prostych gestów dotknięcia palcem, niezależnie od warunków pogodowych. Na przykład dwukrotne dotknięcie policzka może wstrzymać odtwarzanie, również wtedy, gdy użytkownik używa rękawiczek.

Nowe słuchawki dla aktywnych, Sennheiser MOMENTUM Sport łączą się i podobno bezproblemowo integrują się z wieloma popularnymi



urządzeniami i aplikacjami sportowymi, takimi jak Apple Watch/Health, Garmin Watch/Connect, Strava, Peloton i nie tylko, przekazując zebrane dane o tętnie użytkownika. Po raz pierwszy w historii użytkownicy produktu innego producenta niż Polar będą mogli cieszyć się pełnym dostępem do elitarnych możliwości biodetekcji i ekosystemu analizy danych firmy Polar, korzystając z aplikacji Polar Flow do treningów. Obejmuje to dostęp do specjalistycznego śledzenia wydajności, analiz treningowych, inteligentnego coachingu i wskazówek głosowych. Dane zbierane przez słuchawki, w tym temperatura ciała, są przesyłane w czasie rzeczywistym w celu uzyskania natychmiastowych informacji podczas treningu i przechowywane w celu lepszej analizy po treningu zarówno w aplikacji Polar Flow, jak i w przeglądarce na komputerze.

MOMENTUM Sport będą także w pełni zintegrowane (funkcja będzie dostępna w aktualizacji) z zaawansowanymi danymi śledzenia w zegarku multisportowym Polar Vantage V3. Wystarczy podłączyć MOMENTUM





Sport i rozpocząć trening, aby w czasie rzeczywistym przesyłać dane wydajności bezpośrednio do zegarka. MOMENTUM Sport obsługują także komunikaty treningowe Polar i wskazówki nawigacyjne przesyłane strumieniowo bezpośrednio do ucha podczas treningu.

W słuchawkach zastosowano zupełnie nowy 10-milimetrowy przetwornik. Podczas gdy żywy dźwięk i imponujący bas były podstawą słuchawek sportowych Sennheiser od czasu, gdy zrewolucjonizowały tę kategorię w 2006 roku, potrzeby sportowców i zapalonych entuzjastów sportu wymagały całkowitego przeprojektowania systemu akustycznego. Przede wszystkim słuchawki douszne MOMENTUM Sport łagodzą efekt okluzji (efekt zatkanego ucha) za pomocą akustycznego kanału odciążającego, który obejmuje wentylację powietrzem. To radykalnie minimalizuje hałas kroków, oddychania i inne zakłócenia przenoszone przez ciało.

Półotwarta konstrukcja zapewnia również naturalną świadomość otoczenia, dzięki czemu można zachować czujność wobec tego, co dzieje się wokół, z opcjonalnymi trybami przezroczystości, przeciwwiatrowym i trybem adaptacyjnej redukcji szumów, dzięki czemu użytkownik może łatwo dostosować się do zmiany otoczenia.



MOMENTUM Sport obsługują Bluetooth 5.2 oraz szeroką gamę kodeków aptX Adaptive, AAC i SBC. Nowymi sportowymi słuchawkami dousznymi Sennheisera można zarządzać za pomocą aplikacji Sennheiser Smart Control (iOS, Android), co zapewnia dodatkową wygodę, jednak wszystkimi podstawowymi funkcjami MOMENTUM Sport można sterować za pomocą prostych gestów dotknięcia – to dobrodziejstwo dla tych, którzy noszą rękawice ochronne i ocieplacze na uszy lub wykonują ćwiczenia, które wymagają skupienia. Słuchawki mają odporność IP55.

MOMENTUM Sport są dostępne w zestawie z szeroką gamą wymiennych końcówek dousznych i zaczepów dousznych. Większy przetwornik i obudowa są tak ukształtowane, aby dobrze przylegały nawet do średnich i dużych uszu. Dołączone solidne etui o stopniu ochrony IP54 pozwala na trzy dodatkowe ładowania słuchawek, wydłużając czas odtwarzania z maksymalnie 6 godzin do 24 godzin bez konieczności sięgania po kabel USB-C lub ładowarkę Qi. Zaledwie 10 minut szybkiego ładowania przez USB może zapewnić do 45 minut odtwarzania w podróży.

Sennheiser MOMENTUM Sport są dostępne w Polsce w dwóch wersjach kolorystycznych: Polar Black oraz Burned Olive w katalogowej cenie 1399 zł.



Komputery Mac liderami globalnego wzrostu sprzedaży PC

Czytaj dalej...

Apple zmniejszyło podaż komputerów Vision Pro

Czytaj dalej...

HDR display support

High-performance CPU cores

Always-on processor

Performance controller

High-quality camera processor

High-bandwidth caches

High-efficiency CPU cores

Unified memory

Neural Engine

High-efficiency DRAM

High-performance GPU

TSMC prezentuje zaawansowany proces 1,6 nm

Czytaj dalej...



Nowy 11-calowy iPad Pro może mieć ograniczoną podaż

Czytaj dalej...



Bank Pocztowy z obsługą Google Pay i Apple Pay w aplikacji mobilnej

Czytaj dalej...

12,9-calowy iPad Air jednak bez ekranu Mini-LED?

Czytaj dalej...





Voyager 1 – udana reanimacja!

Czytaj dalej...

Apple zmniejsza emisje gazów cieplarnianych o połowę

Czytaj dalej...



Apple przejął francuski startup Datakalab specjalizujący się w AI i maszynowej analizie obrazu

Czytaj dalej...





JBL Clip 5

JBL Clip 5 to ultraprzenośny głośnik wodoodporny, który jest na tyle mały, że mieści się w dłoni, a równocześnie zaskakująco potężny, by sprostać wielu wyzwaniom w podróży i nie tylko.

Szeroki, w pełni zintegrowany zaczep jest na tyle duży, że można go przypiąć niemal do wszystkiego. Wydajny przetwornik i pasywny radiator dostarczają potężniejsze, głośniejsze brzmienie JBL Pro Sound i mocny bas. Jedno ładowanie zapewnia nawet do 12 godzin odtwarzania, a przy włączonej funkcji Playtime Boost nawet więcej. Ponadto posiada certyfikat wodoodporności i pyłoszczelności IP67, więc śmiało można go zabrać na pieszą wędrowkę lub biwak. Dwa sparowane głośniki Clip 5 tworzą dźwięk stereo, a jeszcze mocniejszy dźwięk na większej przestrzeni uzyskać można łącząc kilka głośników JBL za pomocą technologii Auracast™. JBL Clip 5 dostępny jest w różnych kolorach, więc każdy na pewno znajdzie model odpowiedni dla siebie.



Niech nikogo nie zwiodą niewielkie rozmiary JBL Clip 5, gdyż daje on muzycznego kopa z potężnym brzmieniem JBL Pro Sound i mocnym basem. Wielu nie uwierzy, że z tak małego głośnika wydobywa się tyle świetnego brzmienia JBL Pro Sound. Całkowicie przeprojektowany, w pełni zintegrowany zaczep ma znacznie szersze otwarcie, dzięki czemu jest jeszcze bardziej przenośny. Clip 5 można przypiąć do wszystkiego, od plecaka po szlufkę spodni, by wszędzie zabierać ze sobą muzykę na cały dzień. Do 12 godzin pracy plus 3 godziny z Playtime Boost pozwala nie przejmować się takimi drobiazgami jak ładowanie akumulatora. JBL Clip 5 zapewnia do 12 godzin odtwarzania na jednym ładowaniu. Aby wydłużyć granie o kolejne 3 godziny, wystarczy dotknąć przycisku Playtime Boost. Dostraja on i optymalizuje wydajność, zapewniając głośniejszy i wyraźniejszy dźwięk.





Dzięki wodoodporności i pyłoszczelności na poziomie IP67 przenośny głośnik JBL Clip 5 poradzi sobie w niemal każdych warunkach, od imprezy przy basenie po piknik na plaży.

Połączenie wielu głośników przez technologię Auracast™ to jeszcze więcej brzmienia JBL Pro Sound! Sparowanie dwóch Clip 5 daje dźwięk stereo, a bezprzewodowe połączenie wielu głośników JBL przez Auracast™ zapewnia jeszcze potężniejsze brzmienie. Aplikacja JBL Portable pozwala otrzymywać aktualizacje i pomoc techniczną oraz korzystać z dodatkowych funkcji bezpośrednio w telefonie. Precyzyjnie można dostroić brzmienie, dzięki różnym ustawieniom wstępnym korektora. Można też w pełni skonfigurować korektor, aby dostosować





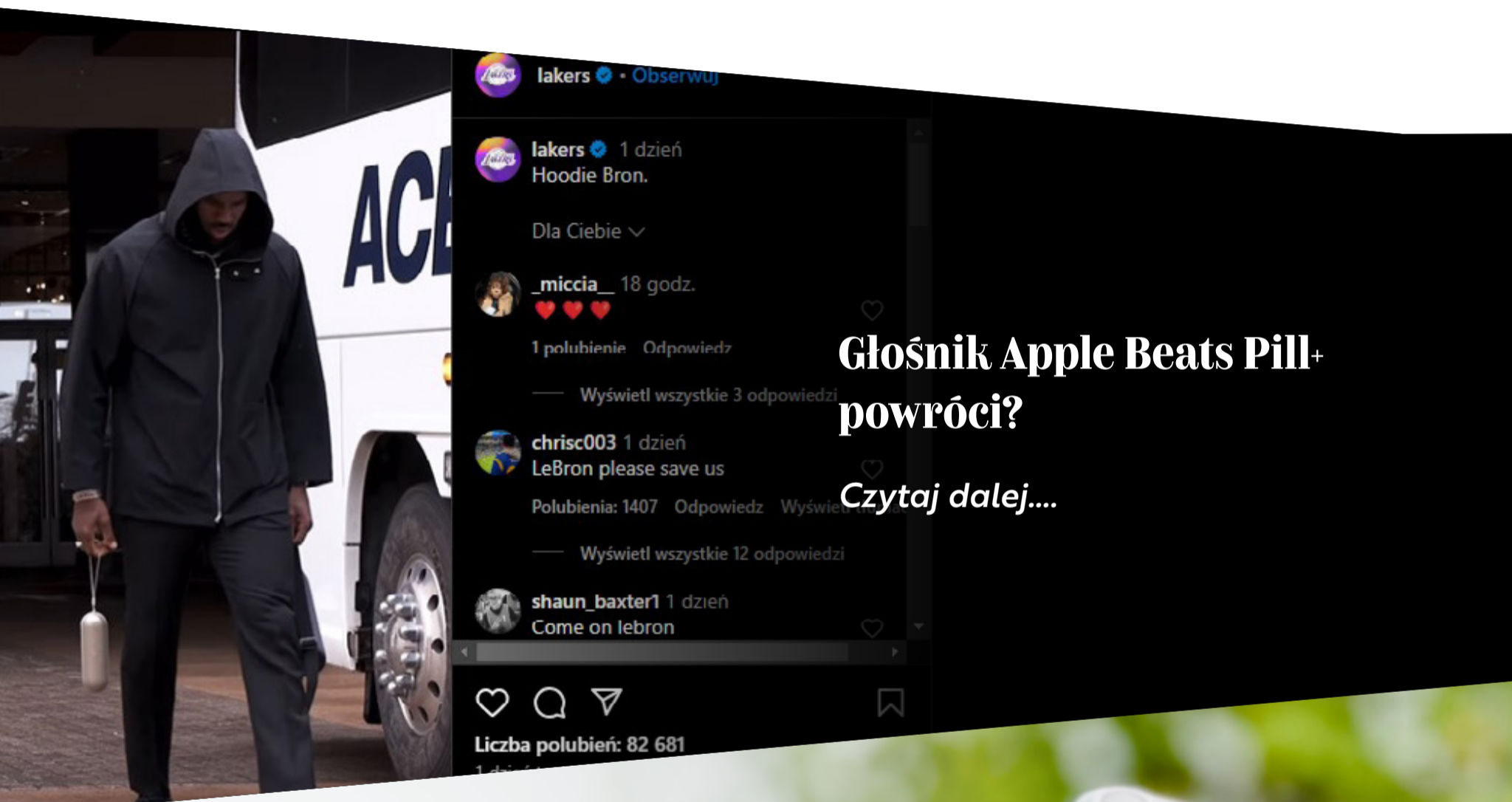
wysokie, średnie i niskie tony do własnych upodobań. Efektowne i wyjątkowe opcje kolorystyczne inspirowane są najnowszymi trendami w modzie ulicznej. To nowe odcienie i kombinacje, a wszystko wykonane częściowo z materiałów pochodzących z recyklingu. W maskownicy głośnika JBL Clip 5 zastosowano tworzywa i tkaninę pochodzące z recyklingu. Produkt zapakowany w papier z certyfikatem FSC, z nadrukiem wykonanym atramentem sojowym. Z JBL Clip 5 każdy dzień jest przygodą!

JBL Clip 5 dostępny będzie aż w sześciu wyjątkowych kolorach, a na polskim rynku pojawi się na przełomie kwietnia i maja.



Kalkulator trafi w końcu na iPadOS

Czytaj dalej...



Głośnik Apple Beats Pill+ powróci?

Czytaj dalej...

Sprzedaż iPhone'ów w Chinach znacznie spadła

Czytaj dalej...



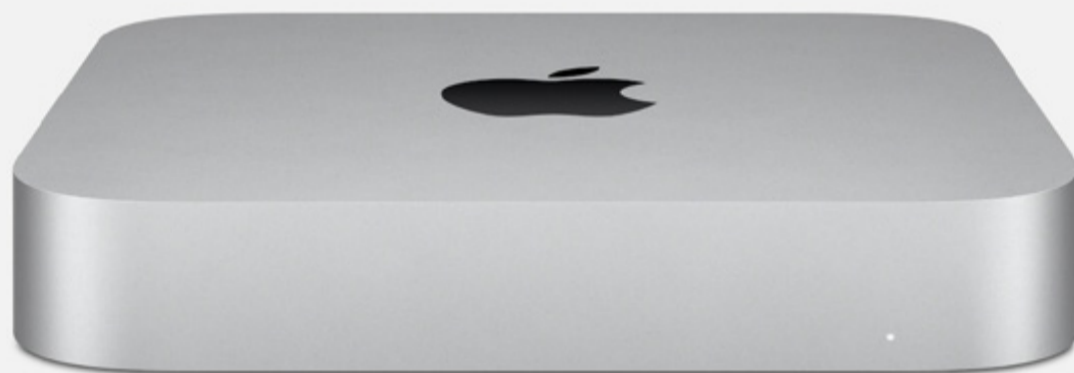
Apple Vision Pro pomaga lekarzowi podczas operacji artroskopii barku

Czytaj dalej...

Mac mini

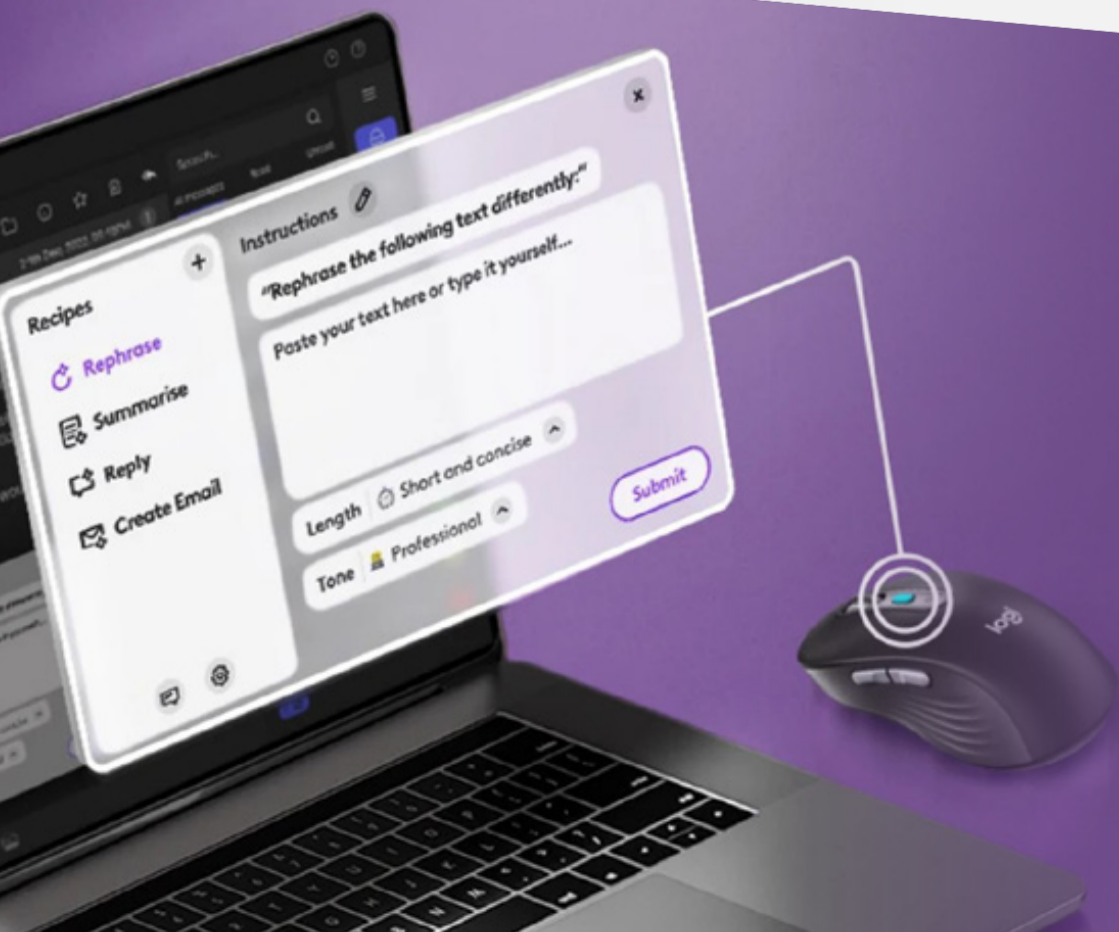
Apple prawdopodobnie planuje pominąć Apple M3 dla Maca mini

Czytaj dalej...



Logitech z myszką z AI – Signature AI Edition M750

Czytaj dalej...



Polska firma wygrywa potyczkę z Google w sądzie

Czytaj dalej...



Gurman: iOS 18 będzie mieć AI i LLM działający w całości na urządzeniu

Czytaj dalej...

Wyświetlacz nowego HomePoda ujawniony?

Czytaj dalej...





**Nowa rodzina słuchawek
moto buds już w Polsce
– to sprzęt zaprojektowany
z marką Bose**

Czytaj dalej...

**Globalny udział
iPhone'a spadł w tym roku
o 9,6%**

Czytaj dalej...



**Chcesz publikować na X?
Elon Musk chce byś zapłacił**

Czytaj dalej...



Apple zwiększa inwestycje w wodę i czystą energię w różnych częściach świata

Czytaj dalej...

Dzień Ziemi



The Boŕing Phone – pomysł marek Heineken i Bodega na „nudny telefon”

Czytaj dalej...

Apple promuje recykling urządzeń za darmo przed Dniem Ziemi

Czytaj dalej...

Apple's robots now recover rec. clab
 that als fr m
 2008 Bode or iPh 1e.





Apple odpowiada na krytykę dot. procesu parowania części iPhone'a

Czytaj dalej...



Aparat iPhone'a 16 Pro mniej podatny na artefakty?

Czytaj dalej...



Procesor Apple M4 jest projektowany pod kątem AI na macOS

Czytaj dalej...





Creative BT-W5

- Nadajnik audio Bluetooth® 5.3 z technologią aptX™ Adaptive

Creative Technology oferuje obecnie już piątą na dzień dzisiejszy wersję swojego nadajnika Bluetooth® w wersji 5.3, która ma za zadanie oferować końcowemu użytkownikowi wybór jakości dźwięku jaki chciałby usłyszeć. Creative BT-W5 to zaawansowany nadajnik audio Bluetooth, stworzony z myślą o uzupełnieniu cyfrowego świata urządzeń o doskonałą jakość dźwięku. Wyposażony w adaptacyjny kodek aptX™, BT-W5 daje użytkownikom możliwość wyboru priorytetu strumieniowania dźwięku, oferując tryb „Low Latency” (niskie opóźnienie) lub „High Quality” (wysoka jakość).

Dla graczy i kinomaniaków

Tryb „Low Latency” pozwala na obniżenie opóźnienia do zaledwie 50 ms*, co sprawia, że jest idealny dla graczy online i miłośników filmów, gwarantując natychmiastową synchronizację dźwięku z obrazem. Jest to rozwiązanie stworzone z myślą o eliminacji problemów z synchronizacją dźwięku i obrazu, zapewniając nieskazitelne wrażenia wizualno-dźwiękowe.





Muzyczna uczta

Z kolei tryb „High Quality” kodeka aptX Adaptive dostarcza doskonałej jakości dźwięku nawet przy niższych szybkościach transmisji bitów, skalując się do jakości HD przy prędkościach bitów do 420 Kb/s. Jest to idealne rozwiązanie dla entuzjastów muzyki wysokiej rozdzielczości, zapewniając czyste, precyzyjne brzmienie bez żadnych kompromisów.


Strumieniowanie w technologii Bluetooth® 5.3

Creative BT-W5 zapewnia bezproblemową, bezprzewodową transmisję dźwięku w niewielkim, kompaktowym korpusie. Wykorzystując kodek aptX Adaptive, nadajnik oferuje doskonałe audio o rozdzielczości 24-bitowej i częstotliwości próbkowania do 96 kHz. Technologia Bluetooth® 5.3 zapewnia stabilne i niezawodne połączenie, minimalizując zużycie energii.

Bez oprogramowania

Intuicyjna funkcja przełączania urządzeń pozwala łatwo zmieniać podłączone urządzenia bez potrzeby ponownego parowania. Dzięki wbudowanemu mikrofonowi, użytkownicy mogą również korzystać z trybu głośnomówiącego bez utraty jakości dźwięku. Nadajnik BT-W5 jest kompatybilny z wieloma urządzeniami, od laptopów po konsole do gier,





a inteligentna technologia automatycznie dobiera najlepszy kodek audio dla każdego urządzenia, gwarantując najwyższą jakość dźwięku Bluetooth.

Z oprogramowaniem

Oprócz zaawansowanych funkcji, producent oferuje również aplikację umożliwiającą pełną kontrolę nad urządzeniem, w tym dostosowanie korektora EQ i korzystanie z technologii Sound Blaster. Dzięki prostemu podłączeniu w trybie Plug and Play, Creative BT-W5 jest gotowy do użycia bez potrzeby instalacji dodatkowych sterowników, zapewniając wyjątkową wydajność i niskie zużycie energii.

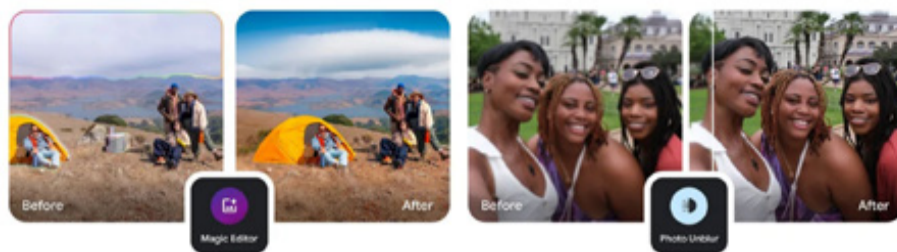
Ceny i dostępność:

Creative BT-W5 można kupić w sklepie x-kom.pl w cenie 199zł



Google udostępni narzędzia edycji AI w Zdjęciach Google wszystkim

Czytaj dalej...



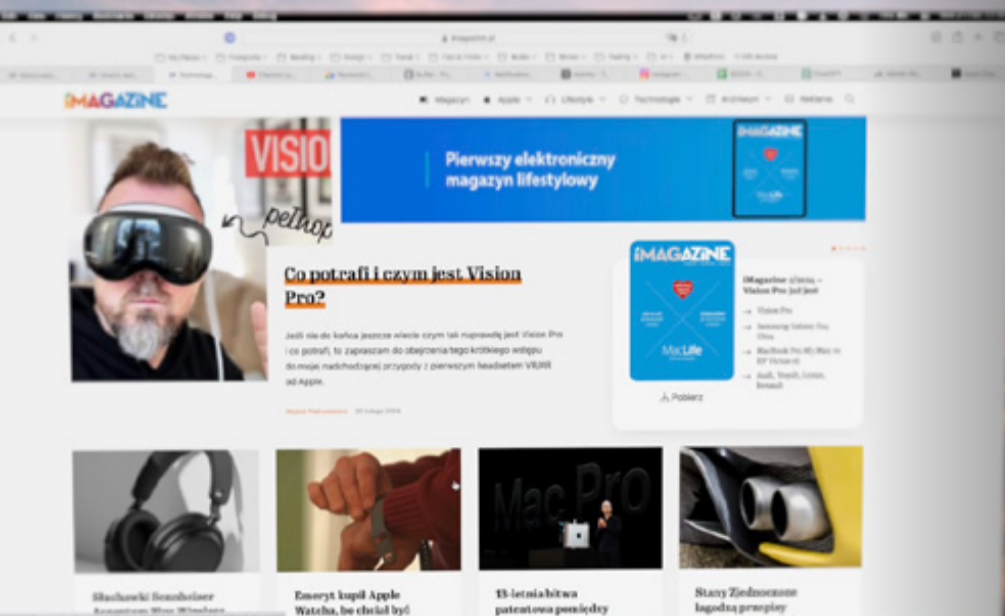
DJI Avata 2 – czy to najprostszy w obsłudze dron?

Czytaj dalej...

Google Cloud Next '24 – Google z istną armią rozwiązań AI

Czytaj dalej...





Coraz więcej osób wybiera alternatywną przeglądarkę na iOS

Czytaj dalej...

New York Times i prawa autorskie do gry Wordle

Czytaj dalej...



Wordle

Get 6 chances to guess a 5-letter word.

How to play

Log in

Play



Stany Zjednoczone zainwestują 6,6 mld dolarów w tajwański TSMC, ale u siebie

Czytaj dalej...



Apple chwali się zastosowaniami Vision Pro w korporacjach

Czytaj dalej...



Jony Ive i Sam Altman szukają finansowania

Czytaj dalej...



Jednak nowe Apple TV będzie z kamerą?

Czytaj dalej...





Plan wdrożenia kolejnych generacji procesorów Apple Silicon

Czytaj dalej...

Ile iPhone'ów Apple składa w Indiach?

Czytaj dalej...

A photograph showing two men in an Apple store. The man on the left is wearing a white shirt and has a beard. The man on the right is wearing a green Apple t-shirt and glasses. They are standing in front of a wooden wall with the word 'Pickup' and an Apple logo visible. The background is slightly blurred.

Pickup

A photograph of a social gathering. In the foreground, a man is holding a microphone to his mouth. Behind him, a crowd of people is visible, some holding drinks. A large, glowing blue Sony speaker is prominent in the lower left. The scene is dimly lit with blue and purple ambient lighting.

Sony ULT Power Sound – nowa seria głośników i słuchawek

Czytaj dalej...



Philips Hue rozszerza współpracę z Samsung SmartThings

Czytaj dalej...

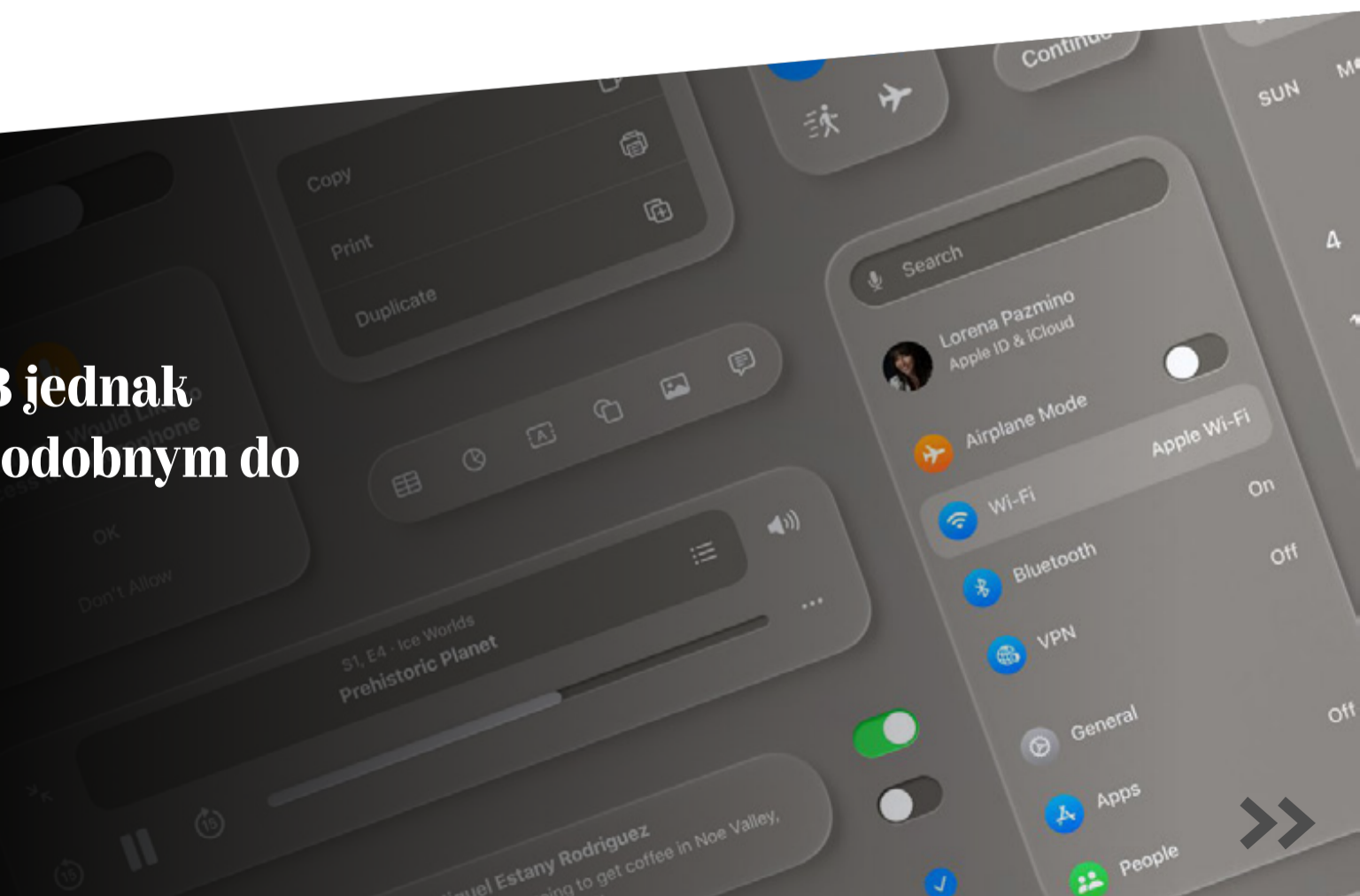


Wyniki finansowe Apple za 2 kwartał fiskalny poznamy 2 maja

Czytaj dalej...

iOS/iPadOS 18 jednak z wyglądem podobnym do visionOS?

Czytaj dalej...



Prawdziwa autonomia

Inteligentna pielęgnacja trawnika



AŻ DO **5** LAT GWARANCJI



Wirtualna instalacja
Instalacja i modyfikacje obszaru koszenia poprzez aplikację. Bez przewodów.



Inteligentna technologia
Planowanie sesji koszenia w zależności od siły sygnału z satelity tak, aby dotrzeć do każdego zakątka ogrodu w odpowiednim czasie.



Wydajne koszenie
Zwiększona wydajność dzięki zorganizowanemu koszeniu.



Darmowa łączność
Nawigacja i koszenie za pomocą połączenia 4G.

Autonomiczne roboty koszące STIGA
Pielęgnacja trawników do 10.000 m².

Odkryj całą gamę urządzeń na stiga.pl

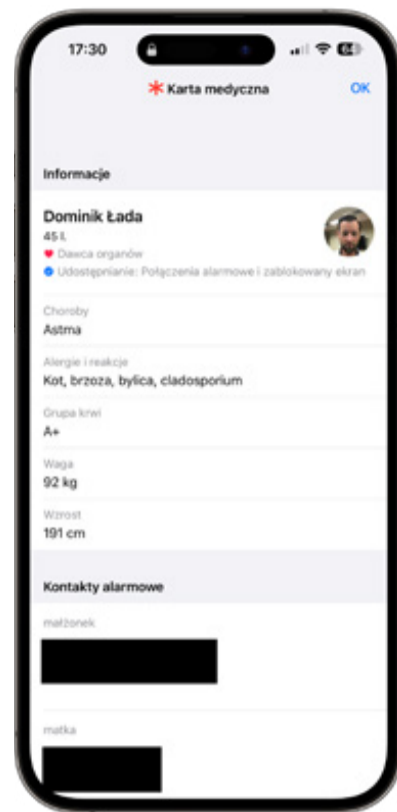
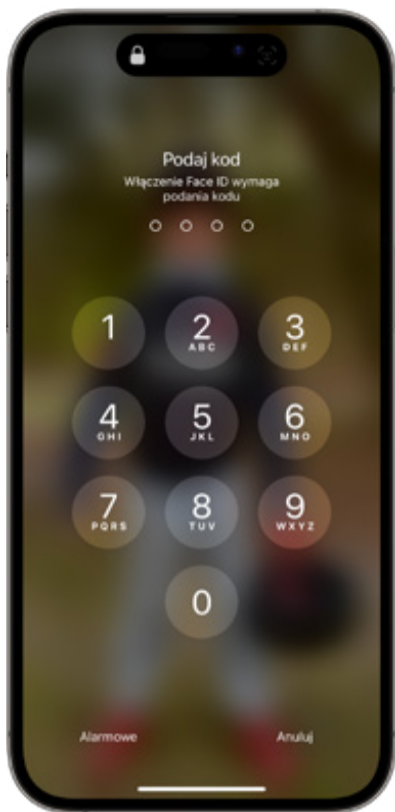
AGS

Active
Guidance
System

eP^ower

STIGA

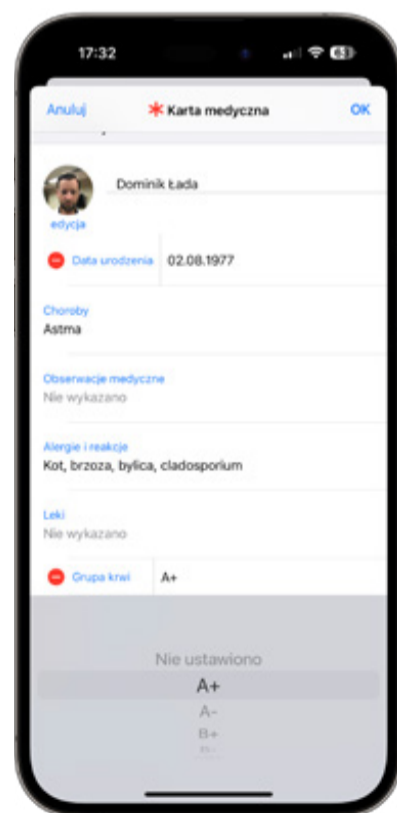
Garden care.



**JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU**

KARTA MEDYCZNA W iPHONE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU

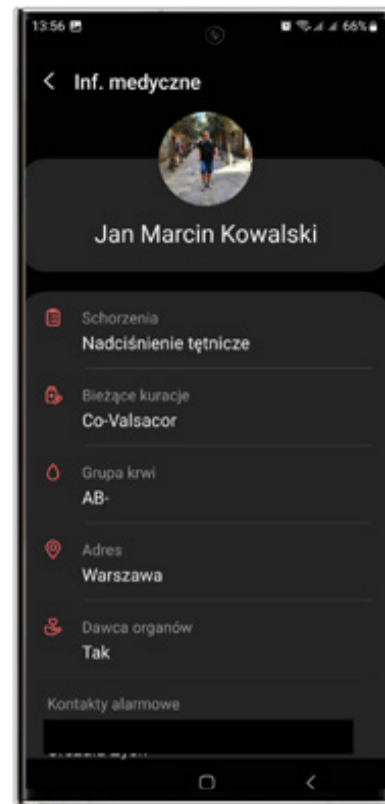


JAK UZUPEŁNIĆ



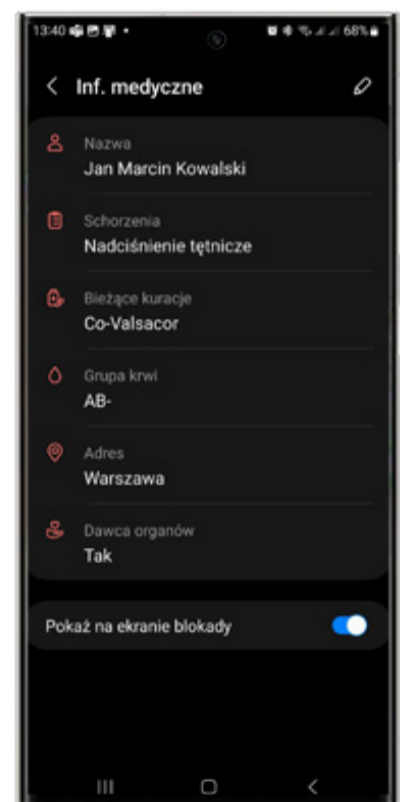
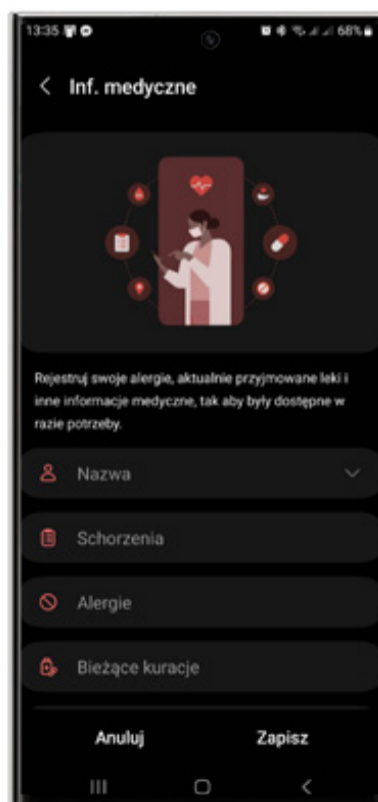
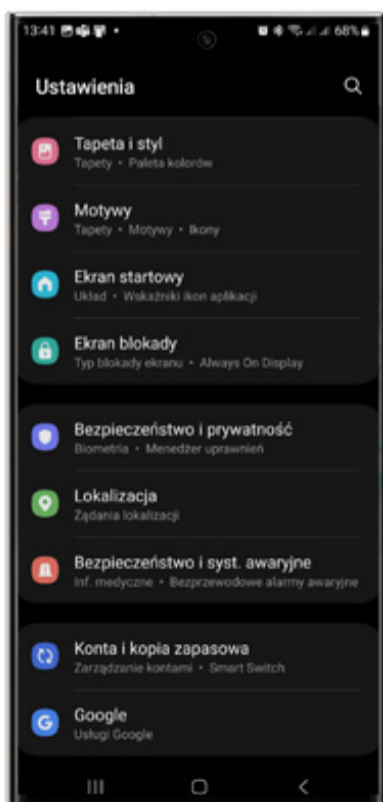
iMAGAZINE

**JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU**



INFORMACJA MEDYCZNA W ANDROIDZIE UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU

JAK UZUPEŁNIĆ



SAMSUNG

iMAGAZiNE



USŁYSZ WIĘCEJ, NIŻ TYLKO MUZYKĘ.

Z MOMENTUM
True Wireless 4



SENNHEISER

www.sennheiser.pl





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Polacy wśród laureatów Apple Swift Student Challenge 2024

Już za miesiąc startuje coroczna konferencja programistyczna WWDC 2024. W Cupertino jak co roku spotkają się najlepsi deweloperzy z całego świata, jednak w tym roku będzie trochę inaczej niż do tej pory – mamy dość mocny „polski” akcent.



World Wide Developers Conference to nie tylko profesjonaliści, ale też młodzież, która dopiero się uczy, która aspiruje, która chce związać swoją przyszłość z kodowaniem.

Pod koniec marca poznaliśmy wyniki konkursu **Apple Swift Student Challenge**. W tym roku wśród 350 finalistów z całego świata mamy czterech Polaków. Co więcej, jeden z nich znalazł się w gronie 50 Distinguished Winners! To wyjątkowy sukces i dowód, że w Polsce mamy wielu młodych i utalentowanych ludzi.

W tym roku wśród 350 finalistów z całego świata mamy czterech Polaków. Co więcej, jeden z nich znalazł się w gronie 50 Distinguished Winners! To wyjątkowy sukces i dowód, że w Polsce mamy wielu młodych i utalentowanych ludzi.

O Swift Student Challenge pisaliśmy w iMagazine wielokrotnie. W wyzwaniu uczniowie mieli za zadanie stworzyć innowacyjny projekt w aplikacji Swift Playgrounds.

Apple organizuje coroczny konkurs Swift Student Challenge już od kilku lat. Zazwyczaj ruszał wraz z ogłoszeniem daty WWDC. Tym razem konkurs został ogłoszony 5 lutego, a uczniowie mieli trzy tygodnie na przesłanie swoich prac do Apple.

Wyróżnieni zwycięzcy, Distinguished Winners, zostaną zaproszeni do siedziby Apple w Cupertino w Kalifornii, gdzie będą mogli nawiązać kontakt z rówieśnikami i zespołem Apple, podczas gdy wszyscy pozostali zwycięzcy otrzymają bezpłatne roczne członkostwo w programie Apple Developer.

Jak pisałem wcześniej, to wyjątkowy sukces, że w tym roku mamy aż czterech finalistów oraz jednego zwycięzcę. Poznajcie Wita Owczarka, naszego tegorocznego Distinguish Winaera, oraz trzech Jakubów – Jakuba Florka, Jakuba Ptasznego oraz Jakuba Milcarza. Wielkie gratulacje!

Udało nam się z nimi skontaktować i poprosić ich o komentarz oraz kilka słów o sobie i swoich projektach. Jestem pod niesamowitym wrażeniem kreatywności...



Wit Owczarek

Jestem uczniem trzeciej klasy Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Reytana w Warszawie.

Zacząłem programować, gdy miałem 13 lat. Początkowo była to Java, w której tworzyłem proste algorytmy. Poza tym bardzo mnie interesowały mody do Minecrafta i wówczas dużo czasu poświęciłem nauce programowania. Oglądałem filmy instruktażowe, szukałem kursów online, po których udało mi się stworzyć pierwsze aplikacje. Z drugiej strony, zawsze interesowało mnie działanie aplikacji iOS, więc po dwóch latach zacząłem kodować w Swift.

Do tegorocznego Swift Student Challenge zgłosiłem Pushaton. To gra 2D, zbudowana w SpriteKit framework, w której biegniesz przez dżunglę, pokonujesz przeszkody i zdobywasz punkty. Jej wyróżnikiem jest unikalny sposób interakcji, ponieważ skoki wymagają od gracza wykonania pompek w świecie rzeczywistym. Ta funkcja działa na podstawie obrazu transmitowanego na żywo z kamery. Wyodrębnia kluczowe punkty ciała, które są przekazywane do modelu deep learning, który samodzielnie



przygotowałem w Pythonie. Model ocenia, w jakiej pozycji znajduje się ciało gracza i czy pompka została wykonana.

Główną częścią aplikacji jest model, który zbudowałem w celu rozpoznawania poszczególnych etapów ruchu pompki. Spędziłem nad nim półtora miesiąca, tworząc ponad 20 różnych wersji. Rozpocząłem od trenowania modeli 3D CNN. W tym celu zebrałem ponad 80 000 zdjęć osób wykonujących pompki – to było duże wyzwanie, w którym uczestniczyło wielu moich kolegów.

Niestety, wyniki uzyskane z modeli 3D CNN nie były zadowalające, co skłoniło mnie do poszukiwania alternatywnych rozwiązań. Zwróciłem się ku transfer learning, wykorzystując pretrenowane modele jako bazę, z nadzieją na poprawę dokładności. Kiedy to podejście również nie spełniło oczekiwań, podjąłem próbę implementacji metody Dense Optical Flow, która miała na celu lepsze śledzenie ruchu i pozycji ciała w czasie. Jednakże to było zbyt wolne i nie ograniczyło się do pompek. W końcu kluczowym krokiem okazało się zastosowanie modelu LSTM, trenowanego bezpośrednio na podstawie punktów położenia ciała zarejestrowanych przez kamerę. To podejście znacząco poprawiło dokładność detekcji.

Ostatecznie powstało ciekawe wdrożenie, które gamifikuje proces ćwiczenia. Pushaton to moje drugie zgłoszenie do Swift Student Challenge. W tym roku byłem jeszcze bardziej zdeterminowany, żeby wygrać i, jak widać, udało się.

Obecnie pracuję nad Wigion – kolejną aplikacją, która oferuje nowe widżety do Notion. To popularna aplikacja, ale oferuje bardzo podstawowe widżety. Postanowiłem to zmienić i stworzyć nowe, bardziej interaktywne, które wykorzystują funkcjonalności iOS17.

Poza programowaniem lubię ćwiczyć. Stąd pomysł na pompki w Pushatonie. Drugą moją pasją jest budowanie customowych klawiatur, a przy okazji lutowanie. Rok temu zrealizowałem projekt, który, analizując kształt dłoni i rozmieszczenie palców, generował optymalny układ klawiszy dla klawiatury.

Konferencję WWDC oglądam od 2018 roku. Początkowo robiłem to bardziej dla produktów Apple. Dopiero w 2020 roku zacząłem patrzeć na to



wydarzenie z perspektywy dewelopera i zdobywania wiedzy pod nowe projekty i aplikacje. W ostatnim czasie bardzo interesowały mnie zmiany, jakie Apple wprowadza do App Store w Europie, aby spełnić wymagania stawiane przez Unię Europejską. Nie mam szczególnych oczekiwań wobec WWDC24, ale na pewno będzie to ciekawe wydarzenie.

Moim zdaniem najlepszymi źródłami do nauki kodowania w języku Swift są YouTube oraz dokumentacja techniczna Apple, a także wszystkie materiały wideo z konferencji WWDC, które są dostępne za darmo online. Swift jest przyjazny dla początkujących, ponieważ zawiera ładny i całkiem prosty syntax. Pozwala także na tworzenie różnorodnych aplikacji, od mobilnych po webowe, wyróżniając się szybkością pisania kodu.

W przyszłości chciałbym zostać indie developerem i realizować własne pomysły na aplikacje, które byłyby moim źródłem utrzymania. Jeszcze nie myślałem o kierunku studiów, jaki wybiorę po ukończeniu liceum, ale na pewno będzie on związany z IT.

Czy wyjadę na tegoroczną konferencję WWDC do Kalifornii? Wszystko na to wskazuje!





Jakub Florek

Pochodzę z Tarnowa, a obecnie studiuję Computer Science and Engineering na Delft University of Technology (Holandia). Decyzja o studiach poza Polską była ciekawym zbiegiem okoliczności i w dużym stopniu następstwem sukcesu, jaki osiągnąłem podczas Swift Student Challenge w 2021 roku. Tarnów to małe miasto i nie miałem wielu znajomych, z którymi mógłbym wspólnie rozwijać się w wybranym kierunku. Swift Student Challenge pomógł mi podjąć decyzję, aby wyjechać i kontynuować edukację w Holandii. Dzięki konkursowi Apple poznałem wielu ciekawych ludzi z całego świata.

Moja przygoda z kodowaniem rozpoczęła się od gier wideo. Jako nastolatek chciałem stworzyć coś swojego. Próbowałem sił w Unity, tworzyłem proste gry w C# i wtedy przyszła pandemia. Moja siostra potrzebowała laptopa z kamerą do pracy zdalnej, a ja przypomniałem sobie o starym MacBooku mojego taty. Poszedłem na strych po stary komputer i zainteresowałem się językiem Swift. Moim ówczesnym marzeniem było stworzenie aplikacji iOS. Podczas pandemii obejrzałem wiele tutoriali i stworzyłem swoje pierwsze proste aplikacje.



Na początku 2021 roku w Tarnowie pojawił się nowy przewoźnik komunikacji zbiorowej. Rozkład jazdy autobusów był trudno dostępny. Jednocześnie powstawała lokalna aplikacja mobilna, która nie miała swojej wersji na iOS. Skontaktowałem się z osobami realizującymi ten projekt i stworzyliśmy aplikację, która w mojej ocenie osiągnęła całkiem spory sukces. Był to projekt charytatywny. Miałem dużą satysfakcję, gdy widziałem mieszkańców Tarnowa, którzy codziennie korzystali z mojej aplikacji. To mnie bardzo zmotywowało do dalszych działań. Otworzyłem się na świat, poznałem nowych ludzi i aplikowałem do Swift Student Challenge.

Poza programowaniem od wielu lat muzykuję. Jestem zapalonym gitarzystą i chciałem połączyć te dwie pasje. Od drugiej klasy szkoły podstawowej śpiewałem w chórze katedralnym. Kilka lat później zacząłem grać na gitarze. Śpiewanie w chórze mocno wpłynęło na moje gusta muzyczne. Czasami moi koledzy irytują się, gdy odtwarzam Mozarta czy Beethovena. W mojej ocenie to doskonała muzyka do kodowania. W 2022 roku stworzyłem aplikację do tworzenia efektów dźwiękowych, inspirowaną efektami gitarowymi, a dzięki kolejnej edycji Swift Student Challenge poznałem jeszcze większe grono młodych programistów.

W ostatnim roku bardziej zająłem się tworzeniem aplikacji narzędziowych, które pomagają kreować nowe rzeczy. Mój tata jest współwłaścicielem firmy, która sprzedaje akcesoria meblowe. Korzystał z programu do aranżacji zabudowy kuchennej z gotowych modeli szafek. Tworzenie modeli kuchni na komputerze było bardzo czasochłonne, bo wiązało się z wypełnianiem Excela. Dlatego postanowiłem stworzyć aplikację na iPada, zawierającą predefiniowane obiekty z funkcjami drag & drop, eksportu i opisami. To dotychczas mój najbardziej skomplikowany projekt i jestem z niego dumny.

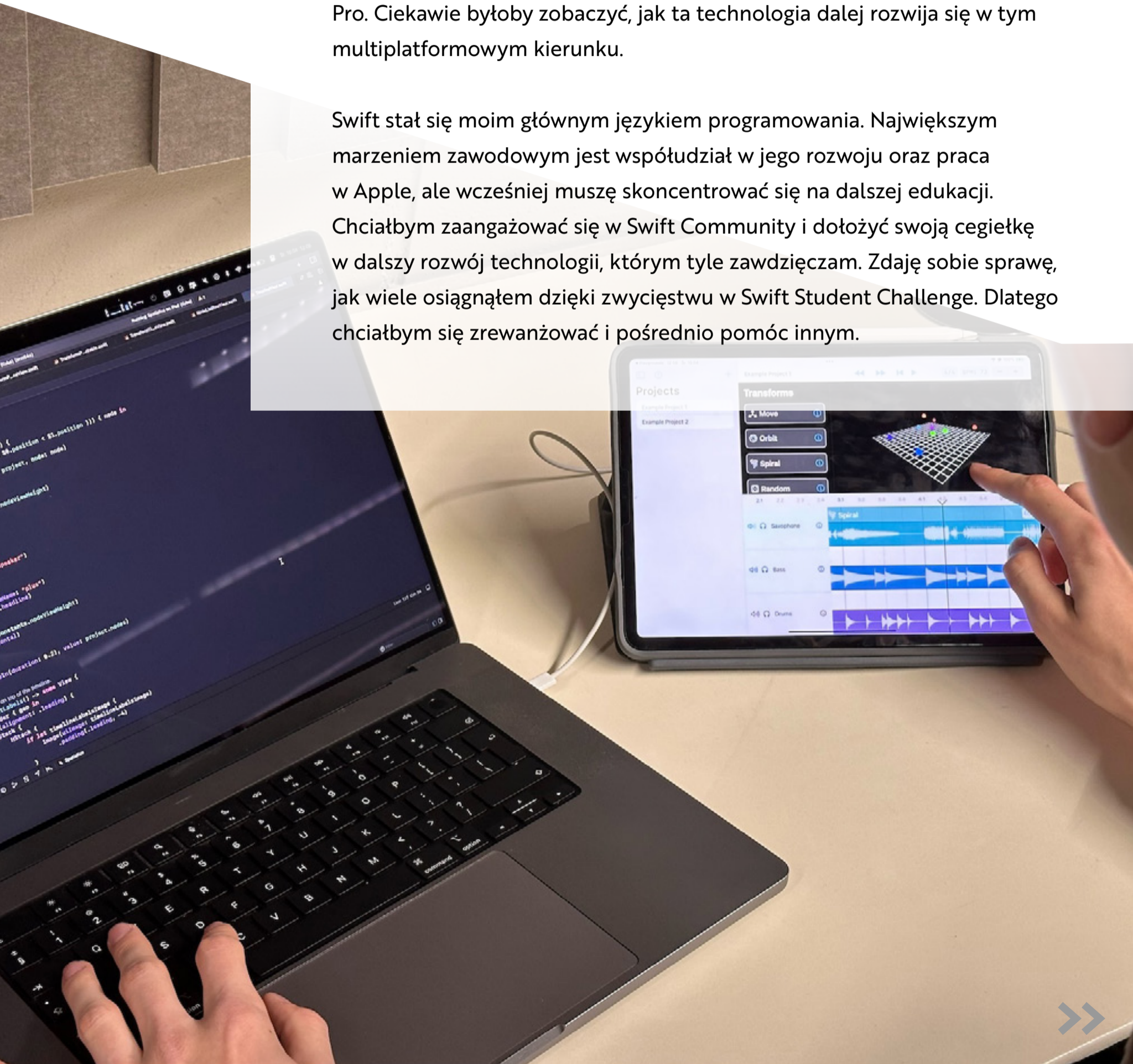
Nowe doświadczenie pomogło zrealizować mi jeszcze bardziej zaawansowany projekt, który zgłosiłem do tegorocznego Swift Student Challenge. Stworzyłem znacznie bardziej skomplikowane interfejsy, wykorzystałem technologię spatial audio i znalazłem interesujący framework Apple, który pozwala umieszczać wirtualne głośniki i tworzyć bardzo ciekawe efekty dźwiękowe. Na przykład, perkusja orbituje wokół słuchacza, a gitara zanika w konkretnym miejscu. Było ciężko, bo część kodu pisałem nawet w przerwach na lunch, ale jestem bardzo zadowolony z efektów. Tym bardziej że



lubię eksperymentować z muzyką. Do tegorocznego zgłoszenia Swift Student Challenge przygotowałem „Us and Them” Pink Floydów. Jestem bardzo zadowolony, w jaki sposób udało mi się zmienić dynamikę tego utworu.

Przed WWDC zawsze jestem podekscytowany możliwością nawiązania nowych kontaktów z innymi uczestnikami Swift Student Challenge. W tym roku na pewno oczekuję nowości dotyczących Vision Pro i rozszerzonej rzeczywistości oraz dalszych zmian w SwiftUI. Już teraz SwiftUI umożliwia bezproblemową pracę na wszystkich platformach, od iPhone’a po Vision Pro. Ciekawie byłoby zobaczyć, jak ta technologia dalej rozwija się w tym multiplatformowym kierunku.

Swift stał się moim głównym językiem programowania. Największym marzeniem zawodowym jest współdziałanie w jego rozwoju oraz praca w Apple, ale wcześniej muszę skoncentrować się na dalszej edukacji. Chciałbym zaangażować się w Swift Community i dołożyć swoją cegiełkę w dalszy rozwój technologii, którym tyle zawdzięczam. Zdaję sobie sprawę, jak wiele osiągnąłem dzięki zwycięstwu w Swift Student Challenge. Dlatego chciałbym się zrewanżować i pośrednio pomóc innym.

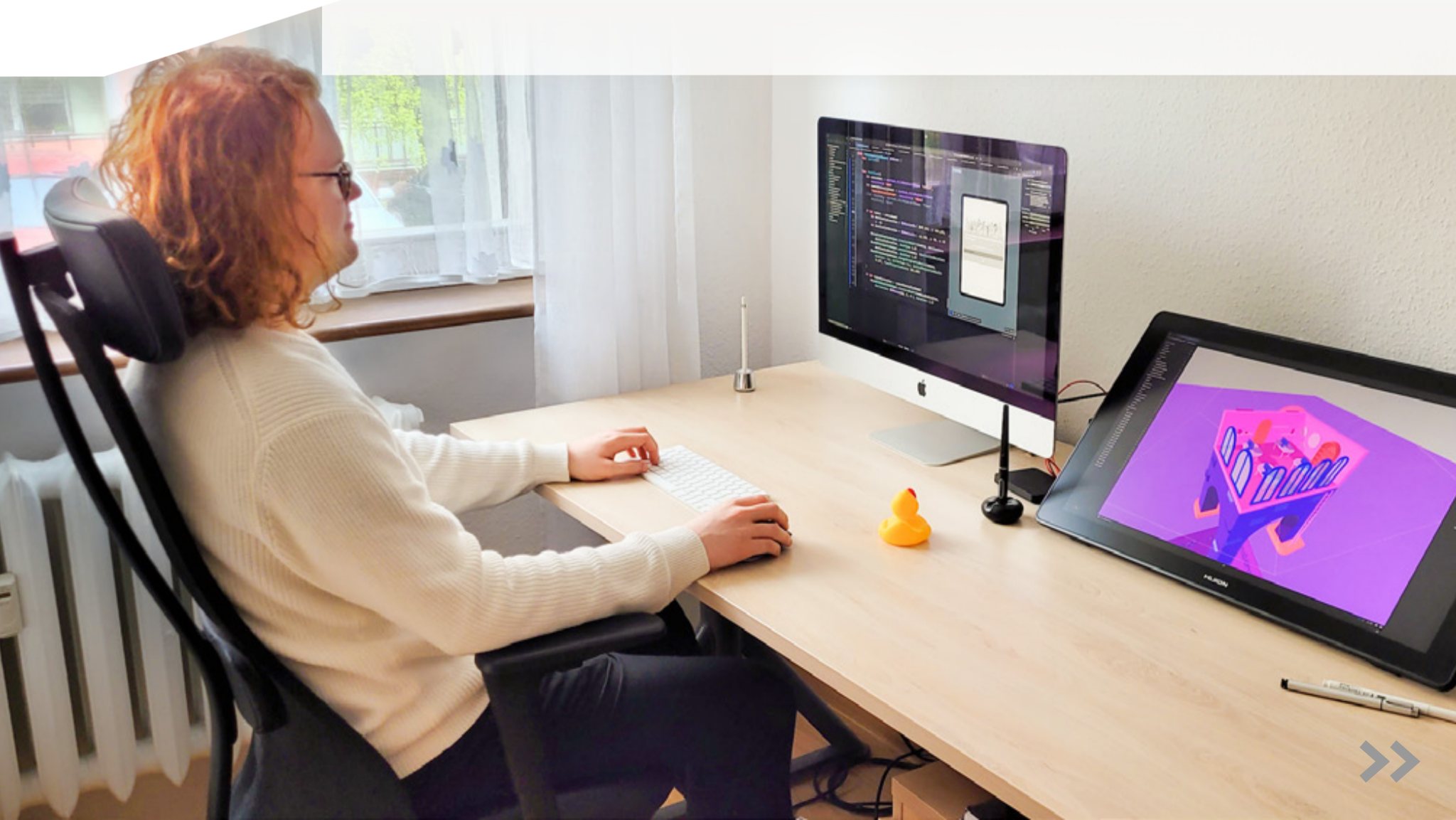


Jakub Ptaszny

Mam 21 lat. Mieszkam w Katowicach i studiuje architekturę na Politechnice Śląskiej.

Moja przygoda z kodowaniem rozpoczęła się w liceum. Podczas zajęć informatyki mogliśmy wybrać dowolny język programowania. W tamtym czasie wygrałem iPada w konkursie i znalazłem aplikację Swift Playground z wieloma interesującymi samouczkami. Aplikacja na tyle mi się spodobała, że spośród kilku języków programowania wybrałem Swift. Początkowo tworzyłem proste aplikacje typu kółko i krzyżyk oraz saper. Wiele musiałem nauczyć się samodzielnie, poza zajęciami informatyki w szkole. Do kodowania w Swift wróciłem podczas studiowania architektury na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. W tym samym czasie zainteresowałem się grafiką 3D i programem Blender, do którego piszę proste dodatki w Pythonie.

O Swift Student Challenge słyszałem wielokrotnie, ale dopiero teraz zdecydowałem się wziąć udział. Swift Student Challenge to doskonała okazja do sprawdzenia swoich umiejętności programowania, tym bardziej, gdy do dyspozycji jest taka aplikacja jak Swift Playground. Decyzja o zgłoszeniu była spontaniczna i spowodowała, że po dwóch latach przerwy wróciłem do kodowania w Swift.



Przygotowałem Playground o projektowaniu architektonicznym i wpływie warunków środowiska na budynek i jego wnętrze. Korzystałem z wielu poradników i tutoriali Swift dostępnych w internecie. Ponadto na stronach internetowych Apple dla deweloperów znalazłem ciekawe poradniki dotyczące tworzenia animacji w SwiftUI. Wszystkie materiały edukacyjne są bardzo dobrze przygotowane. Istotnie pomogły mi zrozumieć sposób pracy w Swift i przygotować zgłoszenie do Swift Student Challenge.

W wolnych chwilach tworzę grafiki 3D. Brałem udział w konkursach Pixar, w których ramach przygotowywałem artystyczne rendery 3D. Sposób myślenia programisty i wiedza o kodowaniu są przydatne na przykład podczas tworzenia efektów specjalnych. Moje prace od czasu do czasu publikuję w internecie lub pokazuję na uczelni. Działam również w kole naukowym, które obecnie zajmuje się projektowaniem mebli w Blenderze.

Tworząc projekt na Swift Student Challenge, miałem wrażenie, że w krótkim czasie sporo osiągam i szybko śledzę postępy za pomocą funkcji live preview w Xcode.

W przyszłości chciałbym częściej kodować w Swift. Praca w Swift jest niezwykle wygodna i szybka. Tworząc projekt na Swift Student Challenge, miałem wrażenie, że w krótkim czasie sporo osiągam i szybko śledzę postępy za pomocą funkcji live preview w Xcode. Podczas przygotowania zgłoszenia korzystałem z wielu narzędzi zewnętrznych, a następnie importowałem pracę do Swift.

W przyszłości chciałbym wykorzystać Swift do dalszego rozwoju projektu z mojego zgłoszenia, czyli łączenia architektury z programowaniem. Moim marzeniem jest również stworzenie nowej aplikacji, która pomogłaby studentom architektury w projektowaniu. Jako student mam doskonałą wiedzę, jakie usprawnienia byłyby najbardziej pożądane przez moich kolegów.



Programowanie z perspektywy studenta architektury jest interesujące z kilku względów. Przede wszystkim jest to obszar analiz i optymalizacji, do czego można wykorzystać Swift. Kolejnym ciekawym obszarem jest rzeczywistość rozszerzona i możliwość prezentacji budynków i wizualizacji innych obiektów na urządzeniach mobilnych, do czego można wykorzystać wiele bibliotek Swift. Tworzenie aplikacji dla VisionPro jest również interesujące, ale do realizacji tego typu zadań potrzebowałbym MacBooka z czipem M. Obecnie korzystam z iPada, którego wygrałem w konkursie rysunkowym Toyoty. Częściowo programowałem na iPadzie w aplikacji Swift Playground, a następnie kontynuowałem projekt na iMacu.

Od kilku lat regularnie oglądam konferencje WWDC, nie mam specjalnych oczekiwań wobec tegorocznego wydarzenia, ale powodów do śledzenia na pewno nie zabraknie. Na WWDC zawsze dzieje się coś ciekawego.

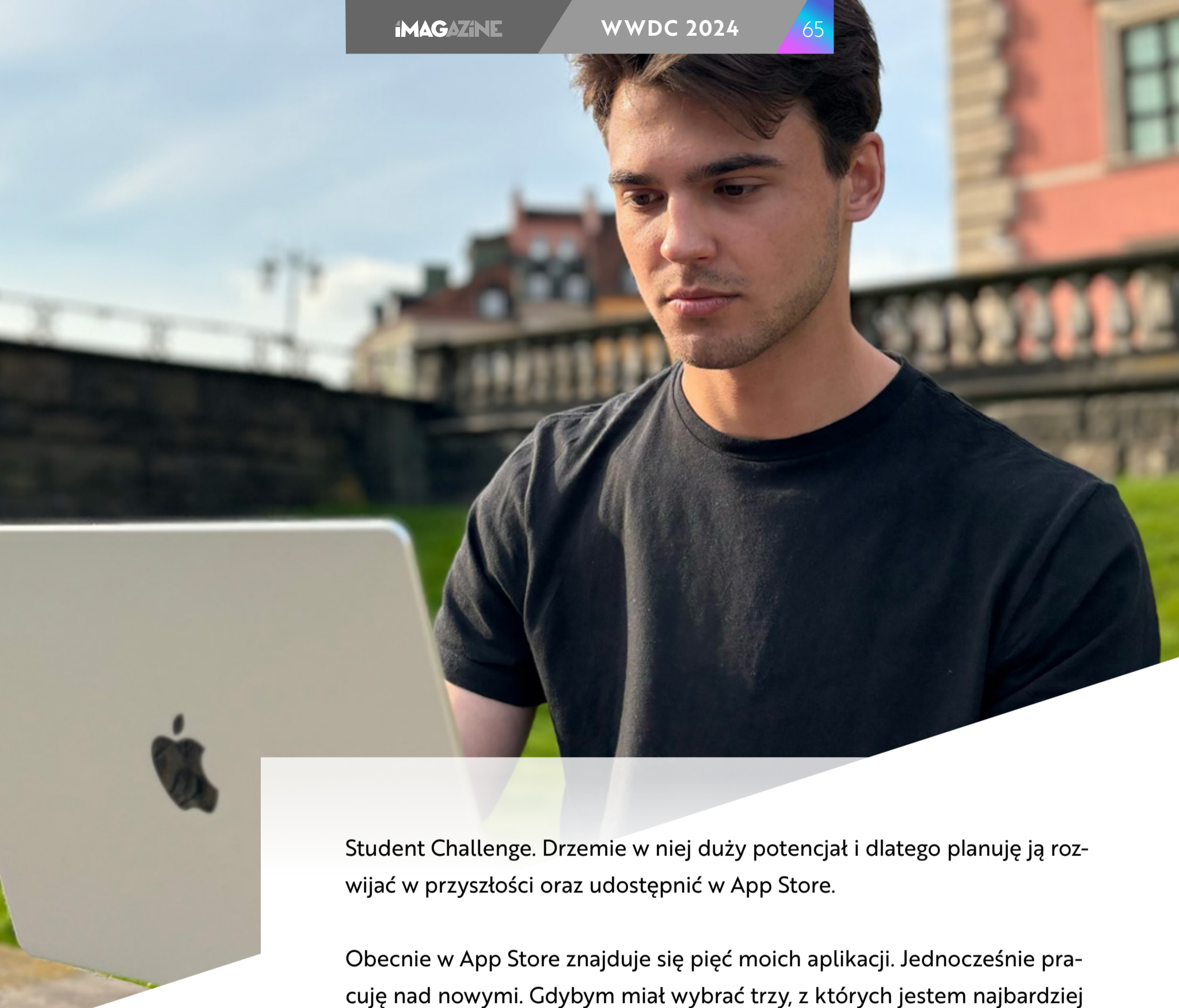
Jakub Milcarz

Mam 21 lat. Mieszkam i studiuję w Warszawie na Akademii Leona Koźmińskiego.

Moja historia z kodowaniem trwa już prawie dekadę i trudno przypomnieć mi sobie dokładne jej początki. Programowanie zacząłem traktować bardziej na poważnie od 2015 roku, gdy zająłem się tworzeniem stron internetowych w HTML, PHP, React czy Node. W międzyczasie próbowałem swoich sił w programowaniu na iOS, ale do chwili wprowadzenia SwiftUI, wcześniejszy UI kit był dla mnie barierą nie do pokonania. Mocne wejście do kodowania w Swift było jesienią 2021 roku i wszystko wskazuje, że zostanę przy Swift na dłużej.

Moim tegorocznym zgłoszeniem do Swift Student Challenge jest aplikacja wspierająca program szczepień. Stwierdziłem, że przyda się szczególnie młodym rodzicom, dla których wiele rzeczy jest nowych. Aplikacja na bieżąco śledzi wymagania dotyczące szczepień, bez względu na to, czy dziecko przebywa w Polsce, Stanach Zjednoczonych, Francji czy w Niemczech. Spełnienie obowiązku w zakresie szczepień staje się jeszcze ważniejsze po tym, jak wybrane kraje wprowadzają restrykcje wobec niezaszczepionych. Moja aplikacja powstała z myślą o zgłoszeniu do Swift





Student Challenge. Drzemie w niej duży potencjał i dlatego planuję ją rozwijać w przyszłości oraz udostępnić w App Store.

Obecnie w App Store znajduje się pięć moich aplikacji. Jednocześnie pracuję nad nowymi. Gdybym miał wybrać trzy, z których jestem najbardziej dumny, to byłyby to Memorize, Bookie i Coffee Note. Pierwsza z nich to aplikacja do nauki, w której obracamy wirtualne fiszki oraz wybieramy spośród różnych metod nauki. Memorize ma duży potencjał, a największe zainteresowanie ze strony użytkowników przypada w okresie sesji na uczelniach. Druga – Bookie Reading Tracker – odniosła największy sukces. Chciałem stworzyć aplikację, która spełni również wszystkie osobiste oczekiwania jako czytelnika. W mojej opinii udało się to osiągnąć, co widać również po zadowoleniu użytkowników. Trzecia ciekawa aplikacja to Coffee Note. Jej premiera odbyła się wiosną 2023 roku. Coffee Note pozwala użytkownikom dzielić się swoimi wrażeniami związanymi z parzeniem i piciem kawy. Obecnie jestem na końcowym etapie prac przy wersji 2.0, która wprowadza dodatkowe funkcjonalności, w tym dużą integrację z mapami. Nie mogę doczekać się jej premiery.



Swift warto polecić początkującym programistom, ponieważ jest type-safe, czyli jeżeli zmienna jest tekstem, to zawsze będzie tekstem i tego nie można nadpisać.

Wszystkie aplikacje tworzę samodzielnie i wszystkie pomysły na aplikacje wzięły się z moich pasji. Na przykład praca w Starbucks przełożyła się na Coffee Note, czytanie książek skłoniło mnie do prac nad Bookie. Kolejna moja aplikacja będzie skierowana do wszystkich, którzy kochają podróżowanie. Z kolei Memorize była inspirowana inną aplikacją, której design nie zachęcał i nie spełniała moich oczekiwań podczas nauki. Nadal poszerzam swoją wiedzę. Prowadzę również anglojęzyczny kanał na YouTube. Zachęcam również do śledzenia Swift community na platformie X.

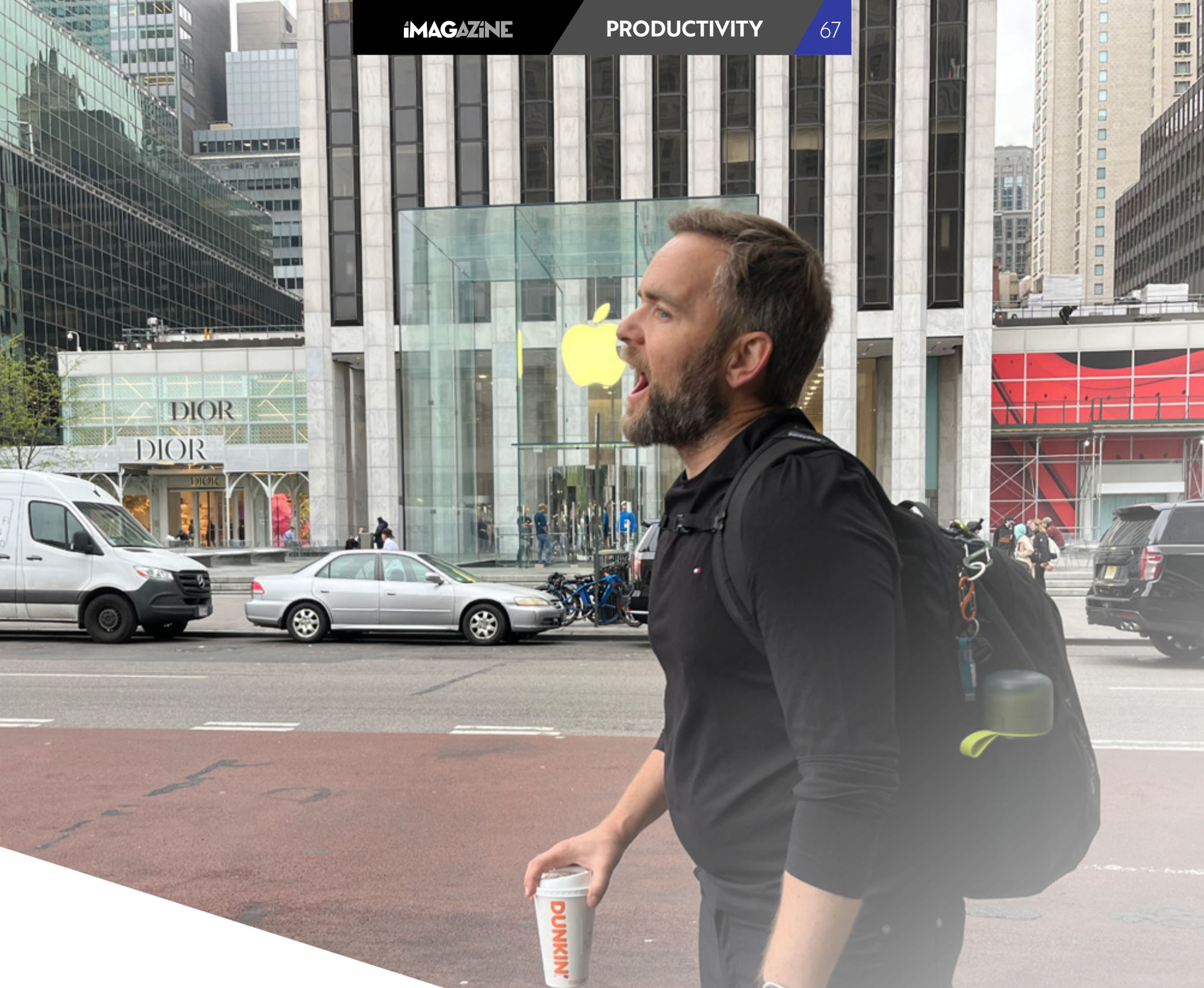
Swift warto polecić początkującym programistom, ponieważ jest type-safe, czyli jeżeli zmienna jest tekstem, to zawsze będzie tekstem i tego nie można nadpisać. Poza tym Swift jest czystym angielskim, czyli rozumiemy, co piszemy, a nie musimy posługiwać się skrótowcami, jak w przypadku Pythona.

Konferencję WWDC24 obejrzę przez internet. Oglądam wszystkie sesje WWDC i zawsze moje oczekiwania przed WWDC są duże. Pamiętam rok, kiedy pracowałem na pełen etat i dopiero w nocy oglądałem wszystkie sesje, żeby być na bieżąco.

W przyszłości chciałbym przygotowywać aplikacje na wszystkie platformy i zoptymalizować aplikacje pod działanie na różnych urządzeniach. To wszystko wymaga czasu, szczególnie gdy jesteś odpowiedzialny za utrzymanie pięciu aplikacji. Pierwszym tego przykładem jest Memorize, dostępna na macOS, iPadOS, visionOS oraz iOS.

Bardzo polecam kodowanie w Swift i udział w Swift Student Challenge. To konkurs, w którym swoich sił powinni próbować również początkujący programiści, ponieważ często najbardziej liczy się pomysł i kreatywność, a nie wykonanie i jakość kodu.





MICHAŁ ŚLIWIŃSKI
@MSliwinski

Mam mózg wyprany przez Apple. A Ty?

Zostałem fanem Apple ponad 20 lat temu, czyli zanim kupiłem od nich jakikolwiek sprzęt. Zawsze była to dla mnie marka aspiracyjna. Na moim PC oglądałem reklamy „Jestem Mac, jestem PC” i chciałem być tym gościem od Maca. Pierwszego iPhone'a kupiłem w 2007 roku. Potem MacBook Air, iPad i kolejne sprzęty, takie jak Apple TV, HomePod czy Apple Watch. Jakby tego było mało, od ponad dekady pracuję w trybie #iPadOnly, czyli to właśnie iPad Pro jest moim głównym komputerem do pracy.



Pranie mózgu... Od Steve'a Jobsa do Tima Cooka...

Przez te wszystkie lata bezgranicznie zakochałem się w ekosystemie Apple. Czasami nawet bezkrytycznie akceptowałem ich słabości, skupiając się tylko na mocnych stronach. Wybaczyłem pierwszy słaby Apple Watch czy iPada bez kamery oraz za drogiego HomePoda z fatalną Siri. Przymrużyłem oko także na słabo rozwijające się AppleTV... i ufałem, że nadrzędną wartością Apple jest prywatność użytkowników, co dodawało mi poczucie bezpieczeństwa.

Nie mogłem nie dostrzec jednak „czerwonych flag” w postaci niektórych decyzji zespołu Tima Cooka bardziej podyktowanych tabelkami

w Excelu niż dobrem użytkowników. Czy wiesz, że w roku 2010 Apple podniosło podstawową pamięć RAM w komputerach do 8 GB... i już nigdy więcej jej nie zwiększyło? Najnowszy MacBook Pro 14" z procesorem M3 z tego roku ma w podstawowej konfiguracji 8 GB RAM. Rok później, czyli w 2011, Steve Jobs zaprezentował iCloud z 5 GB pamięci na zdjęcia i kopie zapasowe. I te darmowe 5 GB obowiązuje do dzisiaj, chociaż wtedy Apple sprzedawało iPhone'y z pamięcią 16 GB, a obecnie mamy w ofercie iPhone'y 15 z pamięcią prawie 10 razy większą, czyli 128 GB. A bezpłatna pamięć iCloud nie zwiększyła się ani o jeden bajt.

Jako fan Apple jakoś nie zwracałem na te sprawy uwagi i po prostu płaciłem za duże konto rodzinne iCloud oraz dopłacałem do RAM i zarówno mój MacBook Pro z 2013, jak i iMac z 2015 roku, mają po 16 GB RAM.

w 2011, Steve Jobs zaprezentował iCloud z 5 GB pamięci na zdjęcia i kopie zapasowe. I te darmowe 5 GB obowiązuje do dzisiaj, chociaż wtedy Apple sprzedawało iPhone'y z pamięcią 16 GB, a obecnie mamy w ofercie iPhone'y 15 z pamięcią prawie 10 razy większą, czyli 128 GB.

USB-C i Unia Europejska...

W roku 2018 Apple wydało iPada Pro z portem USB-C. Pierwszy raz przyznali się praktycznie do tego, że port Lightning trafił do technologicznego lamusa i port USB-C daje większe możliwości przepustowości danych i podłączenia do różnych akcesoriów. Apple samo zmieniło swój



autorski port Thunderbolt na port w kształcie USB-C, aby jeszcze bardziej rozwinąć tę technologię.

Czy od razu potem Apple zmieniło port w swoim flagowym iPhone na USB-C? Ani w 2018, ani rok później. Dopiero wraz z iPhone 15 w 2023 roku! Czyli czekali bite 5 lat! Pięć. I to tylko dlatego, że Unia Europejska dała im ultimatum, że nie mogą sprzedawać nowych smartfonów z innym portem niż USB-C do końca roku 2024.

Wielu fanów Apple (włącznie ze mną!) i tak się zdziwiło, że nie czekali do premiery iPhone'a 16 w tym roku. Teraz, jak nad tym myślę, aż wstyd mi się przyznać, że skoro uważałem, że firma Apple będzie czekała do końca z wprowadzeniem portu USB-C, to znaczy, że z nią jest coś nie tak. Ważniejsze było dalsze sprzedawanie iPhone'a z ich własnym portem, aby nie oddać kontroli na rzecz lepszego dla użytkowników USB-C.

Kiedy w zeszłym roku kupiłem iPhone'a 15 Pro, zdziwiłem się, że Apple wprowadziło pełne wsparcie USB-C, więc większość peryferiów i kabli działa. Znowu, oczekiwałem, że tego nie zrobią, a wszyscy YouTuberzy, którzy nagrywali recenzję tego telefonu, cieszyli się z tych funkcji i dziękowali Unii Europejskiej, że „zmusiła” Apple do zmiany portu.

Pozew Epic games i relacja Apple z programistami

Moja aplikacja Nozbe jest dostępna we wszystkich App Store'ach: na iPhone, iPad i Mac. Aby tam być i abym mógł oferować użytkownikom zakładanie bezpłatnego konta Nozbe, musiałem wprowadzić obsługę płatności Apple o nazwie IAP, czyli in-app purchase. Niby dobrze, bo przecież to bardzo łatwa forma płatności dla użytkowników i do tego chroniąca ich prywatność. Super, ale z punktu widzenia programistów jest bardzo pracołębna do wprowadzenia, nie obsługuje takich

Podczas procesu wyszło na jaw, że Apple od dawna brało pod uwagę, aby zmniejszyć prowizję, ale stwierdzili, że skoro nie muszą, to po co.



podstawowych funkcji jak zwroty czy zmiany terminu płatności i do tego Apple za każdą transakcję liczy sobie 30% prowizji (obecnie, dla małych przedsiębiorców jak ja, łaskawie obniżyli prowizję do 15%).

Nie ukrywam, że na tym etapie moje różowe okulary w spojrzeniu do Apple zaczęły blednąć. Dopiero gdy firma Epic, której ta prowizja zupełnie nie pasowała, pozwała Apple, dowiedziałem się, jak moja ulubiona firma sadownicza myśli od środka. Podczas procesu wyszło na jaw, że Apple od dawna brało pod uwagę, aby zmniejszyć prowizję, ale stwierdzili, że skoro nie muszą, to po co. Zarząd Apple kontemplował ułatwienia dla programistów, ale za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: przecież nie musi, bo App Store jest jedynym sposobem, aby publikować aplikacje na iPhone'a.

DMA – Digital Markets Act i pozew DOJ – Department of Justice

I teraz przechodzimy do sedna sprawy, czyli pozwów lub rozporządzeń, które wytoczyły firmie Apple zarówno USA, jak i Unia Europejska. Nie chodzi tu tylko o same pozwy czy zarzuty, ale o odpowiedzi Apple. O to, jak zarząd Apple wcale nie chce się do tych rzeczy odnieść czy dostosować, a jak to robi, to po linii najmniejszego oporu. Apple pokazuje chciwość, cynizm i ekstremalny kapitalizm, z jakiego zawsze słynne były inne amerykańskie firmy.

Do niedawna byłem przekonany, że to te inne firmy są zorientowane jedynie na zysk, podczas kiedy Apple to ta dobra firma, dbająca o prywatność, dobro użytkowników i chroniąca środowisko. I nie mówię, że Apple o te rzeczy ciągle w jakimś stopniu nie dba, ale widzę już teraz, że niestety pod płaszczykiem tych dobrych wartości dużo częściej, niż bym chciał, zachowuje się jak każda inna amerykańska korporacja nastawiona przede wszystkim na zysk.

Przykłady obszarów, w których Apple przedkłada zysk i kontrolę ponad wszystko...

Według Apple nadrzędną zaletą iPhone'a jest prywatność użytkowników. Pięknie. Pod tą przykrywką jest ochrona przed niechcianymi reklamami i profilowaniem mnie jako użytkownika. Super, ale jak to wyjaśnimy





w kontekście reklam nie tylko w App Store, ale także w samym systemie operacyjnym, promującym ich własne rozwiązania płatne, takie jak Apple Music czy Apple TV?

Idźmy dalej. Od 2014 roku i iPhone'a 6 smartfon otrzymuje czujnik zbliżeniowy NFC. Jak bardzo jest on wykorzystywany? Nie za bardzo. Tylko do płatności Apple Pay i kilku innych zastosowań, na które pozwala Apple. Programiści mają do niego bardzo ograniczony dostęp, co powoduje, że powstaje mało systemów wspierających NFC i iPhone'y. Pod przykrywką prywatności Apple albo dogaduje się z BMW odnośnie do Klucza Apple, albo nie i wtedy, pomimo że mam iPhone'a w kieszeni, muszę kupować i używać osobne karty NFC na przykład podczas korzystania z transportu publicznego na Tajwanie, gdzie ostatnio byłem.

App Store – czy na pewno najbezpieczniejszy sposób na aplikacje na iOS?

App Store jest jedyną metodą, aby wgrywać aplikacje na iPhone'a. Co więcej, Apple prowadzi kampanię przekonywającą publikę, że dzięki ich działaniom App Store jest bezpieczne i wolne od oszustw. Niestety, tak ładnie nie jest. Nie dość, że Apple często rzuca kłody pod nogi takim programistom jak ja, kiedy publikujemy małą aktualizację do App Store'a,



jest ona często blokowana z byle powodu, to jeszcze Apple pozwala, aby w App Store były aplikacje do skanowania dokumentów, które kasują użytkowników na kilka czy kilkanaście dolarów tygodniowo. Moja aplikacja Nozbe oparta jest o miesięczny lub roczny abonament. Nie rozumiem, po co komu abonament tygodniowy na cokolwiek, jeśli nie tylko po to, aby kogoś naciągnąć lub oszukać. Ale mamy tutaj konflikt interesów, bo od tych scamerskich płatności Apple kasuje swoje 30%, czyli nie do końca w ich interesie jest takie aplikacje oszustów blokować.

Apple zawsze nas przekonywało, że wgrywanie aplikacji spoza App Store byłoby bardzo niebezpieczne. Dzięki działaniom Unii Europejskiej powstał AltStore, alternatywny App Store, i widać teraz dużo bardziej, że monopol App Store'a na iOS nie jest ochroną użytkowników, ale ochroną interesów Apple, bo w tym alternatywnym sklepie można robić aplikacje wspierane przez Patronite, dodatkowo jest możliwość dodawania emulatorów gier, którą przez lata blokowało Apple.

App Store jest sprawiedliwy i daje wszystkim równe szanse? Podczas procesów wyszło na jaw, że publicznie Apple gryzie się ze swoim konkurentem Spotify, ale prywatnie wysyła do nich własnych programistów, aby ich aplikacja dobrze działała na platformie iOS. Jakoś do Nozbe programiści Apple nie przylatują, aby mi pomóc...

iPadOS – miała być innowacja, a jest ściema

Kilka lat temu Apple ogłosiło podział mobilnego systemu operacyjnego na iOS na iPhone'a oraz iOS na iPada, czyli iPadOS. Jako osoba #iPadOnly, pracująca głównie na iPadzie, odebrałem to naiwnie jako dobry znak. Sądziłem, że będą tę platformę szybciej rozwijać.

Okazuje się, że jest dokładnie odwrotnie. Od kilku lat iPadOS otrzymuje wsparcie do nowych funkcji iOS z rocznym opóźnieniem (widżety, home screen itd.), a teraz, podczas procesu z Unią Europejską, Apple uznało, że iPadOS to nie jest iOS, czyli nawet jak się zgodzą na wymagania UE odnośnie do Digital Markets Act, to nie będzie to obejmowało iPada, bo tam nie mają monopolu. Czyli dodatkowe App Store'y, pobieranie aplikacji prosto z internetu czy alternatywne przeglądarki do Safari? Żadnej z tych rzeczy mój iPad nie otrzyma...



Apple traci moje zaufanie... A można było inaczej!

Przy okazji przemyśleń dotyczących Apple przeczytałem książkę autorstwa Trippa Mickle: „After Steve. Jak Apple zgarnęło biliony i straciło duszę”. Nie zgadzam się ze wszystkimi tezami z tej książki i nie twierdzę, że Steve Jobs na to czy na tamto by nie pozwolił, ale studiując decyzje władarzy Apple w ostatniej dekadzie, nietrudno zauważyć powolną degradację jakości, spoczywania na laurach i zachowań czysto monopolistycznych, wdrażanych pod przykrywką starych wartości. Widać arogancję, cynizm i chęć zysku, z którą dawna, mniejsza firma Apple, zdawała się walczyć.

Teraz Apple to ogromna korporacja, która zamiast wykorzystać swoją pozycję do pozytywnej zmiany, do dawania dobrego przykładu, zdaje się skręcać w tym samym kierunku, co inne notowane na giełdzie firmy.

Teraz Apple to ogromna korporacja, która zamiast wykorzystać swoją pozycję do pozytywnej zmiany, do dawania dobrego przykładu, zdaje się skręcać w tym samym kierunku, co inne notowane na giełdzie firmy. Pojawia się amerykańskie maximize shareholder value, czyli najważniejsi są inwestorzy i wzbogacanie się firmy.

Apple ciągle robi świetne produkty. Piszę ten felieton na moim ulubionym iPadzie Pro, mam na ręku zegarek Ultra, a w kieszeni iPhone'a 15 Pro. Ale teraz rozumiem, że te produkty mogłyby być dużo lepsze, gdyby ich oprogramowanie było zaprojektowane pod wykorzystanie ich możliwości, a nie chęci zysku, kontroli i umacniania pozycji monopolistycznej.

W krótkim okresie Apple cały czas ma się dobrze, ale w długim – ich działania spowodują, że tacy fani jak ja nie wierzą już wszystkim zapewnieniom działu PR Apple. Już nie mam takiego entuzjazmu do



promowania idei #iPadOnly, skoro mój iPad zamiast być lepszy od komputerów Mac czy iPhone'ów, będzie miał jeszcze gorszy system niż do tej pory.

Brak zaufania i entuzjazmu... I koniec z wypranym mózgiem!

Mogę podsumować ten felieton, parafrazując jednego z polskich polityków: „Używam sprzętu Apple, ale się nie cieszę”. A szkoda, bo kiedyś się bardzo cieszyłem, ale firmie Apple najwyraźniej na tym już tak bardzo nie zależy. Pewnie mojego malejącego entuzjazmu i spadku zaufania do Apple nie widać w ich arkuszach kalkulacyjnych. Tyle lat prania mi mózgu na marne...



iMAG

SMARTHOME

02/2023 / www.imagazine.pl



iMAGAZiNE

Mieszkać inteligentniej



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Lifestyle

Columbia Sportswear przedstawia kolekcję ICONS Chasing Waterfalls

Tegoroczna kolekcja Columbia ICONS, zatytułowana Chasing Waterfalls, nawiązuje do korzeni marki w stanie Oregon w USA oraz jej outdoorowego DNA. Limitowana kolekcja Columbia ICONS łączy w sobie wyrazistą estetykę i wysoką funkcjonalność, bo oprócz miejskiego „looku”, ma także wiele praktycznych rozwiązań, a także zaawansowanych technologii Columpii. Przykładem jest Omni-Shield, która stanowi barierę zarówno dla wody, jak i dla zanieczyszczeń, pozwalając dłużej cieszyć się czystymi ubraniami. Odzież z technologią Omni-Shield schnie 3 do 5 razy szybciej, ponieważ nie magazynuje wilgoci tak jak tradycyjne tkaniny.





Elves Avari Pro Disc 2024

Większość dostępnych na rynku ram i całych rowerów jest przeznaczona dla wyższych osób. Elves stara się wyjść naprzeciw wymaganiom kobiet czy też młodszych kolarzy. Elves Avari Pro Disc 2024 wykorzystuje pełnowymiarowy zestaw kół 700c i jest dostępny w rozmiarach od 40 do 52. Ma obniżoną o 3 cm rurę górną w porównaniu do standardowych ram, co zapewnia wygodną geometrię. Najnowsza konstrukcja odpowiednia jest dla kobiet, mężczyzn i młodszych kolarzy od 145 cm do 188 cm.

Elves uważa, że ich obowiązkiem jest etyczne zapewnienie, że wszyscy rowerzyści, od rowerzystów rekreacyjnych po aspirujących zawodników i zespoły zawodowe, będą mieli dostęp do najnowocześniejszych rozwiązań.

Ramy Elves Avari Pro Disc 2024 dostępne są w cenie 938 EUR, oczywiście z możliwością całkowitej customizacji kolorystycznej.

Cena: 938 EUR

Więcej informacji na stronie [producenta](#)



Majówka w Tyrolu

Długi weekend majowy to fantastyczna okazja, by odwiedzić Tyrol w Austrii! Wakacje na farmie, magiczne wschody słońca w górach, wycieczki z przewodnikiem, aby obserwować alpejskie zwierzęta w ich naturalnym środowisku. To właśnie tutaj odwiedzający mają największe szanse na zobaczenie rzadkich zwierząt alpejskich, w szczególności tzw. wielkiej piątki: koziorożca, kozicy, sępa brodatego, orła przedniego i świstaka. Majówka w Tyrolu to niezapomniane wakacje w pięknym otoczeniu Alp. Dzień lub noc. Góra lub dolina. Akcja lub relaks. Cokolwiek oczekujesz na majówkowy weekend, Tyrol ma to wszystko.

Więcej inspiracji na stronach [Tyrol.pl](https://www.tyrol.pl)





OnePlus prezentuje OnePlus Watch 2 Nordic Blue Edition

OnePlus powiększa portfolio swoich urządzeń, które oferowane są na europejskim rynku. OnePlus Watch 2 Nordic Blue Edition, inspirowany skandynawskim pięknem i estetyką wzornictwa, stanowi połączenie stylu i funkcjonalności. Żeglarskie barwy: błękitny i jasne biele, dwukolorowa niebieska tarcza tworzą spójną kompozycję i nadają całości wygląd klasycznych, morskich chronometrów. OnePlus Watch 2 Nordic Blue działa na specjalnej architekturze Dual-Engine z dwoma chipsetami Snapdragon W5 i BES 2700, które zapewniają wysoką wydajność i czas pracy baterii do 100 godzin. W numerze testujemy jego podstawową wersję – [polecam tekst Darka](#).



Lodówka Samsung AI Family Hub™

Samsung zaprezentował najnowszą linię urządzeń AGD podczas globalnego wydarzenia pod hasłem Welcome to BESPOKE AI, które odbyło się równoległe w Seulu, Paryżu i Nowym Jorku. Szczególnie ciekawa wydaje się 4-drzwiowa lodówka French Door, AI Family Hub™, która staje się głównym centrum sterowania wszystkim, co wiąże się z żywnością, łącząc lodówkę z innymi urządzeniami w domu. AI Family Hub™+ to duży ekran LCD w przednim prawym panelu lodówki, gdzie użytkownicy mogą przeglądać polecane przepisy oraz odtwarzać muzykę i filmy. Lodówka AI Family Hub™ jest wyposażona w funkcję AI Vision Inside, która wykorzystuje wewnętrzną kamerę do identyfikacji 33 świeżych produktów spożywczych wkładanych do lodówki i wyjmowanych z niej. Rozpoznane produkty spożywcze są wyświetlane i można nimi zarządzać na ekranie Family Hub™, a także sprawdzić je w aplikacji SmartThings. Co najważniejsze, nowe lodówki dzięki AI potrafią zużywać ponad 10% mniej energii niż dotychczasowe modele.





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

Cartier Santos-Dumont

Historia zegarka Cartier Santos-Dumont to fascynująca opowieść o innowacji, przyjaźni i elegancji, która rozpoczyna się na początku XX wieku. Jest to jedna z pierwszych kreacji zegarków na rękę, która zmieniła sposób, w jaki ludzie postrzegali i używali czasomierzy.





Początki i inspiracja

Wszystko zaczęło się od przyjaźni dwóch wyjątkowych postaci: Alberto Santos-Dumont, brazylijskiego lotnika i awanturnika oraz Louisa Cartiera, paryskiego jubilera i zegarmistrza. Santos-Dumont był znanym pionierem lotnictwa, który często borykał się z problemami związanymi z kontrolowaniem czasu podczas swoich lotów. Trudności w korzystaniu z kieszonkowego zegarka podczas pilotażu skłoniły go do poszukiwania rozwiązania, które umożliwiłoby mu lepsze zarządzanie czasem w powietrzu. W 1904 roku, reagując na potrzeby swojego przyjaciela, Louis Cartier zaprojektował zegarek, który mógłby być noszony na nadgarstku. Było to przełomowe rozwiązanie, które pozwoliło na łatwy dostęp do czasu bez konieczności sięgania do kieszeni.





Design i cechy

Zegarek, który Cartier stworzył dla Santosa-Dumont, był prosty, elegancki i funkcjonalny. Miał kwadratową kopertę, co było nietypowe w tamtym czasie, kiedy dominowały zegarki z okrągłymi tarczami. Co więcej, jego projekt był odpowiednio dopasowany do stylu życia lotnika, z łatwo czytelną tarczą i dużymi cyframi arabskimi. Zegarek był także wyposażony w skórzany pasek, co było innowacją, ułatwiającą jego noszenie.

Produkcja i wprowadzenie na rynek

Pierwsze modele zegarka Santos-Dumont zostały udostępnione szerokiej publiczności w 1911 roku. Szybko zyskały popularność nie tylko wśród entuzjastów lotnictwa, ale również u szerokiego grona odbiorców ceniących innowacyjność i styl. Zegarek stał się symbolem nowoczesności i luksusu.

Ewolucja i dziedzictwo

Przez lata zegarek Santos-Dumont przeszedł różne modyfikacje i udoskonalenia, ale zawsze pozostał wierny swojej pierwotnej idei elegancji i funkcjonalności. Cartier wprowadzał różne warianty tego modelu, wykorzystując nowe materiały i technologie, ale zawsze zachowując charakterystyczną, kwadratową kopertę.





Dzisiejsze modele Santos-Dumont są wyposażone w nowoczesne mechanizmy i oferowane w różnych wariantach stylistycznych, od stali nierdzewnej po szlachetne metale, z zachowaniem oryginalnego ducha innowacji i klasy.

Moda, Santos-Dumont i Santos de Cartier

Zegarki Cartier to jedne z niewielu na rynku, tworzone przez markę głównie kojarzoną z modą, które rzeczywiście reprezentują najwyższe ideały zegarmistrzostwa. Wśród oferty znajdziemy wiele wyjątkowych egzemplarzy, mających znaczący wpływ na ewolucję zegarków mechanicznych, ale to właśnie kolekcja Santos de Cartier jest moją ulubioną.

W ramach tej rodziny, obok eleganckich modeli Santos-Dumont, często wyposażanych w skórzane paski, znajdziemy również bardziej sportową serię Santos de Cartier, najczęściej wyposażaną w metalowe bransolety, która pomimo tej samej genezy różni się założeniami i powstała dopiero w 1978 r. Nie pomylcie się!

Santos-Dumont dzisiaj

Wśród wszystkich modeli Santos-Dumont znajdziemy dzisiaj kilka wyjątkowych egzemplarzy, z których najbardziej do gustu przypadł mi Santos-Dumont Skeleton



Micro-Rotor. Model z 18-karatowego złota z lakierowaną na niebiesko kopertą jest limitowany do 150 szt., a seria zaprezentowana została w 2023 r. z całkowicie nowym kalibrem 9629 MC. W jej ramach znajdziemy również model stalowy oraz z różowego złota, a najważniejszym jego wizualnym elementem jest mały samolot zdobiący mikrorotor. To odwzorowana La Demoiselle Alberto Santos-Dumonta, z 1907 r. Ceny zaczynają się od ok. 30 tys. USD.

Rodzina zegarków Santos-Dumont pozostaje dzisiaj jednym z najbardziej rozpoznawalnych i cenionych modeli w portfolio Cartiera, będąc jednocześnie symbolem ponadczasowej elegancji i innowacyjnego ducha.



Bezpiecznie, inteligentnie, prosto

Monitoring

Oświetlenie

Czujnik otwarcia
drzwi i okien
Tapo T110

Czujnik temperatury
i wilgotności
Tapo T315

Czujniki
i automatyka

Roboty
odkurzające
Smart

Robot
odkurzający i mopujący
z czujnikiem LiDAR
Tapo RV30

TP-Link Tapo to kompletny system smart home, który sprawi, że Twój dom będzie bezpieczny, inteligentny i energooszczędny. Żarówki oraz listwy LED pozwolą Ci stworzyć niezapomniany nastrój oraz odstraszą włamywaczy podczas Twojej nieobecności. System monitoringu wyśle powiadomienie, gdy tylko wykryje ruch. Nad Twoją wygodą będą czuwały czujniki, które dodatkowo zautomatyzują pracę kamer oraz oświetlenia.



ANIA GABRYŚ
@ania13

Dwie prędkości rozwoju, czyli tam, gdzie Polska jest królową

Świętujemy w tych dniach 20-lecie wstąpienia Polski do Unii Europejskiej i wiele się przy tej okazji mówi o tym, jaki skok wykonała Polska w ciągu tych dwóch dekad. Warto przy tej okazji powiedzieć sobie wprost, że to nie była ewolucja, ale rewolucja, której – najgorzej – nie doceniamy na co dzień, szczególnie w zakresie technologii.



Sporo szwendałam się po świecie i często nie były to tygodniowe wyjazdy wakacyjne. Moje „all inclusive” wiązało się z pełnym pakietem: mieszkaniem lub pracą przez wiele miesięcy czy lat w danym kraju. Poznaje się w ten sposób nie tylko to, co oferują tour operatorzy, czyli wersję „dla turysty”, ale doświadcza się wielu bolączek. Podatki, opieka lekarska, spotkania z policją, szkoła/uczelnia, wynajem mieszkania... W większości przypadków miałam wrażenie, że wszędzie jest lepiej i łatwiej niż w Polsce. A potem chciałam się połączyć z internetem...

Podatki, opieka lekarska, spotkania z policją, szkoła/uczelnia, wynajem mieszkania... W większości przypadków miałam wrażenie, że wszędzie jest lepiej i łatwiej niż w Polsce. A potem chciałam się połączyć z internetem...

Jeden z pierwszych zonków to chyba 2005 rok w Pradze. Jechałam na pół roku, spakowałam laptopa i pomyślałam, że podobnie jak na Rynku krakowskim, na którymś z placów stolicy Czech usiądę w kafejce i połączę się z jakimiś internetami. Na Rynku w Krakowie, dodam, hulał bezprzewodowy miejski internet, najlepiej działał pod Wieżą Ratuszową. No i zonk, bo kogo pytałam, to nie wiedział, co mówię do niego – a bądźmy pewni, bariera językowa nie była barierą.

Ciągnąc wątek internetowy – przed i po Pradze mieszkałam w Berlinie, w ładnej i dobrej dzielnicy Schöneberg. Na balkonie w słoneczny dzień mogłam się połączyć z piętnastoma sieciami Wi-Fi, żadna nie była zabezpieczona hasłem. Serio.

W tym samym czasie, w Berlinie, korzystając z mojej zabezpieczonej sieci Wi-Fi, podkreślam, robiłam przelewy internetowe, żeby opłacić jakieś tam rzeczy z polskiego konta. Bankowość internetowa w Polsce – w ogóle systemy bankowe – dzięki temu, że powstawały od zera po 1989 roku, były znacznie bardziej zaawansowanej niż systemy bankowe Europy Zachodniej. Jeden z polskich banków został wykupiony przez znacznie bogatszego partnera z Zachodu i znajoma pracowniczka jednego z polskich oddziałów płakała, że przychodzą ci zagraniczniacy i każą im niemal liczydeł używać...

Prędkość internetu też miała znaczenie. Zdaje się, że do dzisiaj ma – Europa Zachodnia swoją infrastrukturę telekomunikacyjną tworzyła jeszcze przez



Czasem po prostu dobrze startować z dużym opóźnieniem, bo szybciej wdraża się nowinki.

tw. rewolucją internetową. Polska była spóźniona i robiła to na żywo i – z mojego punktu widzenia – znakomicie. Przypomina mi się czas zamknięcia pandemicznego, gdy moi koledzy i koleżanki we Francji musieli wyłączać kamery na wideo (sic!) callach, bo ich domowe sieci nie były w stanie znieść obciążenia. Prosili o przesunięcie spotkania, bo „ktoś inny w domu ma równocześnie calla i sieć nie znieśie równoczesnego obciążenia”. Z Polski takich problemów nie komunikowano... Coś poszło dobrze.

Stoimy naprawdę nieźle pod względem technologicznym i choć nie jest to wyłącznie zasługa Unii Europejskiej, to wiele działań UE stymulowała, choćby transferując fundusze na kulturę cyfrową (ile muzeów usprawniło infrastrukturę dzięki grantom unijnym, ile kolekcji pokazano w internecie dzięki programom digitalizacyjnym!). Nie tylko Unia, bo ten postęp zaczął się znacznie wcześniej. Czasem po prostu dobrze startować z dużym opóźnieniem, bo szybciej wdraża się nowinki. A akurat w zakresie technologii pojawianie się nowinek przyspieszyło drastycznie. Taki BLIK choćby – umiecie sobie wyobrazić życie bez BLIK-ów? A to jakieś 10 lat, odkąd istnieje...

Pewnie wiele wspólnego z tym polskim przyspieszeniem rozwoju technologicznego miało utworzenie się polskiej klasy informatycznej – sądzę, że socjolodzy za jakieś parę lat będą badać to specyficzne polskie zjawisko. Jak niegdyś 10% szlachty nadawało ton społeczeństwu Rzeczypospolitej, tak dzisiaj „wszyscy robimy w IT”, jak się mawia na spotkaniach polskiej klasy średniej (lub średniej aspirującej).

Nie ma to jednak większego znaczenia, kto to sprawił, bo na koniec dnia liczy się po prostu to, że pod względem dostępności ułatwień wynikających z rozwoju technologii po prostu fajnie i dobrze żyć w Polsce. Dodajmy: w Polsce, która jest częścią Unii Europejskiej, od 20 lat.

PS. Tego dnia, 1 maja 2004 roku, tańczyłam na Champs-Élysées, gdzie z dużym wzruszeniem odszukałam polską flagę. Poważnie, byłam bardzo wzruszona i dalej jestem.



ELVES
BIKES POLSKA

LUKSUS W PRZYSTĘPNEJ CENIE!



**Niesamowite ramy, koła
i kompletne zestawy z włókna węglowego**





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

House of Marley Get Together 2 Mini

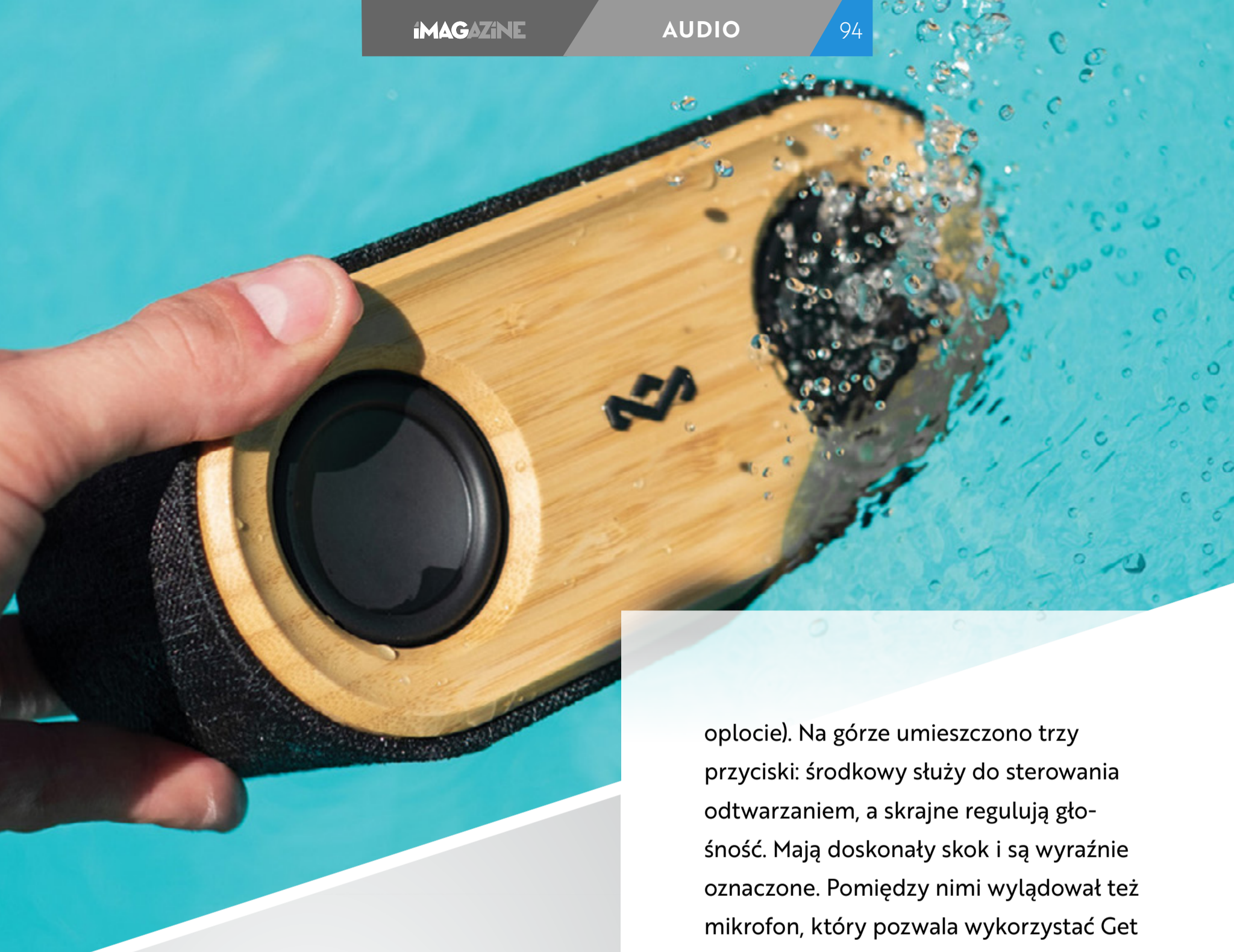
Gdy czytacie ten tekst w momencie pojawienia się nowego wydania iMagazine, z dużym prawdopodobieństwem możecie odpoczywać w tej chwili poza domem. Z równie dużą pewnością mogę napisać, że muzyka brzmiąca w tle tylko umiliłaby Wam ten czas.



Czasy, w których przenośne głośniki oferowały jedynie ułamek możliwości stacjonarnych urządzeń, dawno już minęły. Oczywiście, żadna mobilna konstrukcja nie zapewni takich wrażeń jak porządne stereo, niemniej mobilne sprzęty audio oferują obecnie bardzo dobrą jakość brzmienia. House of Marley Get Together 2 Mini na tym nie poprzestaje, bo podczas projektowania go duży nacisk położono nie tylko na dźwięk, ale i na to, by sprawdzał się w każdych warunkach. Jego obudowę wykonano z materiałów, które łatwo poddamy recyklingowi, a jednocześnie czyniących każdy egzemplarz unikalnym. Wszystko przez bambusowy front, na którym umieszczono dwa głośniki oraz logo producenta. Bambusowy akcent mamy też z tyłu. Korpus jest aluminiowy, ale pokrywa go matowa, przyjemna w dotyku guma, w której zatopiono jasne drobiny, ożywiające ciemne powierzchnie. Boczną część pokryto natomiast grubą, ziarnistą tkaniną, dzięki której głośnik pewniej leży w dłoni. Robi wrażenie bardzo odpornej na przetarcia i łatwej w czyszczeniu. Na spodzie dodano jeszcze dwie gumowe podstawki, by materiał nie brudził się o podłoże.

Na boku znalazł się uchwyt na smycz – dostajemy ją w komplecie z urządzeniem, podobnie jak kabel USB do ładowania (i to w bawełnianym





oplocie). Na górze umieszczono trzy przyciski: środkowy służy do sterowania odtwarzaniem, a skrajne regulują głośność. Mają doskonały skok i są wyraźnie oznaczone. Pomiedzy nimi wylądował też mikrofon, który pozwala wykorzystać Get Together 2 Mini jako zestaw głośnomówiący. Z tyłu natomiast znalazł się włącznik oraz przełącznik korekcji brzmienia, który dodatkowo jest podświetlony, sygnalizując wybrany tryb. Po przeciwległej stronie umieszczono klapkę osłaniającą wejście mini Jack oraz port USB, służący jedynie do ładowania. Klapka jest gruba i ma uszczelkę, co nie dziwi, całe urządzenie ma bowiem IP67, co czyni je idealnym do używania na zewnątrz, bez względu na pogodę. Urządzenia nie zaprojektowano jednak do używania w skrajnych warunkach, choćby z uwagi na brak jakiegokolwiek osłony głośników – trzeba mieć to na uwadze, jeśli zechcemy zabrać je choćby na wspinaczkę



w góry. Ogólna jakość wykonania wypada wzorowo, wszystkie elementy spasowano doskonale, równie dobre wrażenie robi skok przycisków.

Get Together 2 Mini to prosty sprzęt, który dedykowany jest przede wszystkim do współpracy ze smartfonem. Do komunikacji może wykorzystać wspomniany już port mini Jack (3,5 mm) lub Bluetooth w standardzie 5.0. Producent nie podaje, z jakiego kodeka korzysta urządzenie, ale spodziewam się, że jest to SBC – w przypadku tego typu sprzętu AAC czy aptX nie robią zauważalnej różnicy. Głośnik nie jest wspierany przez żadną aplikację, wystarczy sparować go ze źródłem po przytrzymaniu przycisku włączania na obudowie. To nieskomplikowany, mobilny sprzęt, więc brak dodatkowych opcji jest zrozumiałe. Nie oznacza to jednak, że nie da się zupełnie modyfikować brzmienia, bo urządzenie ma dedykowany przycisk do włączenia trybu Bass Boost lub Outdoor. Ten pierwszy jest przydatny, choć nie niezbędny, urządzenie brzmi dobrze również wtedy, gdy funkcja ta jest wyłączona, nie miałem wrażenia sztucznego obciążenia niskich tonów w standardowym trybie odtwarzania. W przypadku drugiego mamy podbity środek i na otwartej przestrzeni, gdzie nie możemy liczyć na żadną akustykę, sprawdza się bardzo





dobrze. Urządzenie zwraca na siebie uwagę głośnością komunikatów głosowych i innych dźwięków systemu. Są bardzo głośne, przez co nie da się go na przykład po cichu wyłączyć. Bateria Get Together 2 Mini jest dobra, szczególnie jeśli pod uwagę weźmiemy niewygórowane rozmiary urządzenia. Deklarowane przez producenta 15 godzin odtwarzania da się spokojnie osiągnąć.

Za generowanie dźwięku odpowiadają dwa pełnozakresowe, 2-calowe przetworniki o łącznej mocy 20 W. Jeśli macie jakiegokolwiek wątpliwości, czy aby na pewno tyle wystarczy, to uspokajam – tak. Odstuch robiłem z włączonym standardowym trybem odtwarzania. Get Together 2 Mini potrzebuje przynajmniej średniej głośności, by rozwinąć skrzydła, przy niskiej tony wyraźnie się zlewają. W ten sposób można jedynie słuchać podcastów czy audiobooków, ale muzyka naprawdę wiele traci. Przy średniej, a więc wciąż nadającej się do długotrwałego odstuchu głośności, robi się znacznie przyjemniej. Dźwięk nadal jest dość skoncentrowany, scenie brakuje trochę szerokości (nawet jak na tak małe urządzenie), cierpi też na tym separacja instrumentów. Wysokie tony są lekko wyciszone i wygładzone, przez co nie grożą nam kłujące dźwięki, z drugiej jednak strony utworom z wyeksponowaną gitarą akustyczną, smyczkami czy fortepianem wyraźnie czegoś brakuje. Na środku wszystko wypada równie dobrze, mimo średniej separacji można z powodzeniem odróżnić większość instrumentów,



wokale brzmią z nimi na równi, nigdzie nie giną. Próżno jednak szukać tu subtelności, to nie tego typu sprzęt. Na dole dzieje się sporo, choć należy nastawić się przede wszystkim na miękkie, dość obfity bas, który może uderzać też mocno i krótko. Podoba mi się to, że w standardowym trybie odtwarzania jest bardzo wyważony i niczego nie zakłóca, dopiero funkcja Bass Boost wyraźnie go wzmacnia, co będzie miało prawdopodobnie równie wielu zwolenników, co przeciwników. Brzmienie Get Together 2 Mini mi się podoba – oceniając głośnik przez pryzmat jego gabarytów i wysokiej mobilności, jestem bardzo zadowolony z oferowanej przez niego jakości.

Rozważając głośnik mobilny, warto wziąć pod uwagę to, gdzie będziemy go używać. Sprzęt, który poradzi sobie w domu, niekoniecznie sprawdzi się na zewnątrz, i to nie tylko z powodu odporności na wodę czy pył. Get Together 2 Mini dostosowano i do wnętrza, i do otwartych przestrzeni. Brzmienie satysfakcjonuje, ponadto nie sposób nie polubić tego, jak to urządzenie wygląda. Jakość wykonania oraz design są absolutnie wyjątkowe, więc jeśli znudził się Wam już minimalizm, House of Marley ma dla Was świetną propozycję.

House of Marley Get Together 2 Mini



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: n/d
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- wytrzymała, odporna na wodę obudowa
- bardzo ładny i unikalny design
- dobre, wszechstronne brzmienie

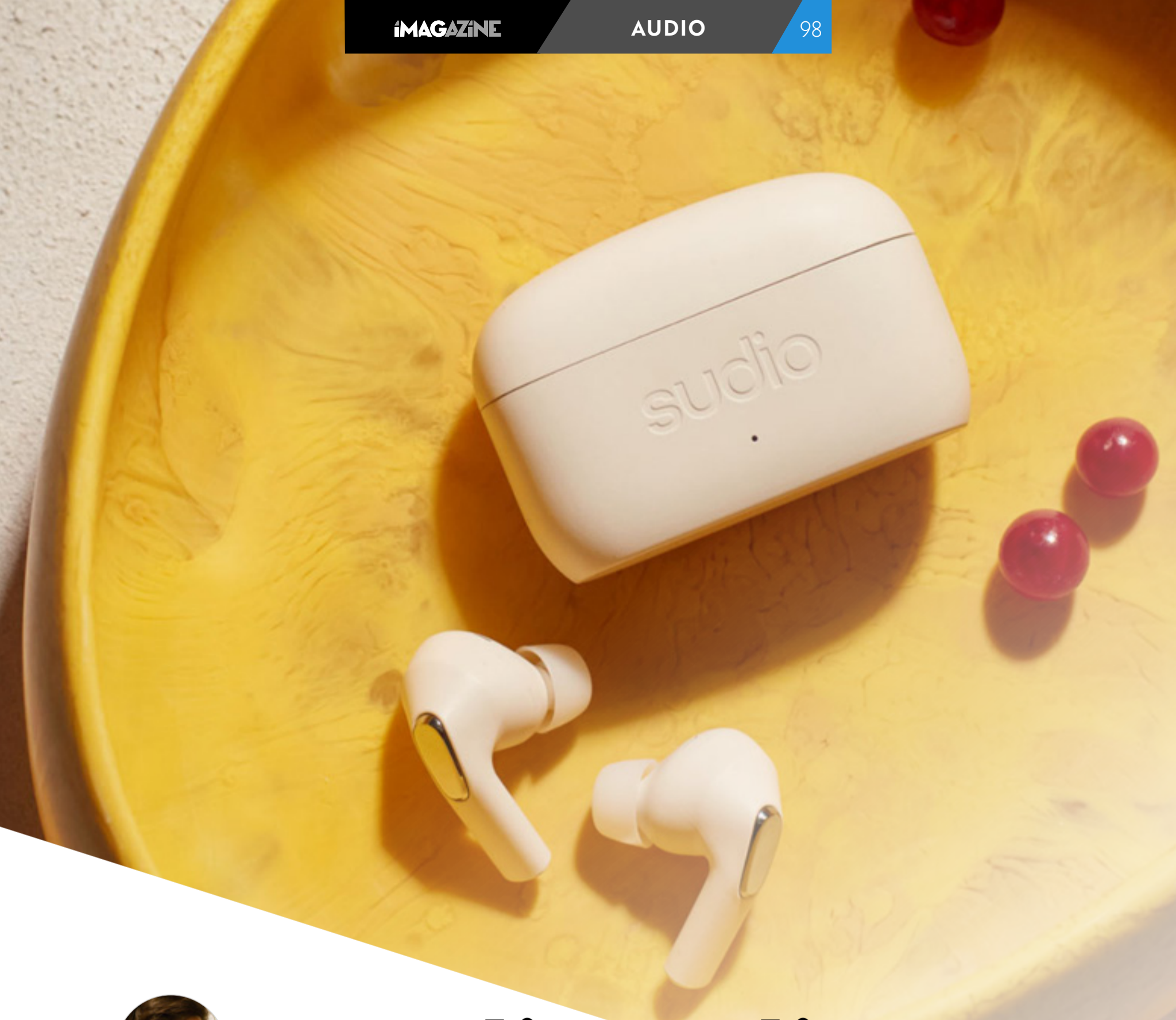
- Minusy:

- nieosłonięte membrany
- głośne komunikaty głosowe

Cena: 459 PLN

Dostępne w Top Hi-Fi & Video Design



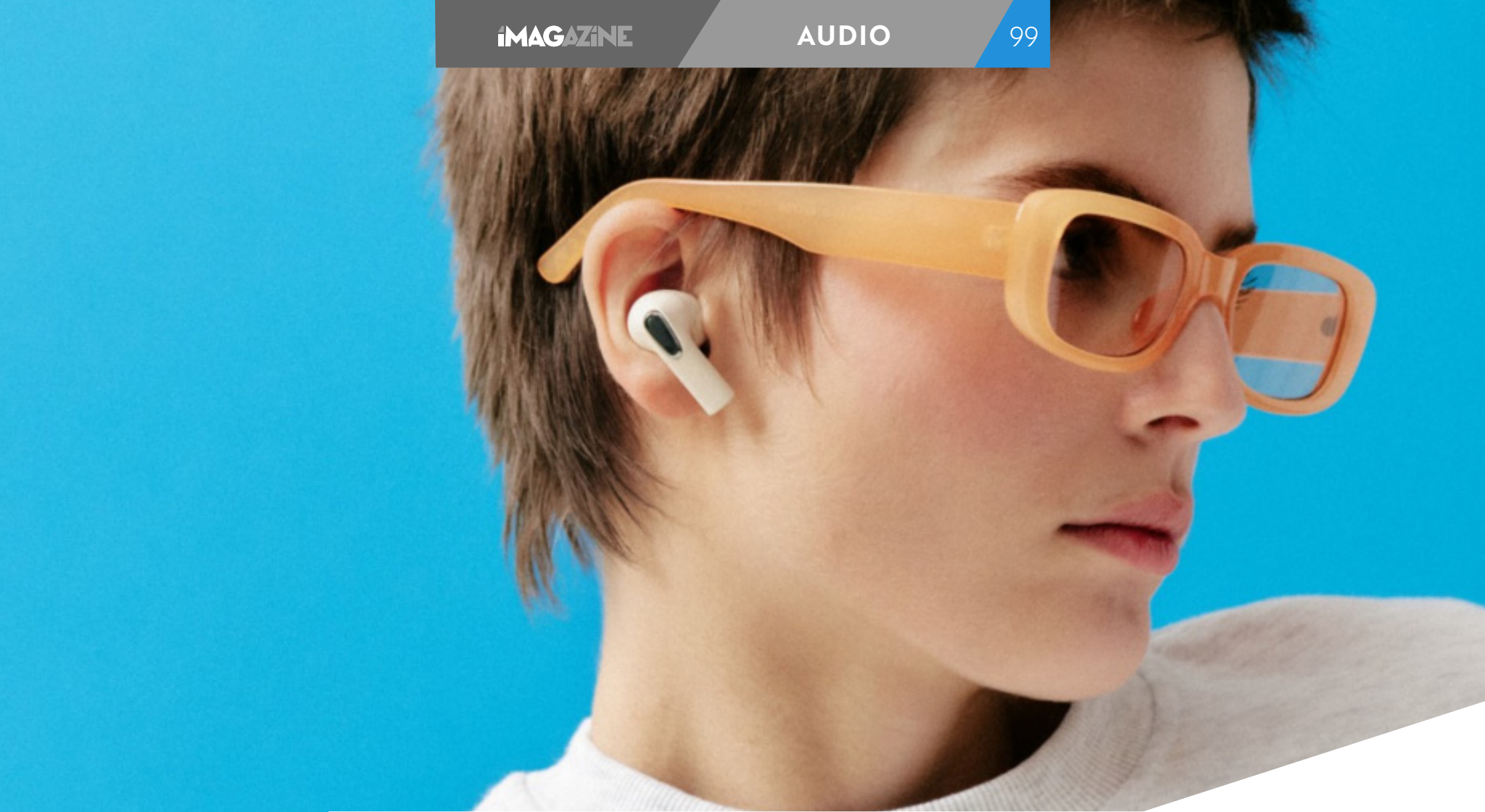


AGNIESZKA SERAFINOWICZ
[@LifestyleAga](#)

Sudio audio – słuchawki i głośnik

Sudio to marka założona w 2012 roku w Sztokholmie przez inżynierów dźwięku i miłośników muzyki. Jej przedstawiciele deklarują, że nie każą klientom wybierać pomiędzy jakością a ceną. Podkreślają, że zawsze interesowało ich mistrzowskie brzmienie i design. Miałam okazję sprawdzić dwa urządzenia i zweryfikować, czy odpowiadają głoszonym przez Sudio przekonaniom.





Wspomniane dwa urządzenia to flagowe w ofercie Sudio na rynku polskim słuchawki z hybrydowym ANC (czyli redukcją szumu otoczenia), model Sudio E3 oraz ciekawy, przenośny, bezprzewodowy głośnik Sudio F2.

Słuchawki Sudio E3


Zacznijmy od słuchawek. To nie jest model budżetowy. Oferowane w Polsce za 549 zł bezprzewodowe słuchawki TWS Sudio E3 celują w bardziej wyrafinowane uszy. Biorąc pod uwagę cenę, oczekiwania klienta powinny być odpowiednio wyższe niż w przypadku tańszych modeli. Czy zatem szwedzka marka je spełnia? I tak, i nie.

Słuchawki Sudio E3 wykorzystują 10-milimetrowe przetworniki, każda ze słuchawek ma również wbudowane dwa mikrofony (w tej cenie można znaleźć na rynku słuchawki TWS z ANC i trzema mikrofonami w każdej słuchawce), wykorzystywane zarówno podczas prowadzenia rozmów za pośrednictwem tych urządzeń, jak i w trakcie działania aktywnej redukcji szumów otoczenia. Producent podkreśla też, że model Sudio E3 spełnia normę IPX3, co w praktyce oznacza, że choć sprzęt w pełni wodoszczelny nie jest, to drobna mżawka nie powinna mu zaszkodzić. Do mnie dotarła para słuchawek wykończona w kolorze écru. Oprócz tego w ofercie jest jeszcze wariant wykończony matową czernią. W zestawie sprzedażowym poza samymi



słuchawkami jest też etui ładujące, wykonane z dbałością o detale: ładnie wytłoczone logo marki, magnetyczne domknięcie etui, solidne, dobrej jakości tworzywo składające się na obudowę. Same słuchawki wykonano również starannie. Wzornictwo mogę podsumować krótko: minimalistycznie, prosto, ale solidnie. Po skandynawsku, wielu osobom się to spodoba. Nadmienię, że oprócz wymienionych elementów w zestawie sprzedażowym nie zabrakło wymiennych nakładek silikonowych (aż cztery rozmiary, w efekcie łącznie z tymi fabrycznie nałożonymi na właściwe słuchawki mamy pięć par nakładek w zestawie). Wyposażenie zestawu zamyka drukowana dokumentacja (skrótowa instrukcja itp.) oraz kabelek USB-A–USB-C do ładowania etui.

Parowanie słuchawek ze smartfonem przebiega bezproblemowo, bez względu na to, czy korzystamy ze smartfonu z Androidem, iPhone'a, czy też np. chcemy słuchawki połączyć z laptopem obsługującym interfejs Bluetooth (zgodnie z informacją producenta słuchawki Sudio E3 obsługują standard Bluetooth 5.3). To, co dziwi, to brak jakiegokolwiek aplikacji mobilnej. Zwykle producenci słuchawek dodają jakąś aplikację mobilną, która pozwala na personalizację ustawień. W przypadku Sudio tego nie ma. Jak sterować słuchawkami? Podobnie jak w większości słuchawek TWS, za pośrednictwem dotykowych paneli umieszczonych na samych słuchawkach. Jedno tapnięcie:



E3

THE HYBRID ACTIVE NOISE CANCELLING EARBUDS •
LES ÉCOUTEURS HYBRIDES À SUPPRESSION ACTIVE DU BRUIT

IPX4 splash-proof • Résistance à l'eau IPX4
Vocal Clarity • Clarté vocale
AAC Codec • Codec AAC

sudio





zatrzymanie/wznowienie odtwarzania, dwa tapnięcia: poprzedni/następny utwór, trzy tapnięcia to ściszenie lub zwiększenie głośności. Jest też tryb ANC aktywowany krótkim przytrzymaniem panelu dotykowego prawej słuchawki.

Jak te słuchawki grają? Ich brzmienie powinno się spodobać osobom, które lubią spokojne, melodyjne utwory o jasnym brzmieniu, szczególnie gdy korzystamy z ANC. Izolacja otoczenia w trybie ANC jest poprawna, ale odniosłam wrażenie, że aktywacja/dezaktywacja ANC wpływają też na brzmienie samych słuchawek. Gdy nie korzystamy z ANC, do uszu dociera nieco więcej niskich częstotliwości. Generalnie nie jest to model, który zachwyciłby miłośników basowych brzmień. Dialogi są w nich zrozumiałe, co może być zaletą, gdy lubicie podcasty. Ważne jest też to, że my sami również jesteśmy rozumiani przez rozmówców, gdy prowadzimy rozmowę za pośrednictwem testowanych słuchawek nawet w głośnym otoczeniu (np. w tramwaju, na ruchliwej ulicy itp.). Sudio pokazało, że dwa, a nie trzy mikrofony (na słuchawkę) mogą okazać się wystarczającym wyposażeniem.

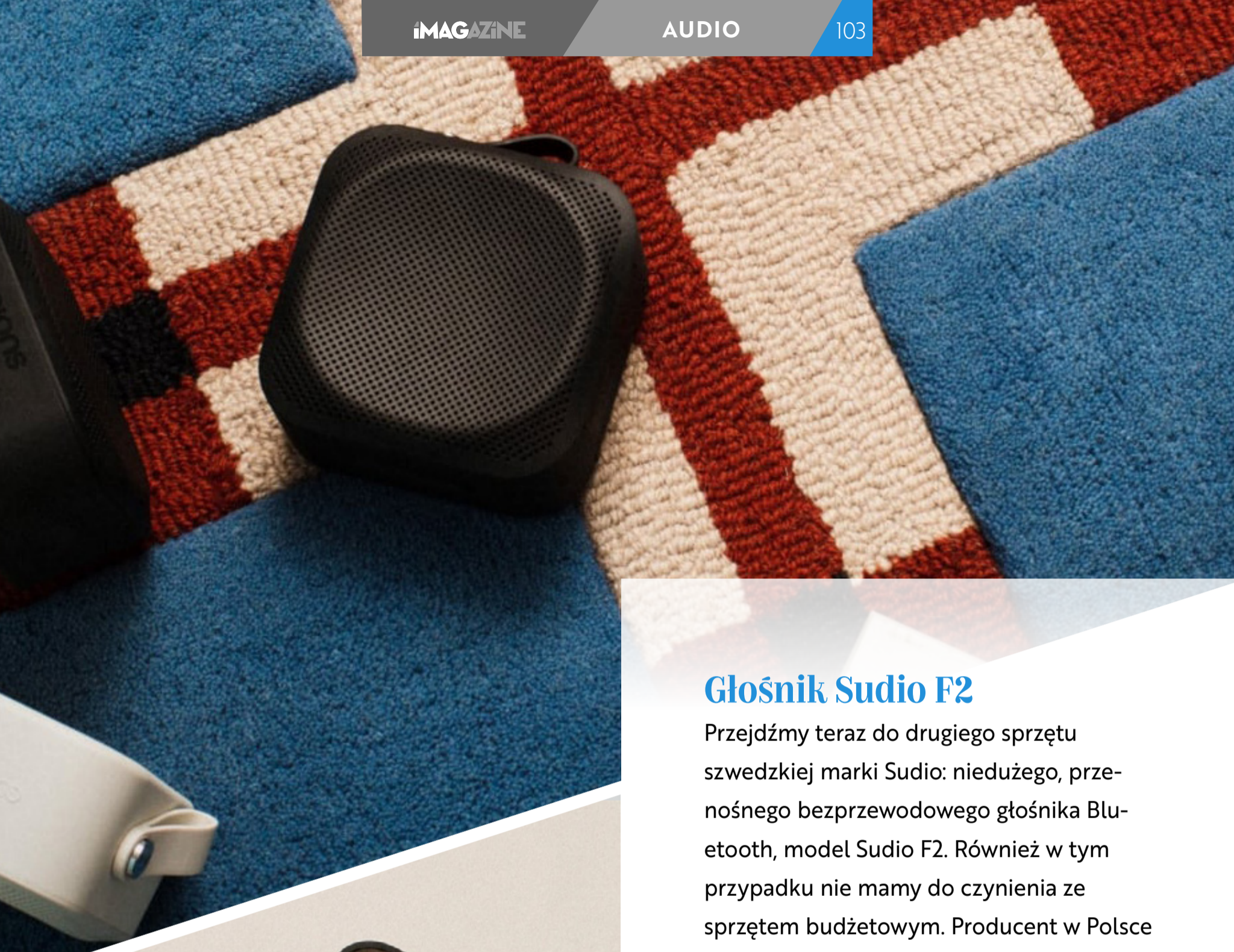
To, co nieco rozczarowuje, biorąc pod uwagę cenę słuchawek, to brak zaawansowanych kodeków audio. Owszem, dla użytkowników sprzętu Apple najważniejsza jest i tak informacja, że AAC jest tu obsługiwane. Niemniej w przypadku sprzętu z Androidem pozostaje klasyczny, bazowy





kodek SBC, nie ma aptX, LDHC, LDAC czy innych kodeków dla audio wysokiej jakości. Nie mam za to zastrzeżeń do wygody obsługi i komfortu noszenia tych słuchawek. Co prawda każdy ma inne uszy, ale bogaty zestaw wkładek ułatwi dopasowanie się każdemu. Czas pracy na baterii? Producent deklaruje nawet 6,5 godziny pracy na jednym naładowaniu. W praktyce, przy jednoczesnym korzystaniu z ANC będą to raczej niecałe 4 godziny, co i tak aż nadto wystarczy, by odseparować się od otoczenia podczas codziennych dojazdów do i z pracy. Ładowalne etui wydłuża łączny czas pracy do ok. 30 godzin bez ANC i do ok. 20 godzin z ANC (wg producenta). Czas naładowania zestawu do pełna z gniazdka USB-C to 90 minut.





Głośnik Sudio F2

Przejdźmy teraz do drugiego sprzętu szwedzkiej marki Sudio: niedużego, przenośnego bezprzewodowego głośnika Bluetooth, model Sudio F2. Również w tym przypadku nie mamy do czynienia ze sprzętem budżetowym. Producent w Polsce wycenia to urządzenie na kwotę 369 zł. To sporo jak na przenośny głośnik o tak niedużych gabarytach (jego wymiary to 106 × 106 × 55 mm). Czym zatem szwedzka marka chce przekonać do swojego produktu?

Zacznijmy od tego, co otrzymujemy w zestawie, a otrzymujemy niewiele. Oprócz samego, przyznaję, ładnie i solidnie wykonanego głośnika Sudio F2 (otrzymałam wersję w kolorze białym, ten sam model dostępny jest również w odmianie w kolorze czarnym) w pudełku znalazłam drukowaną dokumentację (skrótowa instrukcja obsługi) oraz kabelek USB-A–USB-C przeznaczony do ładowania urządzenia.



Sam głośnik to konstrukcja dwudrożna (element niskotonowy + wysokotonowy), urządzenie obsługuje standard Bluetooth 5.3, ale wśród obsługiwanych kodeków znajdziemy tylko bazowy SBC. Zaletą już na pierwszy rzut oka jest deklarowany przez producenta czas pracy na baterii: aż 15 godzin. Urządzenie mimo niewielkich gabarytów jest dość masywne, waży 410 gramów. Nie bez znaczenia jest też wysoka odporność na wodę, sprzęt spełnia wymagania normy IPX7. W praktyce oznacza to, że nawet ulewa nie zaszkodzi temu głośnikowi, choć nurkować z nim raczej się nie powinno.

Materiał obudowy to przede wszystkim tworzywo sztuczne, ale dobrej jakości. Z boku urządzenia jest bardzo solidna, gumowa zawieszka przymocowana do urządzenia błyszczącym, metalowym elementem. Na wierzchniej części wytłoczony w tworzywie panel kontrolny, a po drugiej stronie ukryte za gumową zaślepką gniazda: USB-C (do ładowania) oraz mini Jack 3,5 mm. Zaletą jest wyposażenie głośnika w mikroskopijne, gumowane nóżki. Dlaczego uważam to za zaletę? Dzięki nim podczas głośniejszego odtwarzania muzyki głośnik nie przemieszcza się np. po gładkim stole czy biurku. W przypadku gdy położymy do w trakcie odtwarzania na innym





boku, może on pod wpływem emitowanego dźwięku zacząć „podróżować”. Całość wykonano solidnie, ze smakiem, konstrukcja wygląda na trwałą. Design i spasowanie elementów nie budzą zastrzeżeń.

Parowanie głośnika z dowolnym urządzeniem, które obsługuje standard Bluetooth i może stanowić źródło przesyłanej bezprzewodowo muzyki, jest bardzo proste: uruchamiamy głośnik, na urządzeniu (smartfon/laptop) wywołujemy ustawienia Bluetooth i w nich zobaczymy już wykrywalny głośnik Sudio F2. Wskazujemy głośnik i gotowe, co zresztą potwierdza sam głośnik dźwiękowym sygnałem połączenia. Ponadto dzięki obecności w głośniku gniazdka mini Jack, istnieje możliwość podłączenia zewnętrznego źródła dźwięku przewodowo. Z tej możliwości jednak nie korzystałam, parując Sudio F2 zarówno ze smartfonem, jak i laptopem. Jeżeli oczekujecie jakiegokolwiek aplikacji od producenta, która pozwalałaby jakkolwiek personalizować brzmienie Sudio F2, to niestety spotka was rozczarowanie. Podobnie jak w przypadku wcześniej opisywanych słuchawek szwedzka marka takiej opcji nie przewidziała.

Jak ten głośnik gra? Zaskakująco przyjemnie, szczególnie biorąc pod uwagę jego rozmiary i przy założeniu, że niespecjalnie lubicie słuchać



Sudio E3



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 2/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- przyjemny dla zmysłów design
- dobra słyszalność podczas rozmów
- ANC skutecznie wycisza otoczenie
- w miarę zrównoważone brzmienie

- Minusy:

- brak jakiegokolwiek oprogramowania personalizującego ustawienia
- aktywacja/dezaktywacja ANC wpływa na brzmienie

Cena: 549 PLN

bardzo głośnej muzyki. Sudio F2 w przyjemny dla ucha sposób potrafi odwzorować poszczególne pasma, nie umniejszając ich szczegółowości. Basy są słyszalne (może z wyjątkiem tych najniższych, ale to przecież nie subwoofer), podobnie jest z tonami średnimi i wysokimi. Dźwięk jest dodatkowo ocieplony, co osobiście lubię. Czas pracy? Producent obiecuje nawet 15 godzin. Ja mogę jedynie potwierdzić, że przygrywający w tle Sudio F2 nie zmęczył się pracą przez cały dzień (ok. 12 godzin). Czas ładowania to niecałe 3 godziny. Przy scenariuszu użytkowania uwzględniającym odtwarzanie w dzień i ładowanie w nocy głośnik zawsze będzie gotowy do pracy.

Sudio F2



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: n/d
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- zaskakująco miłe brzmienie przy niewielkich gabarytach
- długi czas pracy na baterii
- stylowa, trwała, wodoodporna budowa

- Minusy:

- brak jakiegokolwiek aplikacji mobilnej personalizującej ustawienia głośnika

Cena: 369 PLN





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Logitech Astro A30

– The Mandalorian Edition – wyższy poziom grania

Choć trudno w to uwierzyć, sprzęt gamingowy wcale nie musi mieć wszędzie LED-ów i być spakowany w obudowę o dziwacznych kształtach. Logitech Astro A30 w wersji The Mandalorian Edition nie ma ani tego, ani tego, a mimo wszystko jest wręcz świetnym zestawem słuchawkowym do grania.





Mam niemałą przyjemność z testowania sprzętu przeznaczonego dla graczy. Ostatnio pojawia się bowiem w tej kategorii wiele urządzeń, które naprawdę się wyróżniają, a klienci, do których sam się zaliczam, są traktowani poważniej niż jeszcze kilka lat temu. Dzięki temu dostajemy już nie tylko kolorowe i podnoszące tętno młodszych nastolatków pstrokatę obudowy, ale też faktycznie skrojone pod potrzeby graczy funkcje i to przy zachowaniu stonowanego wzornictwa. Edycje specjalne różnych produktów bywają wyjątkami, choć Astro A30 w wersji Mandalorian Edition zaprojektowano bardzo gustownie. Nawiązania do uniwersum Star Wars w postaci niepowtarzalnych nauszników, detali wewnątrz słuchawek oraz na module komunikacyjnym i etui są doskonale widoczne i nie pozostawiają wątpliwości, z jaką wersją słuchawek mamy do czynienia. Z drugiej jednak strony nie dominują na tyle, by zniechęcić umiarkowanych fanów Star Wars czy osoby, które nie interesują się tą tematyką. Muszę przyznać, że projektanci Logitech wykazali się dużym wyczuciem. Słuchawki są dostępne również w standardowej wersji, która pod względem funkcji nie różni się od opisywanej edycji.

Na pierwszy rzut oka Astro A30 wyglądają zupełnie standardowo, choć bardziej przypominają klasyczne słuchawki niż zestaw przeznaczony dla graczy. Nauszniki mają prostokątny, ale mocno zaokrąglony na rogach



kształt, podobnie jest zresztą z ramką, do której są przymocowane. Dekielki nausz-
ników można odczepić (trzymają się na
mocnych magnesach), zarówno na nich, jak
i pod nimi znajdują się akcenty związane
z edycją Mandalorian. Mają spłaszczoną,
błyszczącą krawędź, która rozszerza się na
jednym z dolnych narożników. Poduszki
również są odpowiednio wyprofilowane,
ponadto mocowane są magnetycznie, więc
bez najmniejszego problemu da się je szybko
wymienić bądź zdjąć do czyszczenia. Wyko-
nano je z syntetycznego, dopasowującego się
do głowy materiału, zapewniającego dobrą
izolację pasywną, ale jednocześnie oddy-
chającego dość przeciętnie, co może być
problemem w upały (w temperaturze około
20° byłem w stanie grać kilka godzin bez
zdejmowania słuchawek). Muszle poruszają
się w osi poziomej i pionowej, ponadto pałąk
ma regulowaną długość. Słuchawki są dość
wąskie, przez co osoby o większych głowach
mogą odczuwać dyskomfort. Mimo niemałej
wagi, bo wynoszącej prawie 350 gramów, nie
ciężą na głowie. To przede wszystkim zasługa
wspomnianego już wykończenia muszli, ale
też pałąka, który od wewnątrz jest miękki.
Jakość materiałów jest naprawdę dobra i,
choć dominuje plastik, trudno znaleźć tu
jakikolwiek słabe elementy. Astro A30 The
Mandalorian Edition występują tylko w jednej
wersji kolorystycznej, nazwanej Beskar Steel,





natomiast możemy wybrać, czy decydujemy się na wariant przeznaczony do PlayStation 5 czy do Xboxa Series X|S (każdy wariant oferuje wsparcie Windows oraz macOS). W zależności od tej decyzji zestaw będzie wspierał miksowanie czatu i gry na odpowiedniej platformie, dodatkowo wersja dla PS5 nie działa bezprzewodowo (zgodnie z informacją od producenta) z Xboxem. W komplecie ze słuchawkami dostajemy świetne, sztywne etui, które ma miejsce na zewnętrzny, odczepiany mikrofon oraz kable – w zestawie dostajemy przewód mini Jack (3,5 mm) oraz USB-C–USB-A. Można też nosić moduł komunikacyjny, zwłaszcza jeśli dokupimy płaską wersję z USB-C, dostosowaną do używania na przykład z Nintendo Switch.

W każdych słuchawkach sterowanie jest ważne, ale w tych, których używam podczas gry, jego rola staje się jeszcze większa. Gdy w trakcie meczu chcę wyciszyć mikrofon czy zmienić głośność, nie chcę szukać odpowiedniego przełącznika dłużej niż to konieczne. Astro A30 mają bardzo dobrze przemyślane sterowanie, które wymaga tylko odrobiny przyzwyczajenia. Na lewej muszli znalazł się tylko suwak wyciszenia mikrofonu, zaraz obok mamy gniazdo mini Jack oraz wtyk zewnętrznego mikrofonu. Suwak sprawdza się świetnie, w przeciwieństwie do przycisku jego stan nie zmienia się na przykład



po ponownym uruchomieniu słuchawek. Na prawym nauszniku dzieje się więcej, jest tu włącznik, przycisk Bluetooth do parowania oraz joystick sterujący. Wychyla się w czterech kierunkach, da się go też wcisnąć, by sterować na przykład odtwarzaniem muzyki z podłączonego przez Bluetooth telefonu. Wychylenie w górę i w dół reguluje głośność, natomiast w prawo i lewo zmieniamy balans między głośnością czatu i dźwięku gry. W praktyce taki kontroler sprawdza się doskonale, bardzo wygodnie obsługuje się go kciukiem. Na prawej muszli mamy też port USB do ładowania. Nie będzie zbyt często używany, bo słuchawki mają świetną baterię – producent deklaruje do 27 godzin pracy, nie byłem w stanie tego sprawdzić, bo nie udało mi się ich rozładować (błędem było naładowanie ich zaraz po wyjęciu z pudełka).

Aplikacja do kontrolowania Astro A30 na co dzień się raczej nie przydaje, ale warto zajrzeć do niej, by wstępnie skonfigurować słuchawki. Umożliwia ustawienie głośności i balansu między czatem a dźwiękiem gry. Możemy też tu wyregulować, ile dźwięku z mikrofonu sami słyszymy, co czyni rozmowy bardziej naturalnymi (bardzo polubiłem tę funkcję w Zone Vibe 100). Aplikacja pozwala oczywiście zrobić aktualizację oprogramowania i ustawić czas, po jakim słuchawki przejdą w tryb uśpienia, a także liczbę



komunikatów o stanie słuchawek. Da się również wyregulować czułość mikrofonów – osobno wbudowanego w prawą muszlę, a osobno tego dołączanego. Bardzo podoba mi się ten podział, bo korzystam ze słuchawek zarówno mobilnie, na zewnątrz, jak i w domu (i tu głównie gram, więc dołączam mikrofon). Nie zabrakło korekcji brzmienia, mamy zarówno gotowe presety, jak i opcję stworzenia własnego. Aplikacja to też jedyne miejsce, w którym można sprawdzić poziom baterii słuchawek (nie licząc systemowych widgetów). Na obudowie nie znajdziemy żadnego sygnalizatora, a szkoda. Astro A30 są kompatybilne właściwie ze wszystkim, od PC i Maców, przez Xboxa Series X|S i One, PlayStation 4 i 5 czy Nintendo Switch, po urządzenia mobilne. Opcji połączeń jest dużo, oprócz modułu komunikacyjnego wpinanego do konsoli czy komputera i pozwalającego na łączność radiową mamy też Bluetooth, który może działać równolegle do tego pierwszego sposobu łączności. Dzięki temu można nawet rozmawiać przez telefon, grając albo też puścić sobie muzykę czy podcast.

Kontroler sprawdza się doskonale, bardzo wygodnie obsługuje się go kciukiem.

Słuchawki mogą też być z powodzeniem używane wyłącznie ze smartfonem i to do muzyki – wtedy przydaje się wbudowany mikrofon. Zapewnia dobrą jakość, choć zbiera więcej dźwięku otoczenia niż ten doczepiany. Ponadto do podłączenia źródła mamy też mini Jack. Astro A30 testowałem z PlayStation 5, na którym włączyłem dźwięk przestrzenny. Różnica względem zwykłego stereo jest wyraźnie zauważalna, a precyzja odwzorowania przestrzeni na tyle duża, że da się nawet „celować na słuch” (czyli odwrócić się w kierunku dobiegających kroków przeciwnika na tyle precyzyjnie, by oddać do niego natychmiast celny strzał). Jestem bardzo usatysfakcjonowany tym, jak dobrze z przestrzenią radzi sobie ten zestaw. Wspominałem już, że Astro A30 to nie tylko dobry sprzęt do grania, ale i do słuchania muzyki. I tak faktycznie jest, wszak prócz dobrej przestrzeni i separacji mamy też dużo detali, zwłaszcza na środku. Ogólnie dźwięk jest wyraźny, ma odrobinę ciepły charakter, czemu winna jest delikatnie wyciszona



góra. Nie brakuje jej ostrości, ale słysząc ją mniej niż w bardziej zrównoważonych słuchawkach. Środek prócz detali i separacji oferuje też dobrą ekspozycję wokali, zwłaszcza te niższe mi się podobały. Dół uderza mocno, nieprzesadnie długo, z całą pewnością nie jest filmowy (o to zresztą trudno w słuchawkach gamingowych), niemniej w większości utworów daje radę i właściwie nadaje rytm oraz dopełnia brzmienie.

Po kilku latach moje wysłużone słuchawki do konsoli przechodzą na emeryturę, a ich miejsce zajmują Astro A30, i to w świetnej edycji The Mandalorian. Nie bez powodu zresztą: oferują bardzo wysoki komfort grania oraz świetne odwzorowanie przestrzeni, które jest kluczowe w ogrywanych przeze mnie shooterach online. Wygoda wiąże się też z tym, jak rzadko muszę je ładować i jak wygodnie się ich używa. A tu Logitech zrobił świetną robotę, projektując sprzęt dla graczy, nie zapominając przy tym, co jest dla nich najważniejsze.



Logitech Astro A30



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 4,5/6
- Oprogramowanie: 4/6
- Wydajność: 5,5/6

+ Plusy:

- połączenie z dwoma źródłami dźwięku
- wyraźnie odczuwalna przestrzeń
- świetna bateria

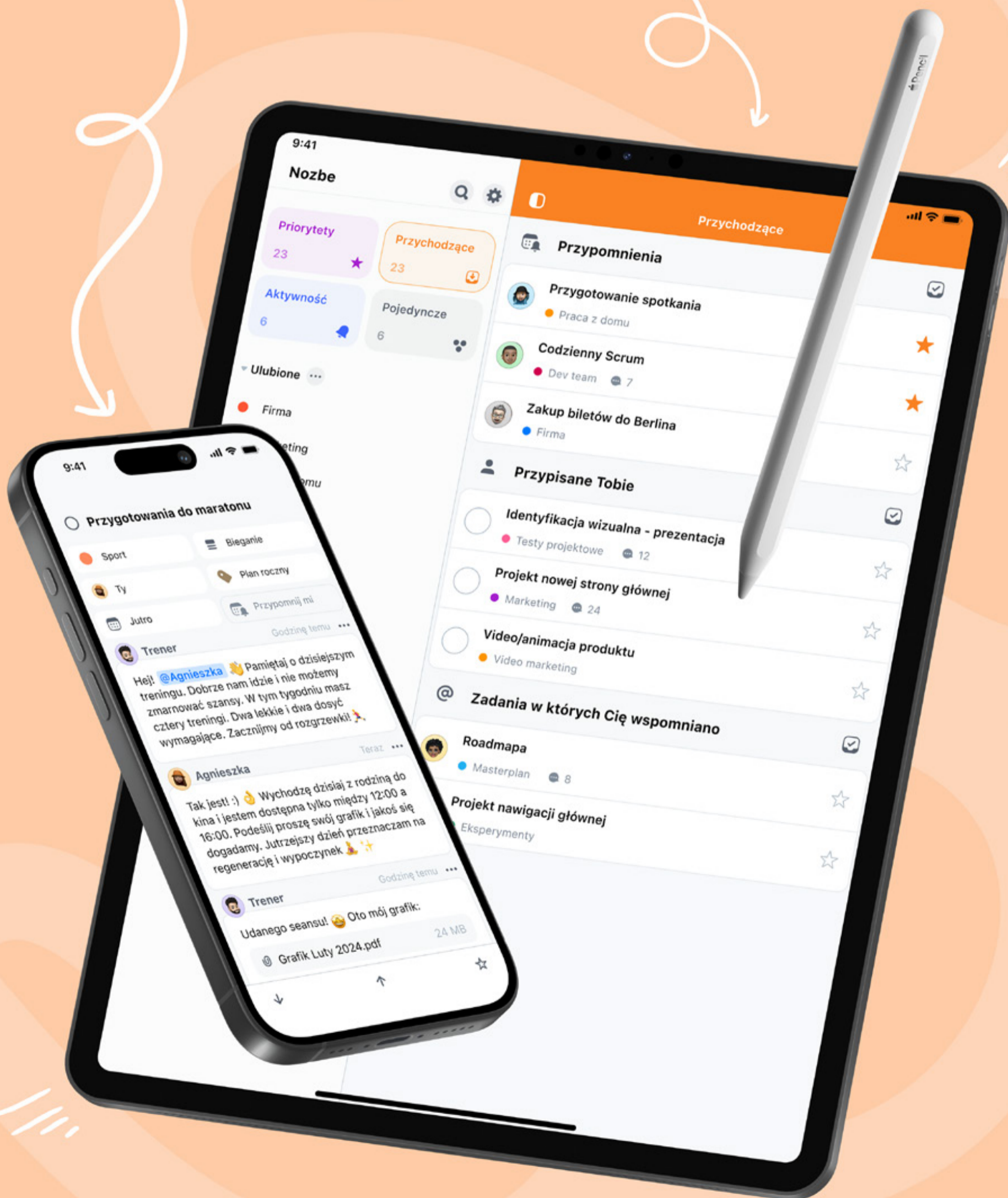
- Minusy:

- ograniczony zakres regulacji i szerokość
- brak wskaźnika baterii na słuchawkach

Cena: około 1300 PLN



Zorganizuj swoje życie prywatne i zawodowe



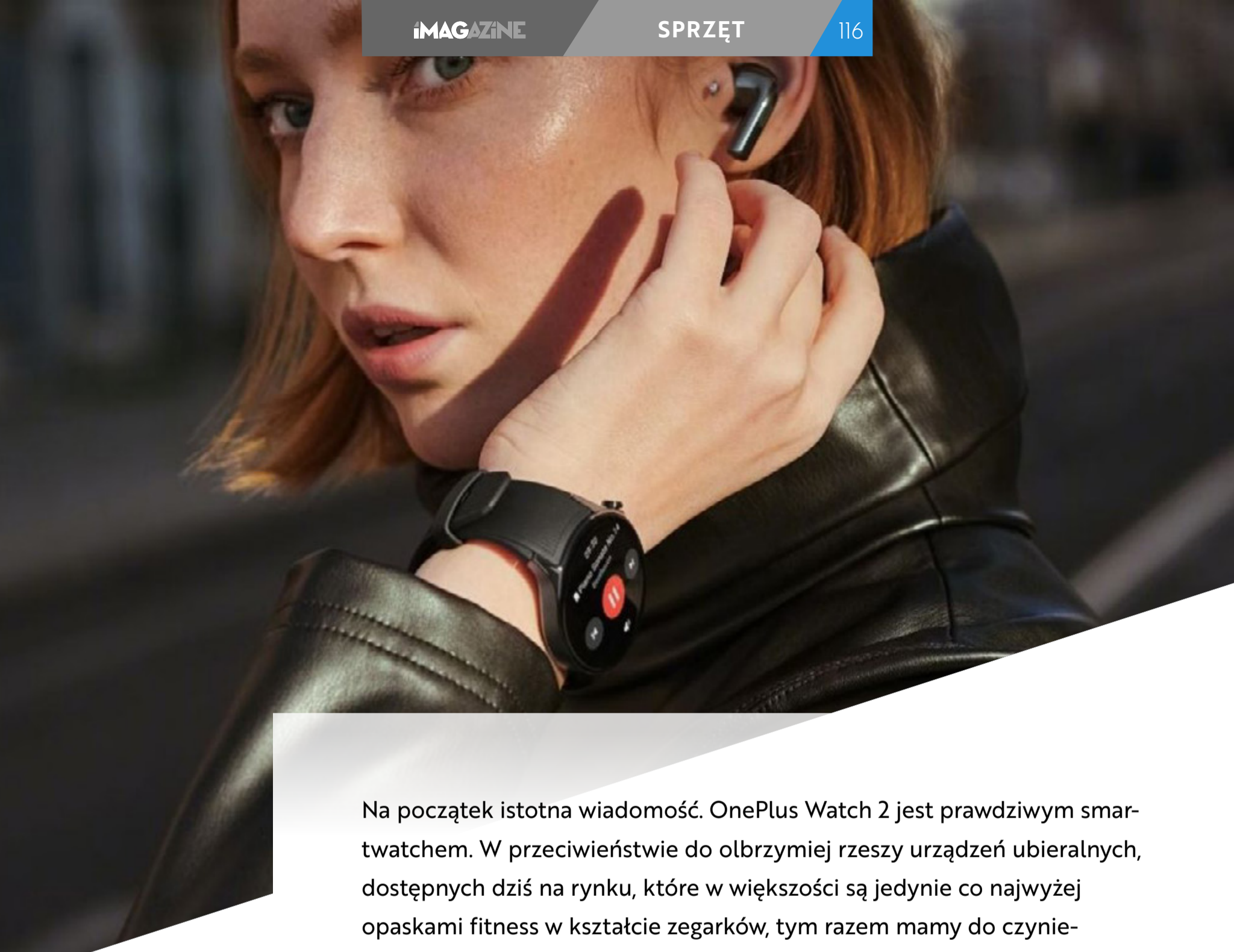


DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

OnePlus Watch 2 Rewolucja

OnePlus Watch 2 to model, którego oficjalnie nie ma na polskim rynku, mniej oficjalnie dowiedzieliśmy się jednak że marka OnePlus w tym temacie coś szykuje. Skorzystałem zatem z okazji i sprawdziłem w praktyce nowy model OnePlus Watch 2. Dzięki unikalnej, hybrydowej mocy obliczeniowej ten oparty na Wear OS smart watch pozostawia konkurencję w tyle.





Na początek istotna wiadomość. OnePlus Watch 2 jest prawdziwym smartwatchem. W przeciwieństwie do olbrzymiej rzeszy urządzeń ubieralnych, dostępnych dziś na rynku, które w większości są jedynie co najwyżej opaskami fitness w kształcie zegarków, tym razem mamy do czynienia z pełnoprawnym smartwatchem. A tych na rynku wcale nie jest tak wiele. OnePlus zdecydował się zbudować swoje urządzenie na platformie Google'a. W efekcie kod działający na tym sprzęcie to najnowszy Wear OS 4. Z jednej strony oznacza to praktycznie pełną funkcjonalność, jakiej można oczekiwać od smartwatcha. Obejmuje to m.in. wszechstronny monitoring parametrów zdrowotnych, aktywności, snu, stresu, saturacji itp., pełną obsługę powiadomień praktycznie z dowolnej aplikacji, jaka działa na sparowanym z zegarkiem smartfonie, jak również obsługę płatności za pośrednictwem fintechowej platformy Google Pay. Warto jednak pamiętać o pewnym ograniczeniu wynikającym z takiego wyboru: OnePlus Watch 2 to smartwatch dla posiadaczy smartfonów z Androidem. Nie zadziała z mobilnym sprzętem Apple, podobnie jak dowolny inny smartwatch oparty na systemie Wear OS. Jeżeli jednak korzystacie ze smartfonu z Androidem i szukacie funkcjonalnego, prawdziwego smartwatcha, a nie tylko opaski, OnePlus Watch 2 zdecydowanie powinien was zainteresować. Tym bardziej, że wybór sprawdzonego Wear OS jest znacznie



lepszą decyzją, niż upieranie się przy własnym kodzie (co było jedną z wad poprzednika opisywanego modelu).

Design na plus

Do mnie na redakcyjne testy trafił OnePlus Watch 2 w wersji kolorystycznej Black Steel, z metalową kopertą ze stali nierdzewnej o barwie polerowanego na wysoki połysk jubilerskiego hematytu. Sam ekran to sporych rozmiarów (1,43") wyświetlacz AMOLED, o sporej jasności (zero problemów z czytelnością również w pełnym słońcu), oczywiście z funkcją AOD (Always On Display). Jest on tu chroniony wytrzymałym, szafirowym szkłem (twardość 8+ w skali Mohsa. Do tego miękki, wygodny, czarny fluoroelastomerowy (materiał hipoalergiczny) pasek z zapięciem ze stali nierdzewnej barwionej na czarno. Nadgarstek pod paskiem się nie poci, zero uczuleń. Użyte materiały sprawiają, że ten czasomierz doskonale sprawdzi się podczas aktywności outdoorowych, a jednocześnie stylistyka prezentuje się elegancko i pasuje również do bardziej wyjściowych kreacji niż dres na siłownię.





Zaproponowany przez markę OnePlus smartwatch jest oczywiście odporny na pył i wodę, spełnia wymagania normy IP68. Producent deklaruje, że sprzęt wytrzyma statyczne ciśnienie wody do głębokości 50 metrów. Do tego OnePlus nie omieszkał się pochwalić spełnieniem rygorystycznego, militarnego standardu wytrzymałościowego MIL-STD-810H. W praktyce oznacza to, że wybierając się na Runmageddon czy ciężki offroad, nie musisz zdejmować tego sprzętu z nadgarstka. I dobrze, bo jak zdejmiesz, to urządzenie nie będzie monitorować twojej kondycji. Przejdźmy do działania.

Parowanie, funkcjonalność

Korzystanie z zegarka jest bardzo proste. Trzeba jedynie zainstalować na smartfonie z Androidem aplikację OHealth. Proces parowania jest inicjowany przez sam zegarek, który zresztą po pierwszym uruchomieniu wyświetla krok po kroku działania, jakie użytkownik ma podjąć. W aplikacji mamy dostęp do zestawienia danych z sensorów zegarka, wyników analizy snu, treningu, a także do ustawień samego urządzenia (m.in. wybór tarcz, ustawienia powiadomień i wiele więcej). Obsługa jest prosta i trudno tu się do czegoś przyczepić. Warto dodać, że zegarek współpracuje też z obecną praktycznie na każdym smartfonie z Androidem aplikacją Google Fit (w razie czego jest ona bezpłatnie dostępna w Google Play). W ustawieniach aplikacji OHealth można aktywować przekazywanie danych pomiarowych gromadzonych



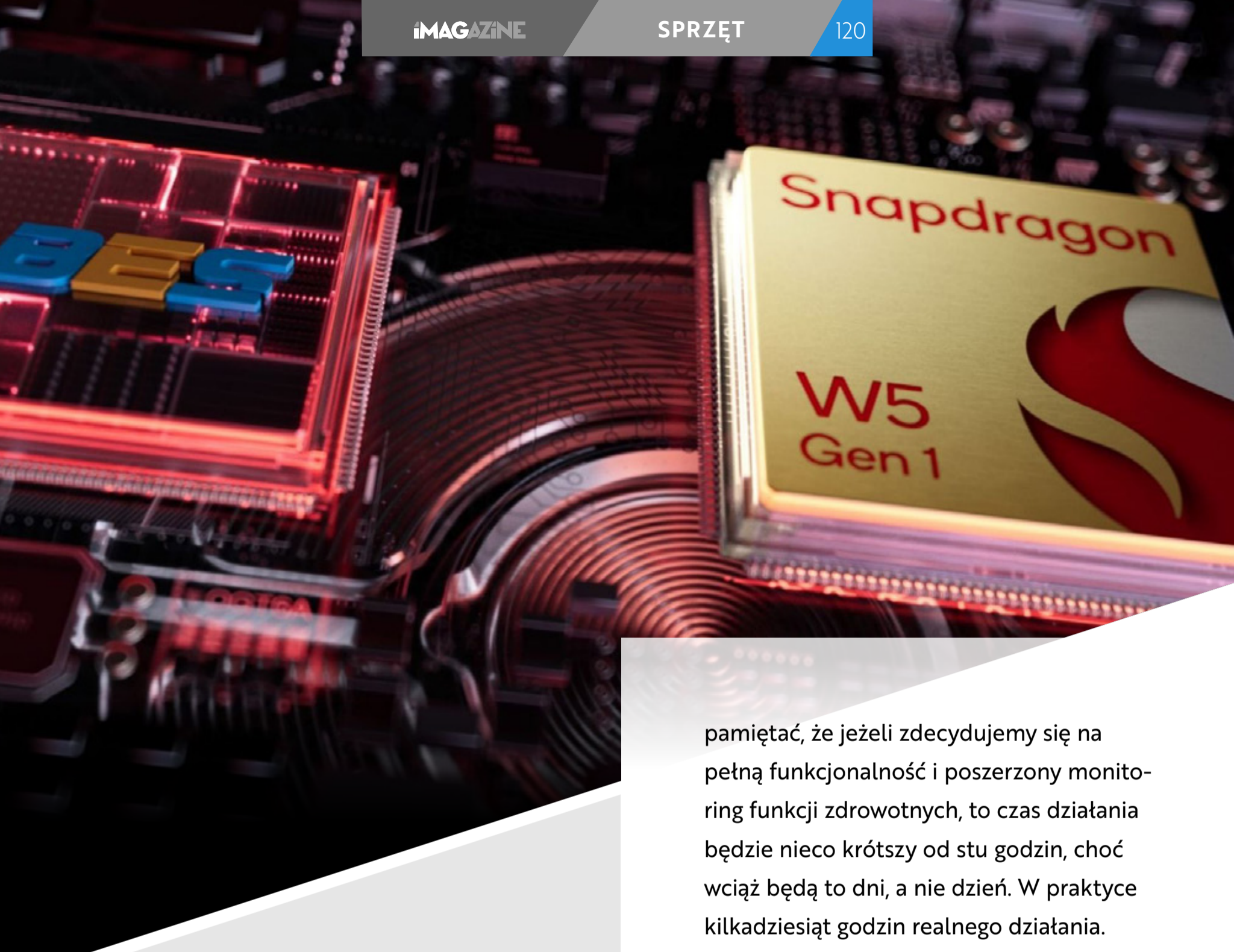


przez zegarek do wspomnianego Google Fit, zatem jeżeli wcześniej wykorzystywa-
liście właśnie ją i sam smartfon do moni-
torowania swoich aktywności, również po
zakupie smartwatcha OnePlus Watch 2 nie
trzeba zmieniać swoich przyzwyczajień,
a korzyść taka, że pomiary – dzięki zegar-
kowi – będą dokładniejsze.

Świetny czas działania

Olbrzymią zaletą modelu OnePlus Watch 2
jest czas działania. O ile w przypadku wielu
innych modeli smartwatchy (nie mówię
o opaskach, tylko pełnowartościowych
i w pełni funkcjonalnych smartwatchach)
czas działania pomiędzy doładowaniami
często sprowadza się do kilkunastu godzin,
tutaj możemy liczyć na dni. Tak, liczba
mnoga: dni, a nie godziny. Producent
deklaruje nawet do 100 godzin działania
pomiędzy ładowaniami. Czy to rezultat
do uzyskania? Jak najbardziej, ale trzeba





pamiętać, że jeżeli zdecydujemy się na pełną funkcjonalność i poszerzony monitoring funkcji zdrowotnych, to czas działania będzie nieco krótszy od stu godzin, choć wciąż będą to dni, a nie dzień. W praktyce kilkadziesiąt godzin realnego działania.

Jak to w ogóle uzyskano? OnePlus zastosował tu pewien technologiczny zabieg, decydując się na wbudowanie w ten sprzęt niejako hybrydowej mocy obliczeniowej. Na czym to polega? W istocie w trzewiach testowanego smartwatcha znajdują się dwa podsystemy obliczeniowe. Jeden z nich bazuje na wydajnym SoC Qualcomm Snapdragon W5, który zapewnia moc obliczeniową w zupełności wystarczającą do płynnego działania absolutnie każdej aplikacji, jaką znajdziemy na platformę Wear OS. Domyślnie zegarek pracuje w tzw. trybie inteligentnym. Polega to na tym, że w pewnych sytuacjach rolę podstawowego



chipsetu przejmuje bardzo energooszczędny układ BES 2700. To, co znakomicie udało się inżynierom OnePlusa, to uczynienie przejścia pomiędzy działaniem wydajnego i szybkiego układu Qualcomma a trybem działania z wykorzystaniem chipu wyróżniającego się przede wszystkim niskim zużyciem energii, praktycznie przezroczystym. Absolutnie nie dostrzeżesz żadnych spadków wydajności. Bo samo podniesienie nadgarstka do oczu i wzbudzenie smartwatcha natychmiast aktywuje wydajny podsystem oparty na Snapdragonie. Kończysz przegląd danych, powiadomień, czy jakiegokolwiek inne działanie

na zegarku, opuszczasz nadgarstek, zegarek wygasza ekran i od tego momentu za funkcjonowanie sprzętu odpowiada oszczędny chip BES 2700. Genialne w swej prostocie rozwiązanie realnie wydłużające czas pracy zegarka bez najmniejszej utraty jego funkcjonalności.

To, co znakomicie udało się inżynierom OnePlusa, to uczynienie przejścia pomiędzy działaniem wydajnego i szybkiego układu Qualcomma a trybem działania z wykorzystaniem chipu wyróżniającego się przede wszystkim niskim zużyciem energii, praktycznie przezroczystym.

No dobrze, a co w przypadku, gdy zdecyduję się np. na monitorowanie snu (w celu np. wykrycia ewentualnych problemów z oddechem) czy ustawię częstszy pomiar tętna, czy też np. skorzystam z funkcji monitorowania treningu albo dokładniejszego pozycjonowania GPS? Swoją drogą ten sprzęt ma dualny GPS, co oznacza nie tylko dokładniejsze pozycjonowanie, ale też brak gubienia pozycji w trudnych warunkach (np. pomiędzy wysokimi budynkami). Generalnie z funkcjonalnością tego sprzętu nie ma najmniejszego problemu. Tak jak napisałem, pełna moc wydajniejszego układu Qualcomma jest dostępna zawsze, gdy jej potrzebujesz. Jeżeli z jakichś funkcji korzystam częściej, czas działania na baterii pomiędzy ładowaniami się skraca, ale wciąż w przypadku tego sprzętu mówimy o dniach, tak, liczba mnoga. Dla przykładu, gdy w użyczonym egzemplarzu aktywowałem wszystkie dostępne funkcje monitorowania (i potwierdziłem wyświetlane ostrzeżenia, że ich aktywacja może skrócić czas pracy na baterii), to po 24 godzinach noszenia w pełni naładowanego sprzętu na nadgarstku, wciąż miałem 68% pozostałej energii w akumulatorze OnePlus Watch 2.

W kontekście zużycia energii muszę wspomnieć o jeszcze jednej użytecznej funkcji w opisywanym sprzęcie. Szczególnie przydatnej, gdy wylecisz na

W kontekście zużycia energii muszę wspomnieć o jeszcze jednej użytecznej funkcji w opisywanym sprzęcie. Szczególnie przydatnej, gdy wylecisz na



kilkudniową konferencję i zapomnisz małej, zgrabnej, magnetycznej podstawki ładującej do zegarka. Oprócz domyślnie aktywnego trybu nazywanego przez producenta inteligentnym ten smartwatch oferuje jeszcze inny tryb działania, który nazywa się po prostu trybem oszczędzania energii. Pewnie pomyślicie, że to właśnie w tym trybie opisywany sprzęt uzyskuje obiecywane 100 godzin? Otóż nie, Szanowni Państwo. W tym trybie One-Plus Watch 2 jest w stanie wytrzymać nawet... 288 godzin! Owszem, część funkcji w tym trybie nie jest dostępna, ale wciąż korzystamy z wielu tarcz zegarków (choć nie wszystkich, tarcze pobrane pod Wear OS nie są wówczas dostępne), mamy obsługę powiadomień, nawiązywanie połączeń (tyle że bez ich wskazywania przez tzw. ulubione kontakty, co również jest funkcją Wear OS), jest budzik, alarmy, minutnik, kompas, wciąż mamy dostępne wybrane treningi (np. bieg przelajowy czy jazdę na rowerze, tyle że bez wskazówek głosowych czy śledzenia trasy via GPS).

Czego nie mamy w tym trybie? Dostępu do aplikacji tylko na Wear OS 4, funkcji AOD czy asystenta Google. Uspokajam, danych dotyczących pomiaru pulsu, snu, saturacji, stresu itp. absolutnie nie tracimy i wciąż możemy je na bieżąco śledzić. Gdy tylko podłączymy zegarek do zasilania, tryb oszczędzania energii jest automatycznie wyłączany i sprzęt przechodzi w tryb inteligentny. Elastyczność, jaką użytkownik tego zegarka otrzymuje w kwestii zarządzania energią, jest absolutnie ponadprzeciętna w tej klasie urządzeń.





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Podróżne routery Cudy

Cudy TR1200 i Cudy TR3000 – Tego potrzebowałem

Podróżne routery? Co ja wymyślam? Może chodzi o przenośne routery z kartą SIM? Otóż nie, Drodzy Czytelnicy. Oto sprzęt, który moim zdaniem powinien znaleźć się na wyposażeniu absolutnie każdego, kto swoją pracę wykonuje z różnych miejsc i korzysta z różnych sieci. Nie musisz godzić się na hotelowe „bezpieczeństwo”. Możesz mieć własne.





Zacznijmy od tego, z czym w ogóle mamy tu do czynienia. Do naszej redakcji dotarły dwa niewielkie, zgrabne urządzenia sieciowe. Podróżny router Wi-Fi (chyba tak należałoby tłumaczyć widoczny na pudełku napis „Wi-Fi Travel Router”) AC1200 model Cudy TR1200 oraz bliźniaczo wyglądający podróżny router Wi-Fi 6 AX3000 2.5G, model Cudy TR3000. Wiemy zatem, jak sprzęt wygląda (zdjęcia) i jak się nazywa. Czym jest?

O walorach podróżnych obu urządzeń świadczą już ich wymiary. Obydwa modele mają identyczne gabaryty. Sprzęt mieści się na dłoni, jest mniejszy od smartfonu (długość i szerokość to 118 × 80 mm), choć nieco grubszy od standardowych telefonów. Zmieści się do każdej torebki, bagażu podręcznego czy torby na laptopa. Pod tym względem przenośność urządzenia nie budzi najmniejszych zastrzeżeń.

Co wchodzi w skład zestawu? Oprócz samego urządzenia w opakowaniu produktowym znajdziemy jeszcze zasilacz z przewodem USB-C (przewód jest zespolony z zasilaczem), kabelek sieciowy z wtykami RJ-45 (Ethernet) i kilka wydruków (skrótowa instrukcja obsługi w wielu językach itp.). Wyposażenie jest identyczne w przypadku obu modeli. Co je zatem różni?



Odpowiedzią na to pytanie będzie dokładniejsze wyjaśnienie, z czym właściwie mamy tu do czynienia. Model Cudy TR1200 (ten w koralowym kolorze obudowy) to router Wi-Fi zgodny ze standardem Wi-Fi 802.11ac (oczywiście z kompatybilnością wsteczną dla starszych rozwiązań), zapewniający teoretyczną, maksymalną przepustowość tworzonej sieci na poziomie 1200 Mbit/s. Urządzenie działa w dwóch pasmach: 5 GHz i 2,4 GHz, z czego w paśmie 5 GHz maksymalna przepustowość to 867 Mbit/s a w 2,4 GHz – 300 Mbit/s. W obudowie urządzenia znajdziemy dwa porty WAN/LAN 10/100 Mbit/s oraz jedno gniazdko USB-A (USB 2.0), jest też złącze USB-C do zasilania. Jeżeli nie korzystamy z dostarczonego z urządzeniem zasilacza, pamiętajmy, by źródło energii dostarczało prąd 2 A 5 V lub po prostu obsługiwało USB PD. Na obudowie tego małego routera znajdziemy też dwa przyciski. Jeden to klasyczny Reset (przywracanie fabrycznej konfiguracji) a drugi to konfigurowalny przełącznik (temat rozwinę w dalszej części). Więcej Cudy TR1200 oferuje „pod maską”. Sprzęt obsługuje praktycznie wszystkie najpopularniejsze standardy i protokoły VPN (ZeroTier, WireGuard, OpenVPN, IPSec, L2TP, PPTP), pod względem bezpieczeństwa korzystania z publicznych/hotelowych sieci jako źródeł internetu duże znaczenie ma też obsługa DNS over TLS (za pomocą usług DNS Google, Cloudflare lub Quad9).





Co to daje? Np. obsługa wielu protokołów VPN pozwala łatwo korzystać praktycznie z dowolnej (najlepiej komercyjnej) usługi VPN na poziomie sieci tworzonej przez router, a nie poszczególnych urządzeń. Dodatkowo fakt, że Cudy TRI200 obsługuje ZeroTier, pozwala używać VPN-ów (w tym również tworzyć VPN-y) także w sieciach, które nie przyporządkowują klientowi publicznych numerów IP (w praktyce dziś mało która sieć to robi). Z kolei fakt, że sprzęt obsługuje DNS over TLS, oznacza, że zapytania DNS generowane przez nas (mówiąc prościej, np. korzystanie z przeglądarki WWW) na komputerze podpiętym bezprzewodowo do routera Cudy TRI200, który z kolei jest podłączony do np. hotelowej sieci dla gości, nie są widoczne w postaci jawnej dla kogokolwiek, kto administruje siecią hotelową i to nawet gdy nie korzystasz z VPN. Pod względem bezpieczeństwa trudno nie docenić takiego rozwiązania.

Formalnie Cudy TRI200 jest bezprzewodowym routerem, ale to od nas zależy, w jakim trybie ten sprzęt będzie działał. Wybór mamy całkiem szeroki. Oprócz domyślnego trybu routera sprzęt może funkcjonować również jako bezprzewodowy punkt dostępowy (tryb AP; Access Point; tworzy sieć Wi-Fi z połączenia przewodowego wpiętego w urządzenie), range extender (wzmacnia sygnał istniejącej sieci Wi-Fi i zwiększa jej zasięg), WISP (Wireless Internet Service Provider; działa to jak bezprzewodowy most



odbierający bezprzewodowe łącze internetowe i rozgłaszający jako własną sieć Wi-Fi), tryb klienta czy węzła sieci Mesh. To ostatnie czyni opisywane urządzenie użytecznym nie tylko w podróży. Nic nie stoi na przeszkodzie, by dzięki routerowi Cudy TR1200 poprawić również funkcjonalność i zasięg sieci mesh w naszym domu. Na bogato.

Co zatem może droższy model Cudy TR3000? Zasadniczo wszystko to, co wymieniałem powyżej, ale jednocześnie podnosi poprzeczkę funkcjonalności i wydajności sieci o cały poziom. Przede wszystkim model TR3000 jest już zgodny z Wi-Fi 6 (802.11 ax; oczywiście z pełną kompatybilnością wsteczną), co do funkcji związanych z VPN czy DNS over TLS dodaje jeszcze funkcje bezpieczeństwa zintegrowane z samym standardem Wi-Fi 6 (WPA3, rotacja adresów MAC, szyfrowanie pakietów, BSS Coloring etc.). Teoretyczna maksymalna przepustowość sieci bezprzewodowej uzyskiwanej za pomocą tego urządzenia to ok. 3000 Mbit/s, z czego 2402 Mbit/s to przepustowość dla pasma 5 GHz, a 574 Mbit/s dla 2,4 GHz.





Z zewnątrz ten sprzęt wygląda niemal identycznie (różnica w wyglądzie sprowadza się do barwy obudowy, tym razem jest ona w odcieniu koloru niebieskiego, a także do nieco zmienionego układu gniazd połączeniowych względem poprzednika), ale diabeł oczywiście tkwi w szczegółach. Przede wszystkim TR3000 jest wyposażony w 512 MB własnej pamięci RAM (poprzednik ma 128 MB pamięci RAM) i szybszy, dwurdzeniowy CPU 1.3 GHz, dzięki czemu ten sprzęt jest w stanie obsłużyć nawet 70 podłączonych do niego urządzeń (w przypadku poprzednika Cudy deklaruje obsługę 20 urządzeń). Ponadto ten model wyposażony jest również w dwa gniazda RJ-45, tyle że tym razem nie jest to Ethernet 10/100 Mbit/s, lecz złącze o przepustowości 2,5 Gbit/s i gigabitowe. Gniazdko USB-A w tym modelu obsługuje też szybszy standard USB 3.0 (a nie USB 2.0 jak w poprzedniku), dzięki czemu router można wykorzystać również do współdzielenia w tworzonej za jego pomocą sieci dużych plików multimedialnych (szybszy transfer via USB 3.0) z nośników podpiętych do gniazdko USB. Urządzenie zasilimy zarówno z dostarczanego zasilacza, jak i z każdego laptopa z USB-C z obsługą protokołu USB Power Delivery. Podobnie jak w przypadku wcześniej opisywanego modelu.

Jak to działa? Co do zasady, oceniając sprzęt sieciowy, doceniam jego funkcjonalność, ale zwracam też uwagę na łatwość korzystania z danego



urządzenia. Jak to wygląda w przypadku testowanych urządzeń marki Cudy? Krótka: jest naprawdę dobrze. Czas rozwinąć odpowiedź. Samo uruchomienie dowolnego z dwóch opisywanych routerów sprowadza się do prostej procedury: podłączamy urządzenie do zasilania (dostarczany zasilacz lub USB-C PD), czekamy, aż migająca na czerwono dioda (jedyna na obudowie urządzenia; w obu modelach) przestanie migać (zakończenie procesu rozruchu routera), następnie podpinamy się do źródła internetowego, wpinając np. hotelowy kabel Ethernet w gniazdko WAN routera (WAN 2.5 G w przypadku TR3000). Teraz albo z laptopa, albo za pomocą smartfona łączymy się z tymczasową siecią Wi-Fi generowaną przez router Cudy. Jej dane (SSID i hasło) znajdziemy na nalepce umieszczonej na spodniej stronie urządzenia. Podpinamy się naszym urządzeniem (ja używałem laptopa) do tej sieci, odpalamy przeglądarkę i odwiedzamy panel konfiguracyjny pod adresem <http://cudy.net/>.

Teraz pozostaje nam skonfigurować urządzenie za pomocą czytelnego i spolszczonego panelu administracyjnego. Konfiguracja wstępna jest prosta i ma charakter kreatora prowadzącego użytkownika krok po kroku przez cały proces. Najpierw wybieramy tryb pracy urządzenia





(domyślnie router), następnie strefę czasową (domyślnie wybierana jest prawidłowo), potwierdzamy tryb połączenia z internetem (również automatyka radzi sobie z rozpoznaniem, jakie łącze podpięliśmy), potem pozostaje nam zdefiniowanie nazw tworzonej, naszej sieci bezprzewodowej (dla obu zakresów: 2,4 GHz i 5 GHz) oraz utworzenie haseł dostępu. To w zasadzie wszystko. Po zatwierdzeniu wprowadzonych ustawień sieć po prostu działa.

Z panelu administracyjnego mamy wówczas także dostęp do przeglądu ustawień, monitoringu sieci (np. ilu i jakich klientów korzysta z naszej sieci). Możemy też zdefiniować i aktywować VPN bezpośrednio na routerze. Jest też sporo ustawień zaawansowanych, takich jak np. możliwość utworzenia odrębnej sieci bezprzewodowej dla gości, konfiguracja DMZ (strefy zdemilitaryzowanej), funkcji Wake on LAN (przydatne do zdalnego zarządzania naszymi komputerami, pozwala je zdalnie włączyć). Jest też cała masa funkcji ochronnych: Firewall, zestaw filtrów (MAC, IP, domen, IP/MAC binding, harmonogram sieci i wiele więcej), funkcja ALG (Application Layer Gateway; komponent bezpieczeństwa sieci, działa jako pośrednik pomiędzy siecią wewnętrzną (tu: utworzoną siecią za pomocą opisywanych routerów a internetem, zarządzając określonymi protokołami aplikacji). Co



bardzo istotne: funkcje bezpieczeństwa są domyślnie włączone. Ergo, nie musisz być biegłym „adminem”, by czuć się bezpiecznie.

Wcześniej wspominałem też o dostępności w obu opisywanych urządzeniach konfigurowalnego przycisku. Do czego on służy? Przy standardowych ustawieniach nie jest do niego przypisana żadna funkcja, ale w panelu administracyjnym możemy ten przycisk uczynić przełącznikiem aktywującym np. ustawione w tymże panelu funkcje VPN (automatyczne logowanie do posiadanej przez nas usługi VPN wraz z załadowaniem konfiguracji określającej np., które z podłączonych do naszej sieci urządzeń ma mieć dostęp do internetu via VPN). W efekcie jednym przyciskiem możemy

znacznie zwiększyć bezpieczeństwo naszej sieci i korzystających z niej naszych urządzeń. Wygodne rozwiązanie. Inną funkcją, bardziej estetyczną, jaką możemy przypisać temu przyciskowi, jest np. wyłączenie diody sygnalizacyjnej na urządzeniu. A co w przypadku sieci mesh? Tu również pomaga pełna automatyka, jeżeli w domu dysponujemy siecią kratową (czyli mesh właśnie), to opisywane routery automatycznie rozpoznają jej obecność i mogą stać się jej częścią, powiększając dodatkowo zasięg sygnału bezprzewodowego.

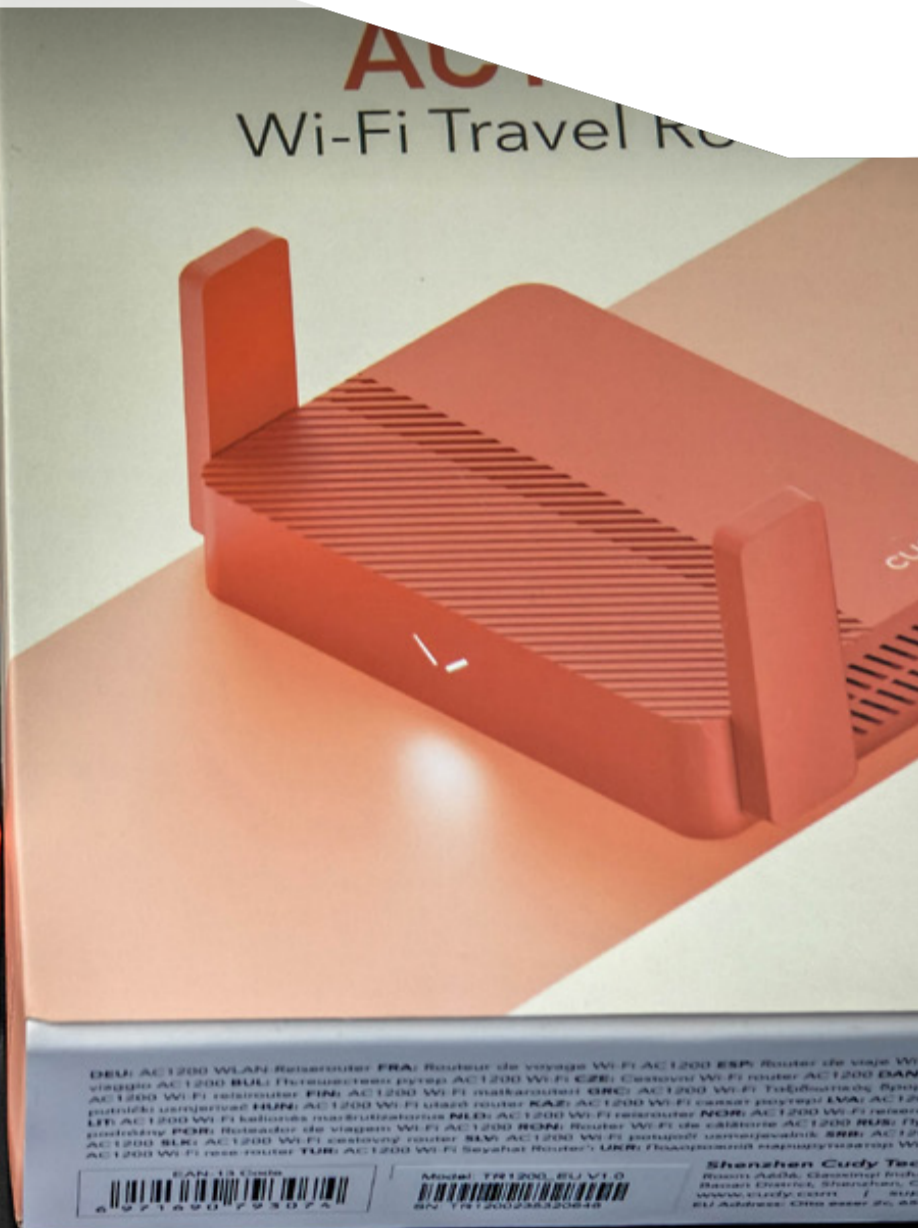
Które z dwóch urządzeń wybrać? Kierujmy się pragmatyzmem. Osobiście wybrałbym model TR3000. Owszem, jest droższy, jednak, po pierwsze: dysponuję urządzeniami, które są w stanie wykorzystać potencjał Wi-Fi 6, po drugie, ze względu na rozmiary plików (np. dużej objętości i wysokiej jakości zdjęcia)

wykorzystałbym możliwość współdzielenia w ramach tworzonej sieci mojej bazy zdjęć zapisanej na nośniku podpiętym do USB 3.0. Nie bez znaczenia jest też liczba obsługiwanych urządzeń w danej sieci. W sytuacji, gdy np. trafia do nas wiele urządzeń smart home, większa liczba klientów, których dany router jest w stanie obsłużyć, po prostu się przydaje. Jednak niech każdy dokona wyboru pod kątem własnych potrzeb. Jeżeli np. nie miałbym komputera obsługującego Wi-Fi 6 czy innych urządzeń zgodnych z 802.11ax i nie potrzebowałbym funkcjonalności szybkiego serwera plików, znacznie

...stosunkowo nowa na naszym rynku marka Cudy zarówno w modelu TR1200 (kosztuje ok. 169 zł), jak i TR3000 (cena ok. 329 zł) proponuje wyjątkowo dojrzałe i godne polecenia produkty.



tańszy TR1200 w zupełności wystarczy. Tym bardziej że pod względem funkcji bezpieczeństwa w sieciach publicznych (lotniskowych, hotelowych, restauracyjnych itp.) czy konfiguracji VPN oba urządzenia oferują podobne funkcje. A różnica w wydajności pomiędzy AC1200 a AX3000 w przypadku, gdy przebywając w delegacji, w hotelu podejmiemy do utworzonej, naszej, bezpiecznej sieci tylko np. naszego laptopa i smartfon, nie będzie mieć istotnego znaczenia praktycznego, tym bardziej że i tak finalnie szybkość łącza internetowego zależy od zastanego na miejscu połączenia, do którego podłączamy nasz podróży router. Jednak, powtarzam, każdy powinien uwzględnić własne potrzeby. Ja mogę jedynie potwierdzić, że stosunkowo nowa na naszym rynku marka Cudy zarówno w modelu TR1200 (kosztuje ok. 169 zł), jak i TR3000 (cena ok. 329 zł) proponuje wyjątkowo dojrzałe i godne polecenia produkty. Nie sugerujemy się też nazwą „router podróży”. Przy oferowanych możliwościach oba modele Cudy okazują się również w pełni funkcjonalnymi urządzeniami do sieci Wi-Fi we własnym lokum, a ich mobilność wynikająca z gabarytów to dodatkowy atut.





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Lenovo Legion GO

– ultramobilny, gamingowy PC

Niewiele rzeczy w gamingu zmienia się tak szybko, jak granie mobilne. Rynek zdominowany przez Nintendo przejęły częściowo smartfony, tylko po to, by stać się platformą dla darmowych tytułów. Od pojawienia się Steam Decka granie mobilne znów się zmieniło, bo nagle możemy mieć niemal każdy tytuł ze sobą.



Niemal, bo na konsolach działających na Windows podlegamy tym samym ograniczeniom, co gracze używający tego systemu na PC. Mimo tego wybranie oprogramowania Microsoftu otwiera wiele drzwi w świecie gier, bo prócz sklepów takich jak Steam, GOG czy Epic mamy też możliwość korzystania z serwisów subskrypcyjnych pokroju GamePassa, Ubisoft+ czy EA Play. Lenovo zaprojektowało Legion Go, swoją pierwszą mobilną konsolę, właśnie z myślą o tym systemie, choć nie mogę pozbyć się wrażenia, że zbyt wiele jest w niej cech PC, a zbyt mało urządzenia, które ma służyć do grania. Każda konkurencyjna konsola tego typu jest spora, jednak Legion Go to naprawdę kawał sprzętu. Zastosowanie dużego ekranu o przekątnej niemal 9 cali w połączeniu z kanciastym i raczej surowym designem potęgają wrażenie wielkości tej konsoli. Waga równa 854 gramy dopełnia obrazu ogromnego sprzętu. Wszystko jest jednak wykonane bardzo porządnie, nie ma mowy o żadnym skrzypieniu i to pomimo tego, że boczne kontrolery się odłączają. Te trzymają się doskonale sztywno, a osoby, które nie wiedzą, że da się je odzepić, nie wywnioskują tego po ich ewentualnym ruchu. Design, choć lekko toporny, przypadł mi do gustu, a mnogość przycisków i portów czyni go jeszcze bardziej interesującym (czy funkcjonalnym, o tym



za chwilę). Jediną błyszczącą powierzchnią jest ekran, wszystko inne ma matowe wykończenie, co było świetną decyzją, zwłaszcza że Legion Go dostępny jest tylko w czarnym kolorze. Urządzenie przykuwa uwagę liczbą przycisków – te z przodu niczym się nie wyróżniają, ale z tyłu nie dość, że jest ich dużo, to jeszcze rozmieszczone są nieregularnie, a po prawej stronie mamy nawet... scroll. To wszystko ma sens, ale wymaga i przyzwyczajenia, i zrozumienia, dlaczego ktoś tak to zaprojektował. W komplecie z urządzeniem dostajemy świetne, ale i olbrzymie etui na konsolę. Ma zakrywany klapką otwór na kabel do ładowania, znajduje się on w miejscu, w którym

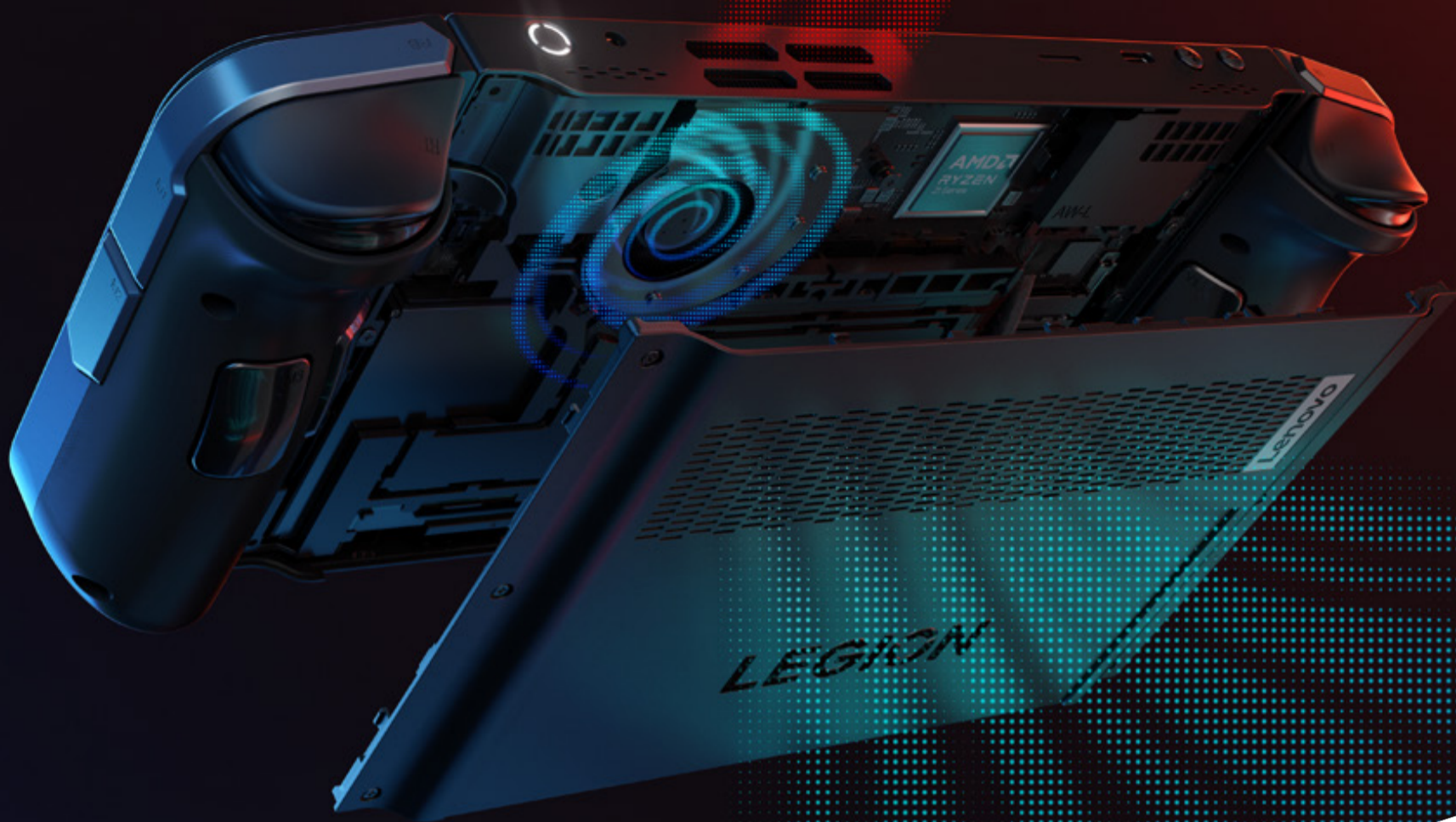
łąduje jeden z portów USB konsoli. Etui mieści też magnetyczną podstawkę do prawego kontrolera, która pozwala korzystać z niego jak z myszy. Do zestawu dołączona jest też ładowarka o mocy 65 watów i odpowiedni kabel. Mamy więc wszystko, czego można oczekiwać po tak drogim urządzeniu.

Gdy jednak przebrniemy przez to wszystko, będziemy trzymać w ręku sprzęt obsługujący ogromną bibliotekę gier i to w jakości godnej współczesnych konsol.

Wspominałem już, że ekran Legion Go jest spory. Jego przekątna mierzy dokładnie 8,8 cala, rozdzielczość natomiast to 2560 × 1600 pikseli. Odzworowanie kolorów jest bardzo dobre (pokrycie w 97% palety barw DCI-P3), podobnie jasność maksymalna, wynosząca 500 nitów. Odświeżanie robi wrażenie, wynosi 144 Hz, choć podczas gry wykorzystywałem częściej 60 Hz (chyba że odpalałem mniej wymagające tytuły). Ekran pokrywa Gorilla

Glass, co nie jest bez znaczenia – przy tak ciężkim sprzęcie położenie ekranem do dołu może łatwo go zarysować. Legion Go ma dużą moc obliczeniową dzięki zastosowaniu procesora AMD Ryzen Z1 Extreme. Ponadto na pokładzie mamy 16 GB pamięci RAM LPDDR5X oraz pamięć ROM PCIe Gen4 o pojemności do 1 TB (choć w Polsce jedyna dostępna pojemność to 512 GB). Da się ją rozszerzyć kartą pamięci micro SD, maksymalna obsługiwana pojemność to aż 2 TB. Zupełnie teoretycznie mamy więc maksymalnie około 3 TB na dane – to wręcz absurdalnie dużo. Ważna jest też łączność sieciowa, Legion Go ma Wi-Fi w standardzie 6E, a więc najszybszym, jaki obecnie dostępny jest na rynku. Porty USB mamy aż dwa, oba w standardzie 4.0. Jak widać, parametry sprzętu są topowe, co w dużej mierze tłumaczy jego wysoką cenę.





Legion Go to wspaniałe urządzenie, bo ma Windowsa. Z tego samego powodu jest okropne. Przynajmniej na początku. Wszystkie sklepy i serwisy wymagają tu odrębnej instalacji i konfiguracji, miałem zresztą niemały problem z tym, by zmusić tytuły ze Steam do działania. Jeśli oczekujecie, że uruchomicie konsolę po wyjęciu z pudełka, pobierzecie grę i w nią zagrajecie, to cóż, zawiedziecie się mocno. Windows 11 pozostaje sobą i żaden, swoją drogą bardzo przeciętny HUB producenta, tego nie zmieni. Musimy wyrazić na wszystko zgody, pochować powiadomienia, zaktualizować, co trzeba, i to wszystko w systemie, który bardzo słabo zoptymalizowano do obsługi dotykaniem. Z pomocą przychodzi touchpad, który działa z satysfakcjonującą precyzją, wciąż jednak trzeba poświęcić sporo czasu, by Legion Go zaczął działać tak, jak chcemy. Gdy jednak przebrniemy przez to wszystko, będziemy trzymać w ręku sprzęt obsługujący ogromną bibliotekę gier i to w jakości godnej współczesnych konsol. Ta niezależność od jednego dostawcy oprogramowania i poniekąd też od platformy (bo tytułów ekskluzywnych na wybrane konsole mamy, nie licząc Nintendo, coraz mniej) jest bardzo przyjemna i dla kogoś, kto przez lata był związany tylko z jedną z konsol, może być wręcz klęską urodzaju.





Mnogość przycisków i gniazd jest w pełni uzasadniona. Legion Go pozwala bowiem bawić się na kilka sposobów, bo prócz klasycznego trzymania całości w rękach możemy też odzepić kontrolery i używać ich tak, jak pada lub też przełączyć się na tryb FPS, zmieniający jeden z nich w mysz (właśnie po to w komplecie mamy magnetyczną podstawkę). Trzymamy go wtedy bokiem, dodatkowo jest pochylony, więc palce lądują w innym miejscu, ale wciąż na właściwych przyciskach. Jedynie scroll obsługuje się niewygodnie, choć i do tego można przywyknąć. Problemem jest to, że drugi kontroler również się przetacza i może okazać się, że wykorzystywane w grze przyciski nie są fizycznie do





niczego przypisane. Nie przepadam zresztą za trzymaniem kontrolera luzem w dłoni, więc ostatecznie w ten sposób grałem tylko w Superhot, które dało się w ten sposób bardzo komfortowo ogrywać. Zabrakło mi też prostego akcesorium, które łączyłoby dwa kontrolery w jednego pada tak, jak robi to „piesek” od Switcha. Podłączenie Legion Go do zewnętrznego ekranu nie jest żadnym problemem i naprawdę żałuję, że producent o tym nie pomyślał. Jeśli jesteśmy już przy podobieństwach do konsoli Nintendo, to... tu się one kończą. Gry na Windows nie są tworzone z myślą o sterowaniu ruchowym, dlatego też kontrolerów nie da się wykorzystać w żaden inny sposób niż wcześniej wspomniane. To zrozumiałe, ale piszę to, by ostudzić zapał tych, którzy zapragnęli mieć „Switcha z Windowsem”. Podczas gry zwróciłem uwagę na to, jak dobrym pomysłem było zastosowanie dwóch portów USB. Górny służył mi do podłączenia do zasilania, jeśli była taka potrzeba, do dolnego podpiniałem odbiornik słuchawek lub inne drobne akcesoria. Oba porty działają wymiennie, ale podłączony na dole przewód przeszkadza podczas gry. Na górze umieszczono też gniazdo mini Jack, również całkiem przydatne, pomimo obowiązującego trendu odchodzenia od tego złącza. Z tyłu konsoli rozkłada się duża, bardzo stabilna stopka, pozwalająca ustawić sprzęt na blacie. Jest świetna, korzystałem z niej głównie do oglądania czegoś, bo (jak już pisałem) na odłączonych kontrolerach grało mi się



średnio. A, konsola ma też uchwyt na smycz. To niby detal, ale wyjątkowo przydatny, zwłaszcza w dość nieporęcznym, a jednocześnie drogim urządzeniu mobilnym.

Jak się gra na Legion Go? W telegraficznym skrócie: świetnie. Jeśli tylko urządzenie ma podłączone kontrolery, wygoda jest bardzo wysoka, przeszkadzać może jedynie jego waga. Przyciski na przednim panelu mają doskonale wyczuwalny, przyjemny klik, dobrze działają też spusty i bumpery. Słabiej jest z dodatkowymi przyciskami z tyłu kontrolerów, te są już mniej przyjemne w użyciu, a przy tym głośniejsze. Dobrze, że nie korzysta się z nich za często. Gałki analogowe z efektem Halla działają wręcz wzorowo, nie dryfują, a ponadto mają bardzo dobrą czułość, nie czuć martwej strefy. Dobrze działa też bateria, bo choć granie w wymagające dużo mocy obliczeniowej tytuły potrafi zużyć ją w dwie godziny, to jest to wciąż bardzo dobry wynik. Przy lżejszych, prostszych grach ten czas można spokojnie podwoić (zakładam jednak, że nie po to kupuje się tak wydajny sprzęt, by pogrywać na nim w te najprostsze tytuły). Podczas gry przydaje się menu szybkich ustawień, pozwalające zmieniać jasność, głośność, rozdzielczość





czy odświeżanie. Przydaje się zwłaszcza na początku ogrywania danego tytułu, by odpowiednio skonfigurować opcje graficzne. Sama rozgrywka jest bardzo płynna, kiedy już trafimy z ustawieniami. Resident Evil 2, Dirt Rally oraz Doom Eternal były tymi tytułami, w których spędziłem najwięcej czasu – wszystkie wyglądały świetnie i działały doskonale płynnie, nawet najbardziej wymagającego zręczności Dooma ogrywałem bez najmniejszych problemów, a to dzięki naprawdę dobrym analogom i pozostałym przyciskom. Jedyne w Dircie utknąłem na ekranie powtórki i musiałem ratować się wywołaniem ekranowej klawiatury, bo gra nijak nie chciała mnie wypuścić z tego widoku. Innych problemów w trybie przenośnym jednak nie miałem, Legion Go świetnie dawał sobie radę zarówno z prostszymi grami, jak i z tytułami AAA. Mógłbym tak grać właściwie we wszystko, o ile tylko byłoby



dostępne na Windows. Kultura pracy urządzenia jest przy tym dobra, chłodzenie włącza się szybko, ale szum utrzymuje się na przyzwoitym poziomie. Wyloty powietrza są na górnej krawędzi, a dodatkowe otwory znajdują się z tyłu obudowy, poprawiając cyrkulację powietrza. Warto wspomnieć o głośnikach konsoli – są przyzwoite i można na nich grać, choć osobiście wolałem używać słuchawek.

Lenovo zaprojektowało wspaniałego PC i ubrało go w możliwie najzgrabniejszą przenośną formę. Ma to i wady, i zalety, niemniej ostatecznie konsola doskonale radzi sobie ze wszystkim. Odłączane kontrolery są tylko ciekawostką, nie zaś elementem, dla którego warto wybrać Legion Go. Tym, co za nim za to zdecydowanie przemawia, jest świetny wyświetlacz i wydajność, a także najwyższa jakość wykonania. Gdybym teraz miał zdecydować się na konsolę mobilną, to mój wybór padłby z pewnością na Lenovo.

Lenovo Legion GO



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 3/6
- Wydajność: 6/6

+ Plusy:

- bardzo wysoka wydajność
- świetny, duży wyświetlacz
- dobrej jakości analogi i przyciski

- Minusy:

- wymaga czasu, by wszystko skonfigurować i zainstalować
- odłączane kontrolery nie mają zastosowania

Cena: ok. 3100 PLN (wersja o pojemności 512 GB)





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Realme 12 Pro+ 5G

– ucziwa cena

Nie zazdrozczę nikomu, kto musi teraz wybrać smartfona – urządzenia są tak podobne do siebie, że bez określenia priorytetów ciężko się na coś zdecydować. Jeśli okaże się, że kluczowy jest aparat, to Realme 12 Pro+ 5G może być najlepszym wyborem, zwłaszcza na średniej półce cenowej.





W topowych smartfonach od niedawna możemy spotkać się z obiektywami peryskopowymi, pozwalającymi nie tylko na uzyskanie optycznego zoomu, ale też zmieniającymi perspektywę i dającymi bardzo naturalny efekt bokeh. Konstrukcje te zarezerwowane były do niedawna wyłącznie dla tych drogich urządzeń, jednak Realme postanowiło to zmienić. Model 12 Pro+ 5G również ma taki obiektyw, a przy tym kosztuje mniej więcej o połowę mniej, niż inne telefony mające tę funkcję. Na pierwszy rzut oka trudno dostrzec, na czym oszczędzono. Telefon prezentuje się bardzo dobrze, choć balansuje na granicy luksusu i lekkiej tandety, bowiem jubilerskie, inspirowane zegarkami wykończenia pokroju nacinanego bezela wyspy aparatów, mieniącego się paska przecinającego w pionie tylny panel czy wegańska skóra nie każdemu mogą przypaść do gustu. Mnie osobiście to wzornictwo się spodobało, czuć powiew świeżości, bez trudu można też odróżnić Realme 12 Pro+ 5G od innych telefonów. I tak już w poprzednim modelu tył wyglądał podobnie, tu jednak wykonano go z większym gustem. Design pozwala też dobrze wkomponować wspomnianą już, wielką wyspę z trzema obiektywami i czujnikiem. Krawędzie obudowy zaokrąglono, a ekran lekko zachodzi na boki, co jest coraz rzadziej spotykanym, a nadającym smukłości



zabiegiem. Ramkę zrobiono z plastiku, który całkiem nieźle udaje aluminium, na prawej krawędzi umieszczono włącznik i przycisk regulacji głośności – oba bardzo wąskie, ale dobrze wyczuwalne pod kciukiem. Na dole mamy standardowo USB, podwójne gniazdo kart nano SIM oraz mikrofon i głośnik. Drugi głośnik wyładował nad ekranem, zaraz nad niewielkim oczkiem przedniego aparatu. Ramka wyświetlacza jest symetryczna, przez co front prezentuje się doskonale, zresztą cały telefon bardzo mi się podoba. Nie tylko dobrze wygląda, ale też pewnie leży w dłoni, bo wegańska skóra z tyłu ogranicza wyślizgiwanie się go, a waga poniżej 200 gramów i w miarę równe rozłożenie masy czynią go bardzo wygodnym w obsłudze. Na dodatek ma IP65, co czyni go odpornym na deszcz i przypadkowe zamoczenie.

Telefon na co dzień ma więcej niż wystarczającą wydajność, a to dzięki mocnej, choć nie topowej specyfikacji. Mamy tu Snapdragona 7s Gen 2 5G oraz Adreno 710, ponadto kupując Realme 12 Pro+ 5G, możemy wybierać pomiędzy wariantem z 8 GB RAM i 256 GB ROM bądź z 12 GB RAM i 512 GB ROM. Sam testowałem mocniejszą wersję i taką też bym wybrał, decydując się na zakup. Pamięci nie da się rozszerzyć kartą, a różnica w cenie obu wariantów to raptem 300 PLN. Jeśli z jakiegoś





W topowych smartfonach od niedawna możemy spotkać się z obiektywami peryskopowymi, pozwalającymi nie tylko na uzyskanie optycznego zoomu, ale też zmieniającymi perspektywę i dającymi bardzo naturalny efekt bokeh. Konstrukcje te zarezerwowane były do niedawna wyłącznie dla tych drogich urządzeń, jednak Realme postanowiło to zmienić. Model 12 Pro+ 5G również ma taki obiektyw, a przy tym kosztuje mniej więcej o połowę mniej, niż inne telefony mające tę funkcję. Na pierwszy rzut oka trudno dostrzec, na czym oszczędzono. Telefon prezentuje się bardzo dobrze, choć balansuje na granicy luksusu i lekkiej tandety, bowiem jubilerskie, inspirowane zegarkami wykończenia pokroju nacinanego bezela wyspy aparatów, mieniącego się paska przecinającego w pionie tylny panel czy wegańska skóra nie każdemu mogą przypaść do gustu. Mnie osobiście to wzornictwo się spodobało, czuć powiew świeżości, bez trudu można też odróżnić Realme 12 Pro+ 5G od innych telefonów. I tak już w poprzednim modelu tył wyglądał podobnie, tu jednak wykonano go z większym gustem. Design pozwala też dobrze wkomponować wspomnianą już, wielką wyspę z trzema obiektywami i czujnikiem. Krawędzie obudowy zaokrąglono, a ekran lekko zachodzi na boki, co jest coraz rzadziej spotykanym, a nadającym smukłości



powodu potrzebować będziemy jeszcze więcej RAM, to możemy rozszerzyć go o kolejne 12 GB pamięci SWAP – nie znajduję dla tego zastosowania, ale wierzę, że komuś ta funkcja się przyda. Bateria może być ładowana od 0 do 50% w około 20 minut za pomocą dołączonej, 67-watowej ładowarki Super VOOC. To bardzo szybko, niemniej nie mamy innej opcji – Realme 12 Pro+ 5G nie obsługuje ładowania bezprzewodowego. Bateria jest mocna, pojemność równa 5000 mAh pozwala na jeden dzień intensywnej pracy bądź dwa dni przeciętnego obciążenia urządzenia telefonami, przeglądaniem sieci i sprawdzaniem maila. Ten wynik jest bardzo zadowalający. O ekranie również mogę wyrażać się w samych superlatywach, jego przekątna wynosi 6,7 cala, a rozdzielczość to 2412 × 1080 pikseli. Mimo sporych rozmiarów, dzięki wspomnianemu zaokrągleniu krawędzi oraz syntetycznej skórze z tyłu obudowy, telefon leży w dłoni bardzo pewnie. Jakość kolorów jest świetna, to OLED ze 100-procentowym pokryciem palety P3. Jasność maksymalna wynosi 950 nitów, a więc sporo, natomiast odświeżanie sięga nawet 120 Hz (przy czym może działać adaptacyjnie lub być na stałe ustawione na 120 lub 60 Hz). Producent chwali się też trybem ochrony oczu, wykorzystującym modulację PWM o częstotliwości do 2160 Hz i 20 000 poziomów podświetlenia. Tryb ten zaczyna działać przy niskiej jasności i ma za zadanie zredukować zmęczenie wzroku. Trudno ocenić mi jego



pracę, bo owszem, nie zauważyłem wieczorem nadmiernego zmęczenia, ale to za mało, by jednoznacznie potwierdzić jego działanie. Ekran ma zintegrowany skaner odcisków palców, działający szybko i z dużą skutecznością, podobnie jak w wielu telefonach, mógłby być jednak umieszczony nieco wyżej. Z wyróżniających się elementów mamy też silnik haptyczny, który zapewnia dużo lepsze wrażenia niż standardowa, rotacyjna lub oscylacyjna wibracja. Są tu też głośniki stereo z Dolby Atmos, oferujące całkiem szczegółowy, choć raczej pozbawiony dołu dźwięk, muszę też przyznać, że Realme 12 Pro+ 5G jest wyjątkowo głośnym smartfonem.

Telefon prezentuje się bardzo dobrze, choć balansuje na granicy luksusu i lekkiej tandety.

Tym, co zdecydowanie wyróżnia Realme 12 Pro+ 5G na tle innych smartfonów ze średniej półki, jest jego aparat. Główny obiektyw wygląda standardowo: wykorzystuje sensor Sony IMX890 o rozdzielczości 50 MP i z optyczną stabilizacją obrazu. Przystona obiektywu to f/1.8. Dużo ciekawiej prezentuje się zoom, będący obiektywem peryskopowym zapewniającym 3-krotne zbliżenie optyczne oraz 120-krotne zbliżenie cyfrowe, o przystonie f/2.6. Współpracuje z matrycą o rozdzielczości 64 MP. To właśnie jej wysoka rozdzielczość pozwala na tak duże zbliżenie cyfrowe, choć realnie powyżej 20-krotnego zoomu jakość zaczyna gwałtownie spadać. Tym, w czym głównie przydawał się mi ten obiektyw, było robienie zdjęć portretowych z niesamowitym, naturalnym bokeh, nie do uzyskania w smartfonie za pomocą obiektywu o standardowej konstrukcji. Efekty robią ogromne wrażenie, zdjęcia wykazują się świetną plastyką, a oprogramowanie urządzenia nie ma też tendencji do nienaturalnego podbijania kolorów, prezentują się bardzo naturalnie i żywo. Trzeci aparat wyposażono w obiektyw ultraszerokokątny o kącie 112 stopni, f/2.2 i matrycy 8 MP. Przedni aparat do selfie też daje radę – ma matrycę o rozdzielczości 32 MP. Podczas robienia zdjęć wykorzystywany jest algorytm przetwarzania obrazu MasterShot, opracowany wspólnie z Qualcomm – trudno określić,



ile zmienia z uwagi na brak odpowiedniego punktu odniesienia, muszę jednak przyznać, że ogólna jakość zdjęć z Realme 12 Pro+ 5G stoi na bardzo wysokim poziomie. Urządzenie przyzwoicie radzi sobie też z wideo, choć zdecydowanie najlepiej wychodzą nagrania z głównego obiektywu, z uwagi na OIS. Maksymalna rozdzielczość to 4K przy 30 FPS, by uzyskać 60 FPS, musimy obniżyć jakość nagrania do 1080p.

Podobnie jak inne urządzenia Realme, 12 Pro+ 5G działa na Androidzie 14 z nakładką Realme UI 5.0. Wyróżnia się kilkoma praktycznymi rozwiązaniami, takimi jak tryb obsługi jedną ręką, szybkie uruchamianie aplikacji po przytrzymaniu palca na czytniku linii papilarnych czy podzielony ekran i pływające okna. Bardzo dobrze wyglądają też powiadomienia, mogą być zawieszane na górnej belce, dzięki czemu zawsze mamy je na oku (działa tak na przykład minutnik). System jest też zmodyfikowany wizualnie, niemniej wszystkie elementy są bardzo estetyczne, a ponadto układ interfejsu nie został zmieniony na tyle, by mieć jakikolwiek problem z odnalezieniem się w nim. Zauważyłem, że urządzenie miewa problemy z detekcją dotyku. Robiąc na głównym ekranie gest przeciągnięcia od dołu do góry, nie zawsze mogłem dostać się do



menu wszystkich aplikacji. Jedynie wykonując ruch odpowiednio szybko, jest to możliwe. Nie spotkałem się z tym na innych testowanych urządzeniach z tym systemem. Jest to drobiazg, ale z uwagi na to, jak często używam tego gestu, zapadł mi w pamięć.

Po testowaniu Realme 12 Pro+ 5G mam wrażenie bycia oszukany, aczkolwiek wcale nie przez tego producenta. Skoro w tej cenie można dostać urządzenie z tak dobrym aparatem, ekranem i o przyzwoitej wydajności, to dlaczego inne firmy oferują za takie pieniądze znacznie mniej? W testowanym sprzęcie nie czuć mocnych oszczędności. Owszem, brakuje bezprzewodowego ładowania, procesor nie jest topowy, a ramkę zrobiono z plastiku. To jednak wciąż nie tłumaczy tak dobrej ceny w stosunku do oferowanej jakości.



Realme 12 Pro+ 5G

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5,5/6

Plusy:

- świetny aparat i bokeh
- unikalne wzornictwo
- zgrabny i lekki, mimo dużych rozmiarów

Minusy:

- sporadyczne przycinanie interfejsu
- detekcja gestów czasem zawodzi

Cena:

Wersja 8 GB RAM/256 GB ROM
– około 2000 PLN

Wersja 12 GB RAM/512 GB ROM
– około 2300 PLN





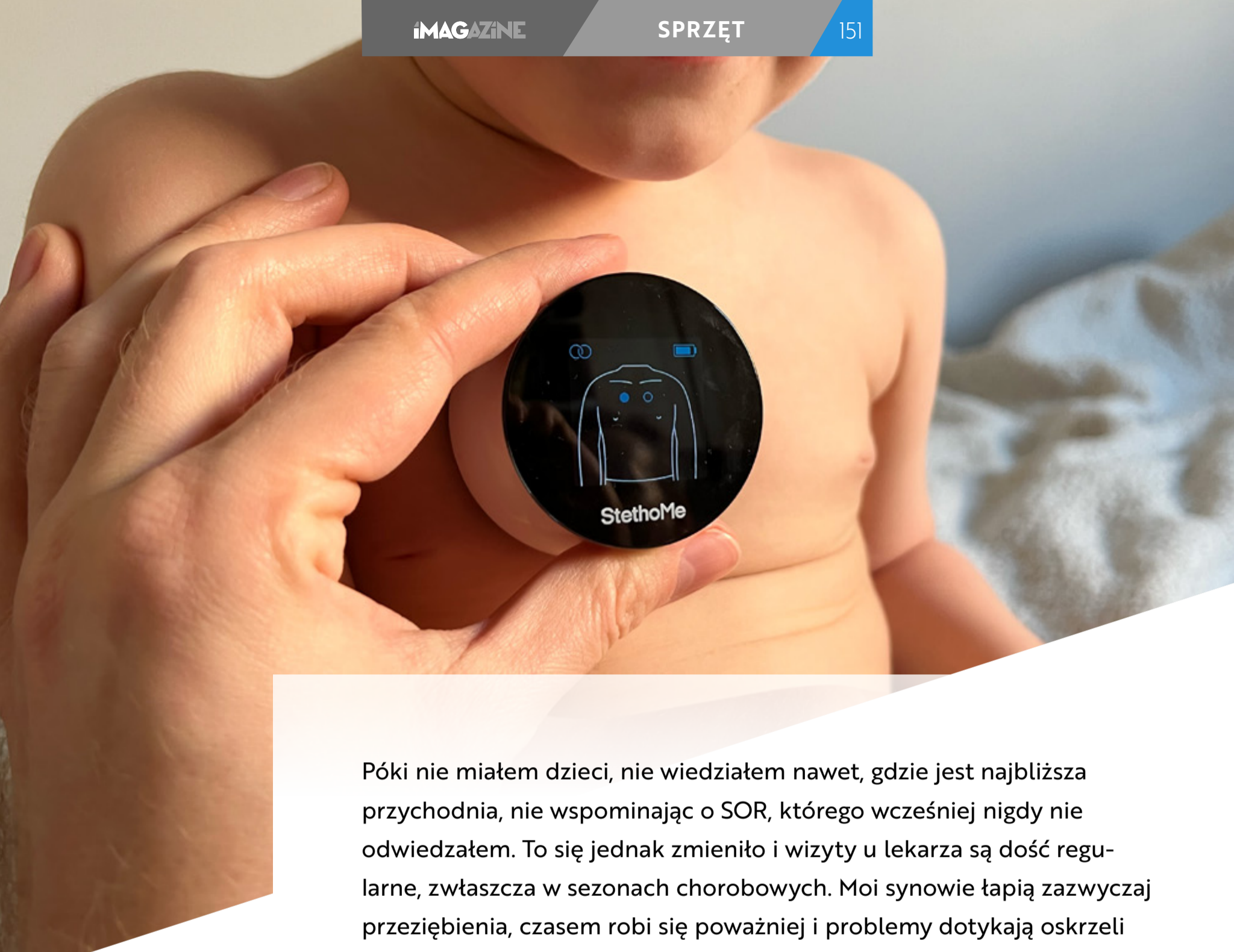
PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

StethoMe

– rodzicielski must have

Pojawienie się w rodzinie dzieci diametralnie zwiększa częstotliwość wizyt u lekarza. Wiele z nich wynika z chorób układu oddechowego. Okazuje się, że wstępną diagnostykę da się przeprowadzić samodzielnie, o ile wyposażymy się w StethoMe.





Póki nie miałem dzieci, nie wiedziałem nawet, gdzie jest najbliższa przychodnia, nie wspominając o SOR, którego wcześniej nigdy nie odwiedzałem. To się jednak zmieniło i wizyty u lekarza są dość regularne, zwłaszcza w sezonach chorobowych. Moi synowie łapią zazwyczaj przeziębienia, czasem robi się poważniej i problemy dotyczą oskrzeli czy płuc. Najprostszą opcją jest umówienie się na wizytę w przychodni, ale tam istnieje ryzyko zarażenia się czymś nowym, ponadto zajmuje to czas i potrafi istotnie poprzestawiać organizację dnia. Pierwsze symptomy łatwo zignorować, czekając, by upewnić się, że to faktycznie coś innego niż przemęczenie czy przeziębienie (tak, przy kolejnym dziecku człowiek uczy się, że nie jedzie się z każdym kichnięciem do lekarza). Gdy dostałem propozycję przetestowania polskiego StethoMe, nie wahałem się ani chwili, bo urządzenie miało potencjał, by znacznie uprościć życie mojej rodziny.

StethoMe spakowane jest w duże pudełko, a to z uwagi na sporą ilość absorbującej wstrząsy wkładki. Sam sprzęt ma bardzo kompaktowe wymiary, prócz niego w komplecie dostajemy tylko kabel do ładowania. Jest nietypowy, bo z jednej strony kończy się wtyczką USB-A, z drugiej zaś mamy... mini Jack. Ostatnio takie rozwiązanie widziałem w iPodzie Shuffle I, podobnie jak w nim, wynika ono z faktu zastosowania



wyłącznie takiego gniazda w stetoskopie. Służy ono też do podłączenia zewnętrznych słuchawek, jeśli z urządzenia korzysta lekarz, który na bieżąco chce osłuchać pacjenta. W komplecie brakuje mi zdecydowanie etui, które pomogłoby nie tylko chronić sprzęt w domu czy w podróży, ale też byłoby miejscem, w którym można schować nietypowy przewód ładujący. StethoMe zrobiono z porządnego plastiku: biały, matowy korpus łączy się z błyszczącą powierzchnią przykrywającą kwadratowy, monochromatyczny ekran. Nie jest dotykowy, ale niczego to nie utrudnia. Z drugiej strony mamy plastikowe, lekko wystające koło, które przykładamy do skóry. Jakość materiałów i spasowania nie budzą zastrzeżeń, a jasność i rozdzielczość ekranu są wystarczające, by komfortowo korzystać ze sprzętu.

Do obsługi StethoMe potrzebna jest aplikacja, urządzenie wymaga smartfona podczas przeprowadzania badania, samo nie jest w stanie go wykonać ani przechować wyników do późniejszej synchronizacji z urządzeniem. Po zalogowaniu się musimy utworzyć profil każdego pacjenta, podając płeć, wiek, wzrost i masę ciała, później należy wybrać typ



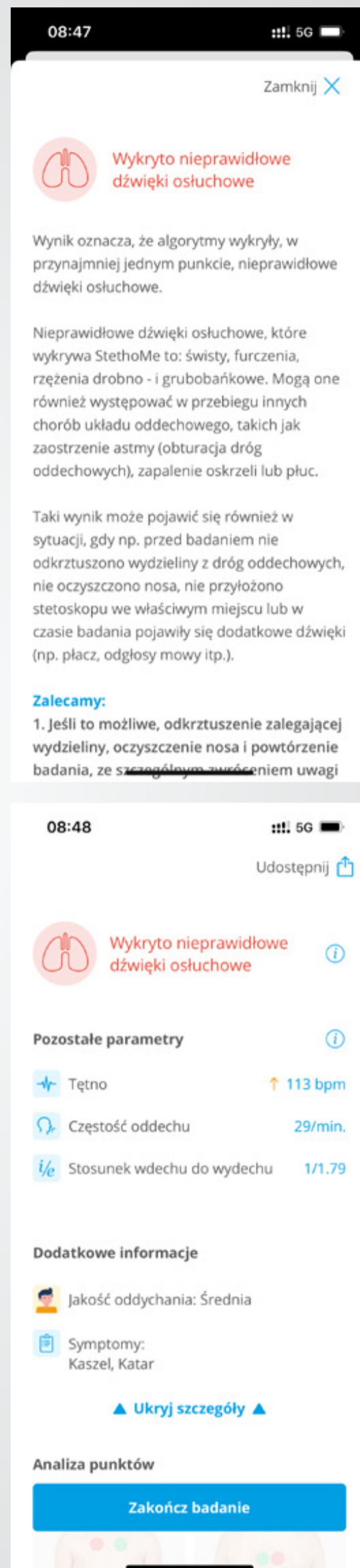


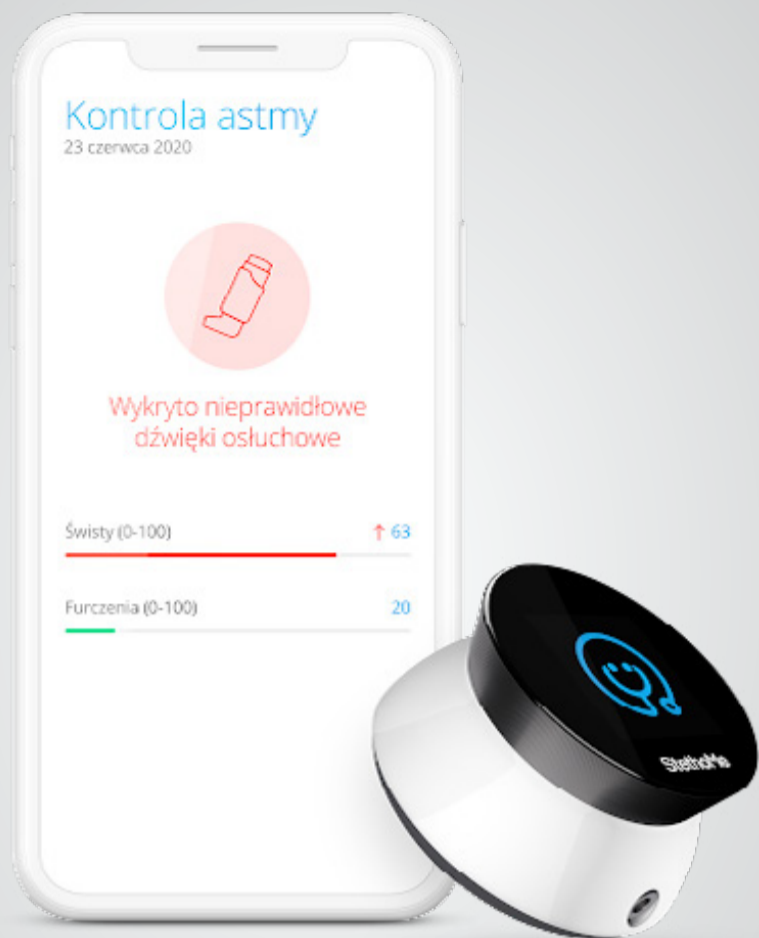
badania. Do wyboru jest pełna diagnostyka płuc bądź kontrola astmy. Aplikacja instruuje dokładnie, jak przeprowadzić badanie, od przygotowania pacjenta po miejsce, do którego należy przyłożyć stetoskop (ta informacja pojawia się też na ekranie urządzenia). Urządzeniem trzeba potrząsnąć, by się wybudziło, potrzeba też kilku sekund, by połączyło się z telefonem przez Bluetooth. Badanie trwa kilka minut i musi być przeprowadzane w ciszy, zakłócenia wpływają wyraźnie na pomiar, ale każdy punkt pomiarowy można powtórzyć. Po badaniu otrzymujemy ogólną, zwięzłą informację o wykrytych nieprawidłowościach, tętnie, częstości oddechu oraz stosunku wdechu do wydechu i jakości oddychania. Możemy też dodać do wyniku symptomy, takie jak katar czy kaszel, a także zażyte leki. Pomoże to lekarzowi w diagnozie, jeśli zdecydujemy się wystać mu badanie. Udostępnianie wyników jest bardzo proste, przesyłamy po prostu link, a wszystkie dane, wraz z plikami audio z poszczególnych punktów oraz oznaczonymi rodzajami nieprawidłowości (takimi jak świsty, furczenia, rżenia grubo- i drobno-bańkowe), dostępne są w przeglądarce (StethoMe trzyma je w swojej chmurze). Jeśli podczas badania wykryte zostaną nieprawidłowości, aplikacja zaproponuje też konsultację online na platformie Med24 ze zniżką.



Urządzenie również wymaga do działania subskrypcji, pierwszy jej rok jest bezpłatny dla każdego nowego urządzenia, później kosztuje ona 14,99 PLN miesięcznie. Ponadto producent daje opcję wypożyczenia sprzętu z już opłaconą subskrypcją na 3 miesiące celem przetestowania go.

Uważam, że StethoMe może być sprzętem przełomowym w obszarze telemedycyny. Ta nie ma wielkiego sensu w przypadkach, w których przebadanie pacjenta jest zwyczajnie niezbędne. StethoMe zapewnia jakość, która jest równie dobra, co w przypadku klasycznego stetoskopu, grunt, by samodzielnie prawidłowo przeprowadzić badanie (co wcale nie jest trudne). W przypadku lekkich dolegliwości może pozwolić to na pozostanie w domu i wdrożenie leczenia lekami bez recepty, w tych poważniejszych i tak nie unikniemy prawdopodobnie wizyty u lekarza, ale za to możemy wcześniej upewnić się sami, że taka wizyta jest konieczna. Sam konsultowałem się z lekarzem w kwestii jakości odczytów StethoMe i dostałem potwierdzenie, że jest świetna i można na niej polegać. Teraz planuję pokazać urządzenie lekarce rodzinnej, by ułatwić ewentualną diagnozę synów i późniejsze śledzenie procesu powrotu do zdrowia (do tego StethoMe też się oczywiście nadaje).





Chciałbym, by sprzęt pokroju StethoMe upowszechnił się na tyle, by telemedycyna przestała być nie lubianym, gorszym zamiennikiem tradycyjnych wizyt, a stała się ich sensowną alternatywą. Ponadto sprzęt tej jakości pozwala lekarzowi częściej monitorować stan pacjenta, a tym samym lepiej dostosowywać leczenie. Sam rodzic (choć nie tylko, bo StethoMe zbada też dorosłego) będzie zdecydowanie czuł się pewniej, wiedząc, że może sprawdzić coś więcej, niż temperaturę i odpowiednio wcześniej wdrożyć leczenie. Dla mnie to urządzenie równie istotne w domowej apteczce, co właśnie wspomniany termometr.

StethoMe

- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 6/6

Plusy:

- jakość badania porównywalna z klasycznym stetoskopem
- łatwość przechowywania i udostępniania danych
- szybkość badania

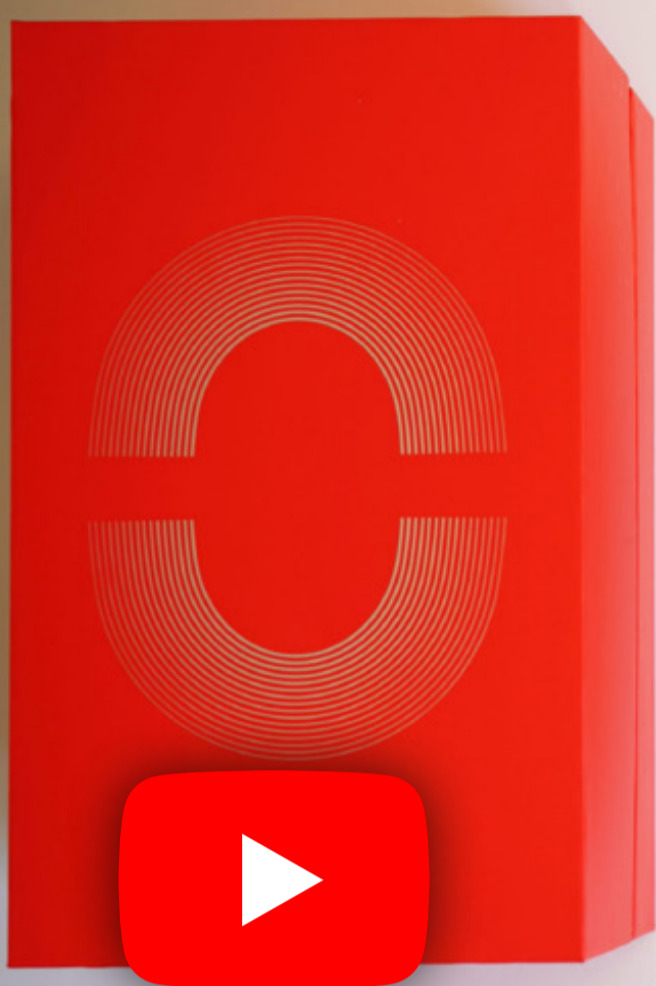
Minusy:

- brak etui w komplecie

Cena: 989 PLN

Dostępne w [Stethome.com](https://stethome.com)





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

Oclean X Ultra S

X Ultra S to high-endowa propozycja do mycia zębów od Ocleana.





Wyposażono ją w silnik Maglev 3.0, który ma wysoką moc, co z kolei bezpośrednio wpływa na skuteczność mycia naszych zębów. Interaktywny wyświetlacz oraz możliwość łączenia się z aplikacją na naszym smartfonie włącza możliwość korzystania z głosowego AI, które podpowiada nam, co i jak mamy robić. Sam ekran wyświetla też podsumowanie naszego szczotkowania, wskazując miejsca niedostatecznie umyte, a aplikacja przechowuje historię mycia. W komplecie mamy trzy końcówki oraz etui podróżne na USB-C z miejscem na dwie końcówki (idealne dla małżeństwa), a w pełni naładowana bateria wystarcza na 40 dni używania dwa razy dziennie na 3. poziomie mocy. Oficjalna cena wynosi 649 PLN, a **po unboxing i pierwsze wrażenia zapraszam na nasz kanał na YouTube.**





JAN URBANOWICZ
[@yasiek_](#)

RØDEcaster Duo + NT-1

Jako twórca podcastów wciąż szukam możliwości, by usprawnić moje nagrania i poprawić ich jakość. Pomimo tego, że na przestrzeni lat udało mi się uzyskać zadowolający mnie efekt, wciąż uważam, że jest przestrzeń do poprawy. Dlatego warto szukać nowych rozwiązań sprzętowych, które spełnią często wygórowane oczekiwania.





Nie będę ukrywał, że uwielbiam australijską firmę RØDE. Ich produkty mam u siebie niemal tak długo, jak korzystam ze sprzętu Apple, niektóre z nich są ze mną od ponad 10 lat. Można zauważyć, że od pewnego czasu firma zaczęła z każdym rokiem coraz bardziej rozbudowywać swoje portfolio produktowe, tworząc naprawdę świetnie działający ekosystem. Oczywiście ich produkty nadal doskonale działają ze sprzętem od innych producentów. Postanowiłem więc sprawdzić dwa produkty z gamy RØDE, które na pierwszy rzut oka nie są mi potrzebne, jednak chciałem się przekonać, czy aby na pewno.

Wypuszczając w 2018 roku RØDEcastera Pro, firma zrewolucjonizowała branżę podcastów. Sprzęt będący „zintegrowanym studio do produkcji podcastów” pojawił się nie tylko w małych studiach podcastowych na całym świecie, ale również w domach



podcasterów, youtuberów czy streamerów. Za relatywnie niską cenę oferował ogromne możliwości, a przede wszystkim łatwość obsługi, a co za tym idzie, samej produkcji. Wiele film poszło ich tropem i zaczęło produkować swoje sprzęty w tej kategorii.

Kilka lat później, w 2022 roku światło dzienne ujrzał RØDECaster Pro II – odświeżony nie tylko wizualnie, ale przede wszystkim sprzętowo, minimalizując wady, które posiadała pierwsza generacja. To naprawdę rewelacyjny sprzęt, który pewnie wielu podcasterom śni się po nocach. Jednocześnie jest to też prawdziwy kombajn roboczy, który nie każdemu jest potrzebny. Przykładowo, nie każda osoba nagrywająca swój podcast, potrzebuje 4 wejść XLR – wejść jest jeszcze więcej, bo możemy wpiąć mikrofony po USB czy Bluetooth. Właśnie dla takich osób, które chciałyby wykorzystać możliwości RØDECastera, ale jednocześnie chciałyby coś mniejszego, powstał RØDECaster Pro Duo. Jest to w zasadzie ten sam sprzęt w mniejszym opakowaniu, z dwoma wejściami combo Neutrik. Jednak nie dajmy się zwieść, ponieważ innych ograniczeń względem większego brata w zasadzie tu nie znajdziemy.

Z ważniejszych cech należy wymienić:

- przedwzmacniacze Revolution Preamps z bardzo niskim poziomem szumu i wysokim wzmacnieniem (-131,5 dBV EIN, 76 dB wzmacnienia),





- programowalne pady SMART do obsługi przelączalnych grup dźwięków i efektów,
- kolorowy, dotykowy ekran z wysoką rozdzielczością i sprzężeniem zwrotnym w postaci wibracji wywoływanych przez komendy użytkownika,
- obrotowy enkoder ułatwiający nawigację po interfejsie, przede wszystkim jednak dający możliwość precyzyjnej regulacji różnego rodzaju parametrów,
- moduł Bluetooth, dzięki któremu, połączymy się bezprzewodowo z naszym smartfonem w celu prowadzenia i nagrywania połączeń telefonicznych oraz przesyłania dźwięku z telefonu, na przykład muzyki,
- studyjnej jakości przetwarzanie dźwięku i wbudowane efekty, w tym APHEX® Aural Exciter™, Big Bottom™ i Compellor™, EQ, kompresja, pitch-shifter,
- profesjonalnie dostosowane preety kanałów i edytor przetwarzania VoxLab™, dla tych, którzy preferują szybką, bezproblemową konfigurację,
- nagrywanie w trybie wielościeżkowym lub stereo na kartę micro SD, nośnik USB lub bezpośrednio na komputer.

To oczywiście tylko część tego, co oferuje RØDEcaster.

Choć wcześniej byłem zaznajomiony z pierwszą generacją tego sprzętu, styczność z tym



egzemplarzem była dla mnie nieco przytłaczająca. To, jak bardzo usprawniono RØDEcaster, było dla mnie prawdziwym szokiem. Mnogość funkcji, konfiguracji i możliwości jest naprawdę zdumiewająca. Jednocześnie odnalezienie się w tym wszystkim nie jest specjalnie czasochłonne. Zarówno samo menu, jak i obsługa poszczególnych funkcji, jest raczej intuicyjna i można poradzić sobie bez instrukcji obsługi, której, jak wiemy, prawdziwy fan technologii nie używa.

RØDEcastera Duo możemy też połączyć z internetem – czy to za pośrednictwem Wi-Fi, czy za pomocą kabla. Jeśli mamy taką możliwość i sprzęt będzie nam służył przede wszystkim stacjonarnie, to według mnie zawsze lepiej wykorzystać kabel. Na tylnym panelu urządzenia znajdziemy kilka najróżniejszych wejść i wyjść – wspomniane już wcześniej combo Neutrik, słuchawkowe combo Jack, oferujące podłączenie zewnętrznych głośników (monitorów), gniazdo na kartę micro SD (możemy nagrywać bezpośrednio na nią, bez konieczności podłączania urządzenia do komputera) oraz dwa porty USB-C. Za pomocą tych ostatnich możemy podłączyć np. dwa komputery czy dodatkowe mikrofony – jak choćby RØDE Podmic USB, co





sprawdziłem i działa to naprawdę super, dając nam możliwość wykorzystania większej liczby mikrofonów, bez konieczności zmiany sprzętu na choćby pełnowymiarowego RODECastera Pro II. Warto wspomnieć, że oba wejścia USB-C posiadają włączaną i wyłączaną opcję Mix Minus, w domyśle zapobiegającą deformacji nagrań rozmów przez echo, które bez tej opcji mogłoby się wytworzyć.

Kiedy spojrzymy na front całego urządzenia – i dodatkowo przyciemnimy światło w pomieszczeniu – całość rozświetli nam się niczym świąteczna choinka. Ekran, pokrętła, pady, przyciski pod suwakami – wszystko to świeci kolorowymi światłami i tworzy naprawdę świetny klimat. Absolutnie nie mogę tego zaliczyć do wad, bo moim zdaniem jest to niezwykle urok tego urządzenia i sprawia, że chce się z nim obcować. Suwaki służą do ustawiania głośności podłączonych mikrofonów urządzeń i to dzięki nim sterujemy naszym nagraniem. Bezpośrednio pod suwakami znajdują się przyciski, które przenoszą nas do ustawień poszczególnych kanałów. Możemy wtedy ustawić parametry mikrofonów i zastosować do nich najróżniejsze wbudowane efekty. Wspomniałem na początku, że RØDE starannie tworzy ekosystem swoich produktów. Objawia się to między innymi poprzez wbudowane presetów ustawień dla swoich mikrofonów. Wystarczy, że wepniemy mikrofon, wybierzemy go z listy i już. Mamy tak

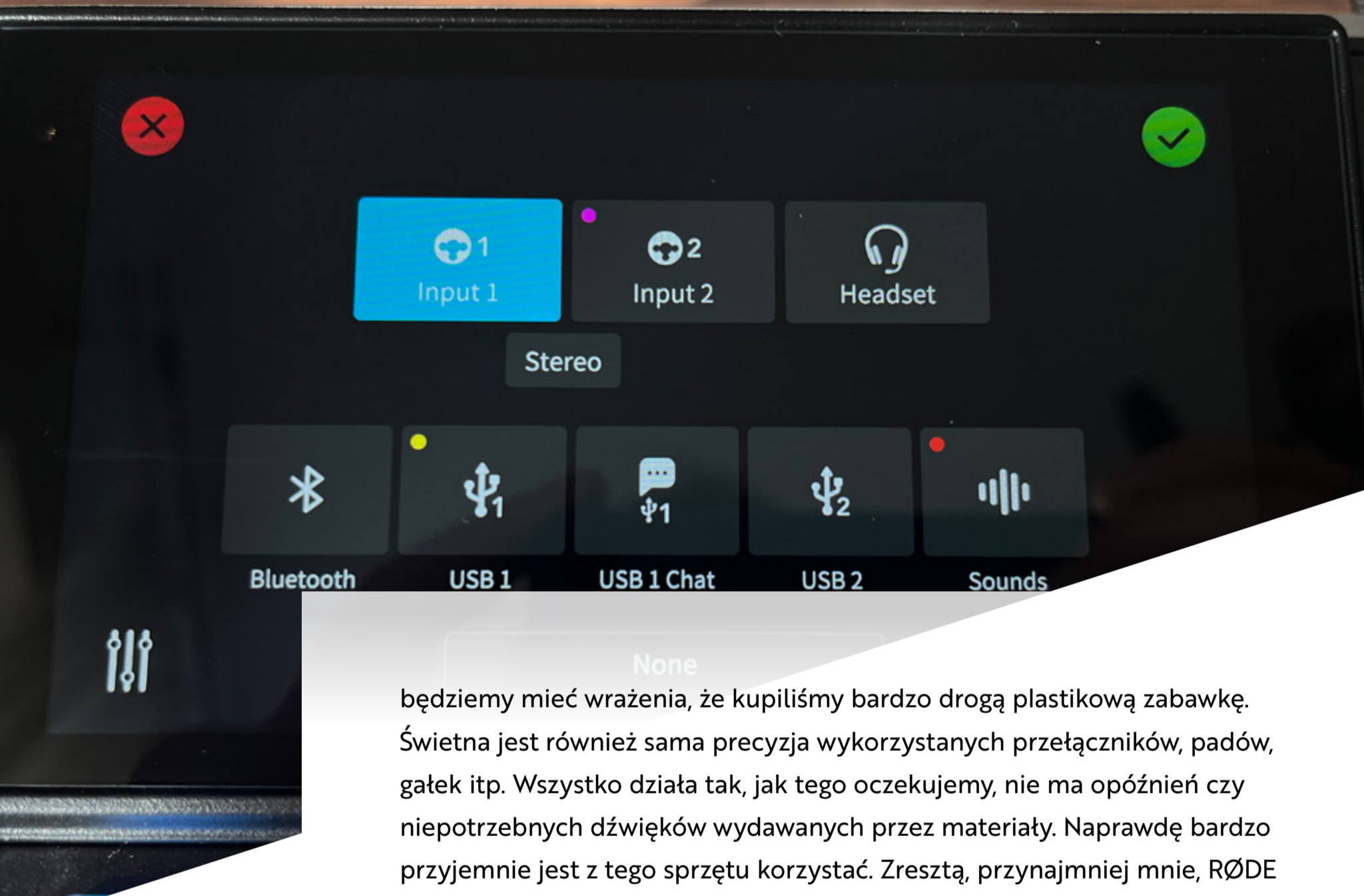


skonfigurowane poszczególne efekty, by nasz głos brzmiał możliwe jak najlepiej na danym mikrofonie. Oczywiście całość można zmienić i jeszcze bardziej pod siebie dostosować. Na dodatek w tych domyślnych ustawieniach nie znajdują się tylko mikrofony producenta. Znajdziemy tu między innymi również konfigurację dla jednego z najpopularniejszych mikrofonów branży radiowej i podcastowej, czyli Shure SM7b.

Bardzo ważnym elementem całego RØDEcastera są kolorowe pady, pod którymi możemy skonfigurować najprzeróżniejsze dźwięki. Muzykę, intro lub outro naszego podcastu, efekty dźwiękowe, zapętłona muzyka służąca jako tło. Możliwości są tu naprawdę ogromne i w zasadzie nie mamy żadnych ograniczeń.

Jakość wykonania samego urządzenia jest wzorowa. Zastosowane materiały nie pozostawiają właściwie nic do życzenia; nic nie trzeszczy, nie piszczy i nie sprawia wrażenia taniości. Nic dziwnego, samo urządzenie nie jest najtańsze i cieszy fakt, że po wydaniu ponad dwóch tysięcy złotych nie





będziemy mieć wrażenia, że kupiliśmy bardzo drogą plastikową zabawkę. Świetna jest również sama precyzja wykorzystanych przełączników, padów, galek itp. Wszystko działa tak, jak tego oczekujemy, nie ma opóźnień czy niepotrzebnych dźwięków wydawanych przez materiały. Naprawdę bardzo przyjemnie jest z tego sprzętu korzystać. Zresztą, przynajmniej mnie, RØDE przez lata zdążył przyzwycząć do wysokiej jakości swoich produktów.

Pomimo wielu plusów i moich ogólnych zachwytów, nie kupiłbym RØDEcastera Duo. Jednak spokojnie, to nie tak, że chwale, a tak naprawdę uważam zupełnie co innego. Celem mojego testu było sprawdzenie, czy jest przestrzeń na ten sprzęt w moim setupie do nagrań. Cóż, nie ma. Sam nagrywam moje podcasty zdalnie lub w różnych lokalizacjach. Nie mam jednego studia, do którego zapraszam gości. W domu, kiedy tylko ja mówię do mikrofonu, korzystam z Podmicka USB, który właśnie po USB-C jest wpięty do komputera. Poza domem potrzebuję rekordera z dwoma wejściami XLR i to tyle. Co więcej, z racji zabierania ze sobą mikrofonów, statywów i kilku innych elementów całej układanki, zależy mi na minimalizowaniu wagi i zajmowanego miejsca całości. RØDEcaster Duo jest po prostu dla mnie wciąż za duży. Jednak jego gabaryt mógłbym sobie uzasadnić, jeśli wykorzystywałbym w pełni potencjał tego urządzenia. Wiem jednak, że nie byłbym w stanie tego robić – po prostu nie mam aż



takich potrzeb. A gdybym był nastolatkiem, a RØDEcaster Duo osobą, z którą miałbym się rozstać, powiedziałbym: „to nie ty, to ja”, tylko że tym razem byłaby to prawda. To naprawdę świetny sprzęt wart swojej ceny, ale mnie osobiście taki kombajn nie jest potrzebny. Jeśli jednak by się to w przyszłości miało zmienić, na pewno znalazłby się na czele mojej listy zakupowej.

Osobiście polecam ten sprzęt przede wszystkim osobom, które często nagrywają stacjonarnie dwie osoby (lub więcej np. po Bluetooth), potrzebują mieć pod ręką rozmaite dźwięki do wykorzystania podczas nagrania i które później nie chcą bawić się w montaż – poza osobnymi ścieżkami całość nagrywana jest również to jednego pliku, który możemy w łatwy sposób wyeksportować i wgrać już na naszą platformę podcastową. Na możliwościach tego urządzenia skorzystają również rozmaici streamerzy czy youtuberzy.

TO JEDNAK NIE KONIEC

Wraz z RØDEcasterem Duo postanowiłem przetestować mikrofon RØDE NT-1 5. generacji. Sam używam na co dzień mikrofonów australijskiej firmy – głównie Podmic i Podmic USB. Są to mikrofony dynamiczne, które zapewniają świetny stosunek jakości do ceny





i osobiście wolę znacznie bardziej te modele od szalenie popularnego Shure SM7b. Już kilka lat temu zdecydowałem się na mikrofony dynamiczne przede wszystkim z jednego powodu: nie zbierają one tak mocno dźwięków otoczenia, a ja nagrywam często w dość nieprzewidywalnych warunkach i nawet w moim domu nie mam idealnej akustyki. Przy mikrofonie pojemnościowym mogłoby się w nagraniu pojawić po prostu wiele niepożądanych dźwięków, których później musiałbym pozbywać się w postprodukcji. Ale nie zamykam się na takie mikrofony i chciałem sprawdzić, czy może jednak nie przesadzam za bardzo i miałbym przestrzeń na taki mikrofon w swoim setupie, kiedy nie nagrywam ani muzyki, ani śpiewu, do czego takie mikrofony sprawdzają się najlepiej. Postanowiłem więc sprawdzić RØDE NT-1 5. generacji. NT-1 to absolutna klasyka. Pierwsza generacja pojawiła się na rynku ponad 30 lat temu i każda kolejna odświeżała ten sprzęt oraz umacniała jego pozycję jako jednego z najczęściej wybieranych studyjnych mikrofonów. 5. generacja przenosi to wszystko na jeszcze wyższy poziom, dając przy tym szersze spektrum możliwości.

Nie będę specjalnie opisywał całego tego cuda, bo specyfikację każdy może znaleźć sobie na stronie producenta. Wspomnę jednak o dwóch rzeczach, które zrobiły na mnie wrażenie i potencjalnie skłaniają mnie ku zakupowi



tego NT-1 w przyszłości. To złącze Dual Connect oraz poziom szumu własnego. To pierwsze to możliwość podłączenia mikrofonu dość tradycyjnie, czyli za pomocą XLR do interfejsu audio lub rekordera oraz – tu nowość – poprzez USB-C, bezpośrednio do naszego komputera. Wydawać by się mogło, że to nic niezwykłego, wszak są już na rynku mikrofony oferujące taki podwójny sposób podłączenia. Tak, jednak zazwyczaj są to mikrofony dynamiczne, a nie pojemnościowe oraz nie mają one jednej rzeczy, którą ma nowy NT-1. Mianowicie, mikrofon od RØDE pozwala nagrywać nam dźwięk na komputer, z wykorzystaniem 32-bit Float. Dzięki temu możemy nagrać go w dużo większym zakresie głębi bitowej i mieć nad nim o wiele większą kontrolę w postprodukcji. W praktyce pozwala to również zniwe-

lować wszelkie przestery lub np. odrzucanie nagranego materiału przez to, że jest za cichy. Możemy do dowolnie ściszać, pogłaśniać itp., nie tworząc przy tym niepotrzebnych szumów lub wspomnianych przesterów. Oczywiście to duże uproszczenie, ale daje ogólny pogląd na jego wykorzystanie.

Zwłaszcza w połączeniu z drugą rewelacyjną cechą tego mikrofonu, czyli bardzo niskim szumem własnym na poziomie 4 dBA. Każdy, kto kiedykolwiek nagrywał coś na mikrofon, na pewno zauważył, że kiedy nic nie mówimy, sprzęt wytwarza swój własny poziom hałasu, czyli szum. Zazwyczaj nie jest on na wysokim poziomie i można go dość

łatwo wyeliminować w postprodukcji, jednak w przypadku zwiększenia siły sygnału lub podbicia podczas obróbki szum może być uciążliwy. Jednak nowy NT-1 jest cichy. Producent wspomina, że jest to najcichszy (cały czas mówimy tu o szumie własnym, a nie ogólnym poziomie głośności nagrania) mikrofon pojemnościowy. Nie jestem w stanie tego zweryfikować i stwierdzić, czy to faktycznie prawda, czy może po prostu marketing, ale na pewno jest to jeden z najcichszych, a już na pewno najcichszy, z jakich korzystałem. Miałem też okazję skorzystać z niego przy kilku nagraniach – zarówno u siebie w domu, jak i poza nim – i muszę przyznać, że się naprawdę dobrze sprawdził. Oczywiście nagrał mi więcej tła niż moje mikrofony dynamiczne, ale i tak było tego znacznie mniej, niż się spodziewałem.

Jeśli szukacie naprawdę wysokiej jakości mikrofonu studyjnego, a przy tym niekosztującego tysięcy złotych, to NT-1 jest świetnym rozwiązaniem.



RØDE NT-1

+ Plusy:

- wysoka jakość wykonania
- złącze Dual Connect (XLR + USB-C)
- obsługa 32-bit Float po USB-C
- niski szum własny na poziomie 4 dBA

- Minusy:

- brak fizycznej kontroli nad poziomem sygnału wejściowego
- brak odstępu bezpośrednio z urządzenia

Cena: około 1000 PLN

Więcej na...

RØDEcastere Duo

+ Plusy:

- jakość wykonania
- możliwość podłączenia różnych sprzętów za pomocą różnych interfejsów
- intuicyjny interfejs
- responsywny wyświetlacz wysokiej rozdzielczości
- wysokiej jakości przedwzmacniacze
- nagrywanie wielościeżkowe
- możliwość nagrania bezpośrednio na komputer lub kartę SD

- Minusy:

- mnogość funkcji, których wiele osób nie wykorzysta w pełni

Cena: około 2200 PLN

Więcej na...

Jedynie, do czego mógłbym się przyczepić, to funkcja podłączenia pod USB-C. Otóż nie ma w mikrofonie wyjścia słuchawkowego, by można było monitorować odsłuch, ani regulacji poziomu sygnału wejściowego. Nie jest to może jakieś wielkie utrudnienie, ale o wiele wygodniejsze byłoby panowanie nad tymi parametrami z mikrofonu niż oprogramowania komputera. Jestem jednak świadomy, że mogłoby to sprawić, że trzeba by nieco zmienić konstrukcję.

Jeśli szukacie naprawdę wysokiej jakości mikrofonu studyjnego, a przy tym niekosztującego tysięcy złotych, to NT-a jest świetnym rozwiązaniem. A jeżeli wiecie, że nie będziecie potrzebować złącza USB-C, to RØDE wprowadziło na rynek również model NT1 Signature Series, który dostępny jest w pięciu różnych kolorach.





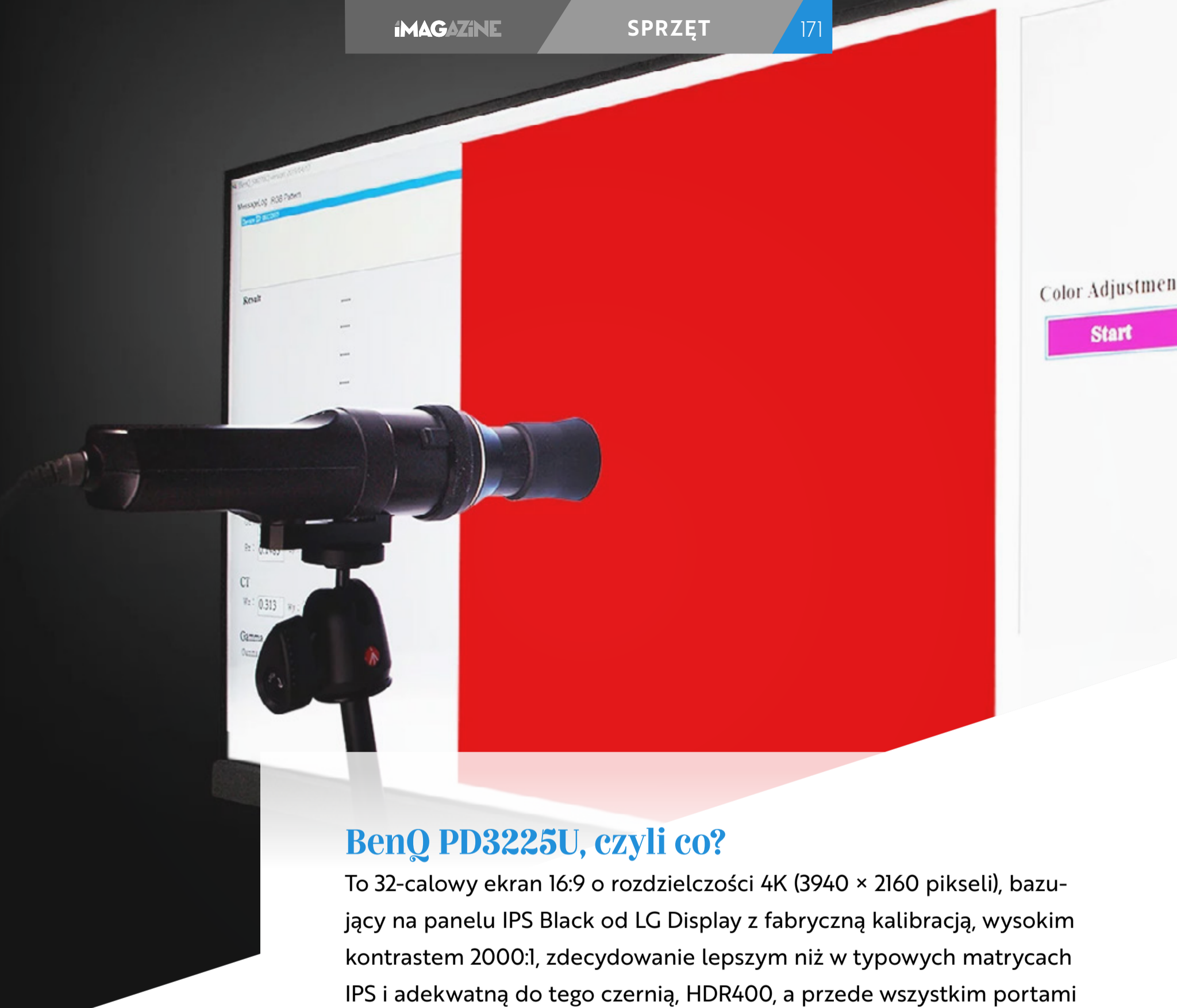
PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

BenQ PD3225U

– monitor dla macusera

Ekosystem Apple to nie tylko produkty z logo nadgryzionego jabłka, ale też produkty firm trzecich stworzone z myślą o użytkownikach komputerów, tabletów czy telefonów zaprojektowanych w Cupertino. Wśród nowych akcesoriów i peryferiów pojawił się [BenQ PD3225U](#) – 32-calowy kolos 4K, który ma [ułatwić pracę wymagającym użytkownikom komputerów Mac](#).





BenQ PD3225U, czyli co?

To 32-calowy ekran 16:9 o rozdzielczości 4K (3940 × 2160 pikseli), bazujący na panelu IPS Black od LG Display z fabryczną kalibracją, wysokim kontrastem 2000:1, zdecydowanie lepszym niż w typowych matrycach IPS i adekwatną do tego czernią, HDR400, a przede wszystkim portami Thunderbolt. Względem swojego poprzednika PD3220U różni się właśnie wyższą jasnością, lepszą czernią, wyższym kontrastem, jeszcze lepszym pokryciem kolorów (98% P3), a także głośnikami lepszej jakości.

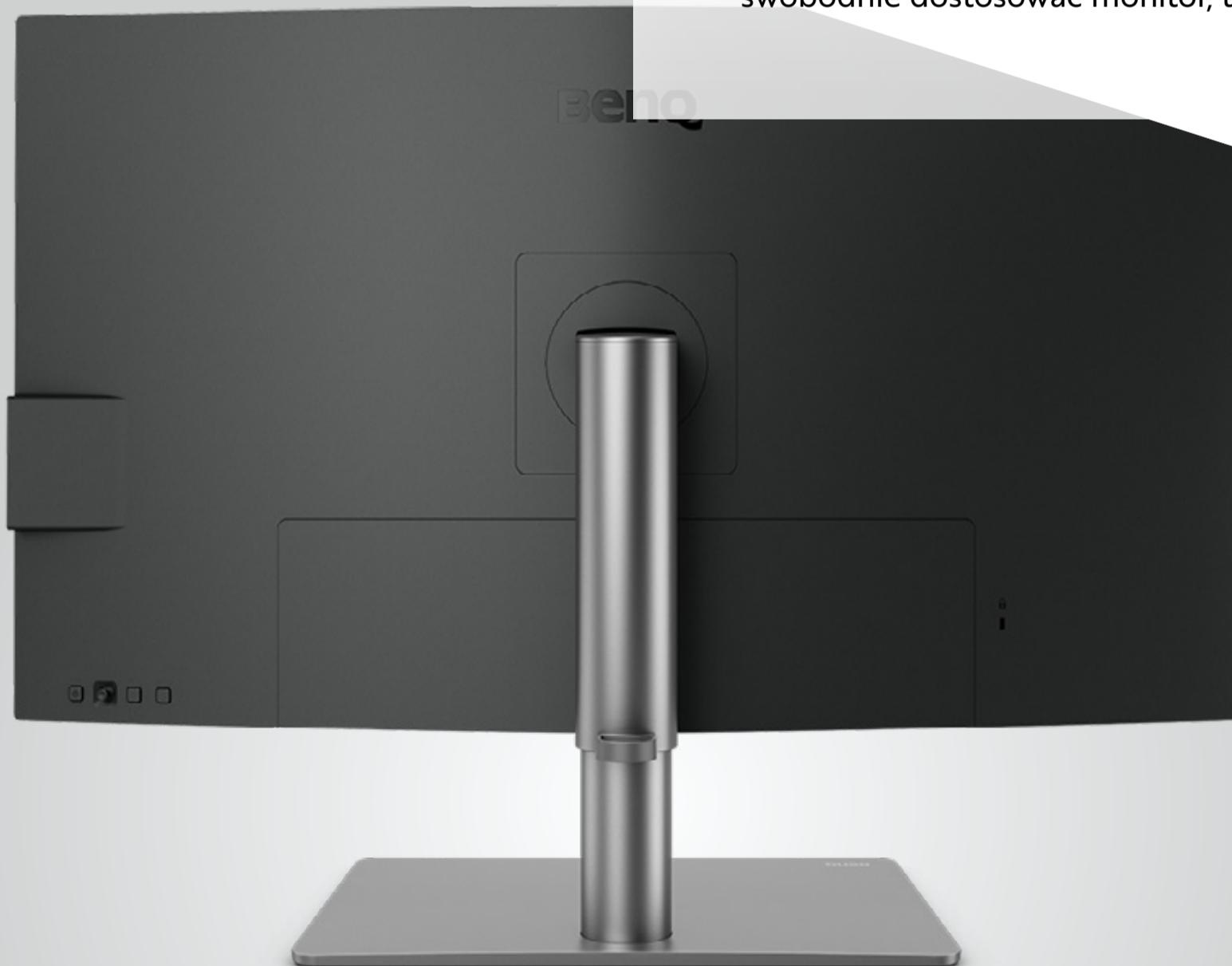
W monitorach BenQ przeznaczonych do komputerów Mac uwielbiam dostępność trybu M-Book Mode. To rozwiązanie sprawia, że odwzorowanie kolorów, jest niezwykle zbliżone do tego z MacBooków z wyświetlaczem Retina. To sprawia, że po podłączeniu na przykład takiego 13-calowego MacBooka Air mamy obok siebie 13- i 32-calowy ekran, które mają niemal identyczne kolory, co sprawia, że praca jest bardzo przyjemna. Oczywiście z powodzeniem można korzystać z dwóch ekranów jednocześnie. Ponadto monitor ma też inne tryby pracy, do których możemy się szybko dostać za pomocą kontrolera.





HotKey Puck G2 znałem już z innych monitorów BenQ i właśnie ten zewnętrzny kontroler to też ciekawa, unikatowa funkcja w monitorach BenQ. Zamiast sięgać gdzieś na skraj monitora, przydatne funkcje mamy zawsze pod ręką. Docenią to szczególnie osoby pracujące z grafiką i zmuszone do zmiany przestrzeni barwnej.

Na uwagę w **BenQ PD3225U** zasługuje ergonomiczna, solidna podstawa, która jest łatwa w montażu, a zarazem wygodna w codziennym użytkowaniu i swobodnym przekręcaniu monitora, pochylaniu go, podnoszeniu. Jest on niezwykle elastyczny, łącznie z opcją pracy w wariacie horyzontalnym. Możemy swobodnie dostosować monitor, tak





aby pracowało nam się jak najbardziej komfortowo.

Monitor wyposażono w 85 W złącze Thunderbolt, z opcją transferu danych do 40 Gbps, pozwala podłączyć także drugi monitor w ramach „łańcucha”. Na pokładzie są też 2 porty HDMI, 1 port Display Port oraz hub USB. Dla mnie bardzo miłym dodatkiem są porty USB, w tym USB-C na bocznej krawędzi, niezależnie od złącz pod maskownicą, co zdecydowanie poprawia codzienne użytkowanie.

Moje wrażenia z PD3225U

Od półtora roku użytkuję BenQ PD2725U, czyli właściwie mniejszego brata tego monitora. W momencie testów PD3225U dostrzegłem między urządzeniami dwie istotne zmiany – rozmiar oraz właśnie hub USB z boku. Stylistycznie



i funkcjonalnie monitory są zbliżone do siebie. Zdecydowanie warto zwrócić na to uwagę, szczególnie tam, gdzie pracujemy z kolorami. A to nie jest tylko ta stricte branża kreatywna, filmowa, graficzna... W przypadku moim czy mojej żony to praca chociażby nad katalogiem do wydruku czy zdjęć produktowych. To bardzo ważne, by zanim oferta produktowa ujrzy światło dzienne w sieci, była wiarygodnie przedstawiona względem kolorów w rzeczywistości. Dlatego uważam, że jeśli nie siedzi się tylko w Excelu, warto inwestować w lepsze monitory, a te stworzone do pracy mają inną charakterystykę, niż te stworzone do gamingu. BenQ PD3225U to projektor stworzony na potrzeby wymagającego użytkownika sprzętu Apple, który nie chce kupować monitora Apple (zwłaszcza że chociażby studio Display ogranicza się do 27"). Tu mamy 32-calowy ekran ze świetnie odwzorowanymi kolorami, wstępnie skalibrowany i jeszcze z ergonomiczną, funkcjonalną podstawą w zestawie.





PAWEŁ OKOPIEŃ
[@paweloko](#)

Thule Subterra 2

– kolejna generacja praktycznych plecaków

Choć pierwsze dłuższe wojaże jeszcze przed plecakiem Thule Subterra 2, który właśnie testuję, to już na starcie mogę to powiedzieć – Thule znów to zrobiło! Wprowadza komfort podróżowania na nowy poziom.





Subterra 2 to nowoczesny, praktyczny, a zarazem bardzo wysublimowany plecak. Plecak, który posłuży latami. Od lat mam słabość do produktów Thule – wiem, że nie należą do najtańszych, za to nigdy się nie zawiodłem, a nawet jeśli miałem problem, to serwis dał radę. Przez lata użytkowałem boksy dachowe, wózki dziecięce, foteliki rowerowe, liczne akcesoria, walizki i plecaki. Z plecaków jestem szczególnie zadowolony, ponieważ od dobrej dekady towarzyszą mi w niemal każdej podróży lotniczej i nie tylko.

Wśród plecaków szczególne uznanie mam dla mojego od 7 lat głównego plecaka, jakim jest Subterra. Recenzowałem go zresztą na łamach iMagazine właśnie te 7 lat temu. Cenię go za praktyczność, świetny schowek na okulary, wygodne przegródki na wszelkie przewody i fakt, że jestem się w niego spakować



na 2–3-dniowy wyjazd, także „służbowy”, z koszulami itd. i jeszcze w drodze powrotnej wpakować do środka jakiś souvenir dla córki.

Teraz pojawiła się nowa generacja – Subterra 2. I właśnie sprawdzam możliwości wersji 26 l w kolorze Dark Slate. Konstrukcja jest odmienna od modelu, który użytkuję od 7 lat, za to funkcjonalność moim zdaniem wznosi się tu na wyżyny. Po prostu plecak jest niezwykle dobrze przemyślany i praktyczny.

Gdy wyjąłem go z kartonu, od razu pierwsze zdziwienie – ale tu u góry nie ma żadnej kieszonki... Jaka szkoda, przecież to idealne miejsce na okulary przeciwsłoneczne, airpodsy i powerbank. Ale zaraz, moment, po bokach są znacznie większe i dobrze wyposażone kieszenie. W jednej z nich idealnie można skryć airtaga lub inny lokalizator (akurat w Action upolowałem alternatywne, współpracujące z FindMy, za 24,99 PLN). Na uwagę zasługuje przede wszystkim projekt głównej komory, która jest bardzo pojemna i istnieje opcja jej szerokiego otworzenia. To jest bardzo cenne właśnie wtedy, gdy plecak chcemy wypełnić ciuchami i traktujemy go jako bagaż na wyjazd weekendowy czy „w delegację”. I choć nie załapie się na mały plecak w tanich liniach lotniczych, to jako jedyny bagaż podręczny na te 2–3 dni spokojnie da radę, także jako główny plecak





podczas większej podróży z bagażem rejestrowanym, aby w nim zmieścić wszystkie istotne rzeczy na dłuższy lot.

Znajdziemy w nim wyjmowany, ale jednocześnie odpowiednio wpinany pokrowiec kompresyjny. On, po pierwsze, ułatwia nam ulokować ubrania w plecaku, sprawia też, że łatwo je odseparować. To rozwiązanie coraz szerzej stosowane w plecakach i zdecydowanie dobre, choćby po to, by wyjmując iPada, nie wyciągnąć przy okazji skarpetek... Takie łatwe odseparowanie ułatwia pakowanie, ale też użytkowanie poszczególnych rzeczy z naszego plecaka w trakcie podróży. Osobiście bardzo to doceniam, zwłaszcza przy długich międzykontynentalnych lotach i przesiadkach. Dobrze jest mieć szybki dostęp zarówno do naszych urządzeń elektrycznych, jak i szczoteczki do zębów czy T-shirtu na przebranie.

Plecak domyślnie przedstawiany jest jako 26 l, ale jest w stanie powiększyć się o 6 l. Naprawdę jest bardzo pojemny. Sam w sobie nie jest lekki, bo waży 1,3 kg. Ale to przekłada się właśnie na te wypełnienia, odpowiednie kieszenie, a także samą jakość wykończenia. Jest solidny już na pierwszy rzut oka i dotyk. Szwedzka firma potwierdza to certyfikatem bluesign, natomiast ja mogę to potwierdzić doświadczeniem użytkowania plecaków



Thule w minionych latach. Moja Subterra pierwszej generacji po licznych wozach dalej wygląda, jakby dopiero co miała odciętą metkę.

Subtelność estetyki Thule Subterra 2 to kolejny argument za tym plecakiem. Zdecydowanie jest to produkt premium w stylu, który lubię. Jest solidny, minimalistyczny i nie rzuca się w oczy. Nie ma tu epatowania żadnymi logotypami, gadżetami, kolorystyka jest stonowana, elegancka. Na tyle, że założenie go na koszulę nie będzie problem (choć może nie będziemy bardzo glamour), a na wyjazd weekendowy na luzie też będzie pasować. Producent oferuje trzy warianty kolorystyczne do wyboru i wszystkie są właśnie tak subtelne.

Solidność, estetyka, praktyczność idą w parze z ceną. Orientacyjna cena plecaka to 859 PLN. Zdecydowanie nie jest to niska cena. Zwłaszcza w czasach mody ekspresowej i platform zakupowych z Państwa Środka. No i plecaki można znaleźć na każdym rogu. Natomiast inwestycja w Thule Subterra 2 to zakup pewnego plecaka na lata. Mnie nowa generacja zaskoczyła, przekonała swoim stylem i funkcjonalnością.





PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Nowe telewizory Sony BRAVIA – jest na co czekać

Nie 5, nie 10, a raptem 3 nowe modele telewizorów wprowadza w tym roku Sony do swojej oferty. Przywitajcie się z Sony BRAVIA 7, Sony BRAVIA 8, Sony BRAVIA 9. Właśnie takie telewizory w najbliższych tygodniach trafią na sklepowe półki. I każdy ceniący sobie wysoką jakość obrazu, taką rodem z Hollywood, wybierze z tych modeli coś do swojego salonu. Czas na pierwsze wrażenia i garść informacji o nowych modelach.





Sony kazało nam czekać aż do kwietnia na odstąpienie kart z tegoroczną gamą modelową, gdy zwykle producent robił to w pierwszych dniach stycznia. Oplątało się, gdyż idzie nowe, a zarazem zostaje stare. Producent zachowuje się odpowiedzialnie biznesowo i ekologicznie, zamiast mnożyć byty, postanowił pozostawić w sprzedaży niższe serie telewizorów oraz przygotowany z niezwykłą starannością oszałamiający model QD-OLED A95L z ubiegłego roku. W sklepach jeszcze co najmniej do wiosny 2025 roku będziemy więc mieli opcję zakupu wspomnianego QD-OLED-a, a także X90L, X85L, X80L oraz X75WL. Za to mamy 3 nowe modele z półki średniej-wyższej w tym jednego nowego flagowca w świecie ekranów LCD.

Nowe telewizory nie opatrzone zawiłą i skomplikowaną nomenklaturą, występują też tylko w najpopularniejszych i najbardziej atrakcyjnych rozmiarach. Oto jak pokrótce prezentują się poszczególne modele.

Sony BRAVIA 7 – to model oczko wyżej od X90L, a jednocześnie teoretycznie niżej plasowany niż zeszłoroczny X95L. Taki model klasy

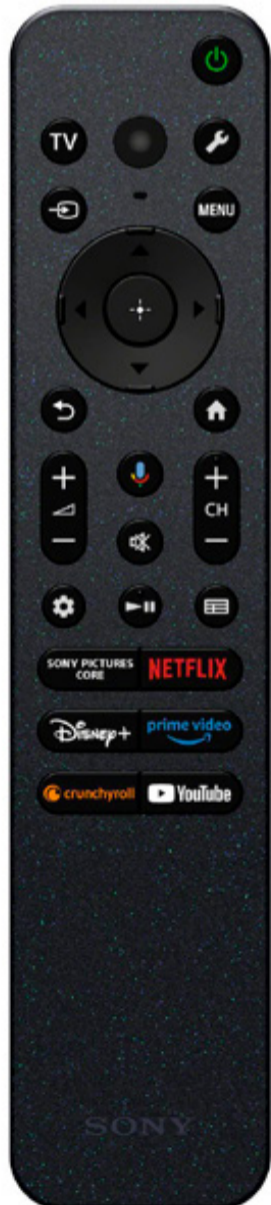




średniej-wyższej, za to z wielostrefowym podświetlaniem z wykorzystaniem mini LED! To ważne i myślę, że telewizor ma spory potencjał na hit, jeśli chodzi o cenę/jakość przy założeniu, że mówimy o cenie za sprzęt z logo Sony. Telewizor ten dostępny będzie w rozmiarach – 65", 75" i 85".

Sony BRAVIA 8 – to ekran OLED, właściwie WOLED oparty więc o matrycę od LG Display. Telewizor będący następcą telewizorów OLED klasy 8, jak A80L z roku ubiegłego. Model dostępny będzie w wersjach 55, 65 i 77 cali. Telewizor dla tych, którzy cenią sobie OLED-ową czerń i doceniają wierność obrazu oferowaną przez Sony i procesor XR.





Sony BRAVIA 9 – nowy potentat w świecie ekranów mini LED. Telewizor dostępny wyłącznie w dużych rozmiarach – 75 i 85 cali. Oferujący więcej stref podświetlania od X95L, a także wyższą jasność. Przede wszystkim wyposażony w autorski system sterowania podświetlaniem małymi diodami. To także specjalna powłoka antyrefleksyjna oraz technologia poprawiająca kąty widzenia (co w przypadku ekranów z matrycą VA bywa najbardziej uciążliwe). W efekcie telewizor ten powinien oferować naprawdę wysokiej jakości obraz w dużym rozmiarze.

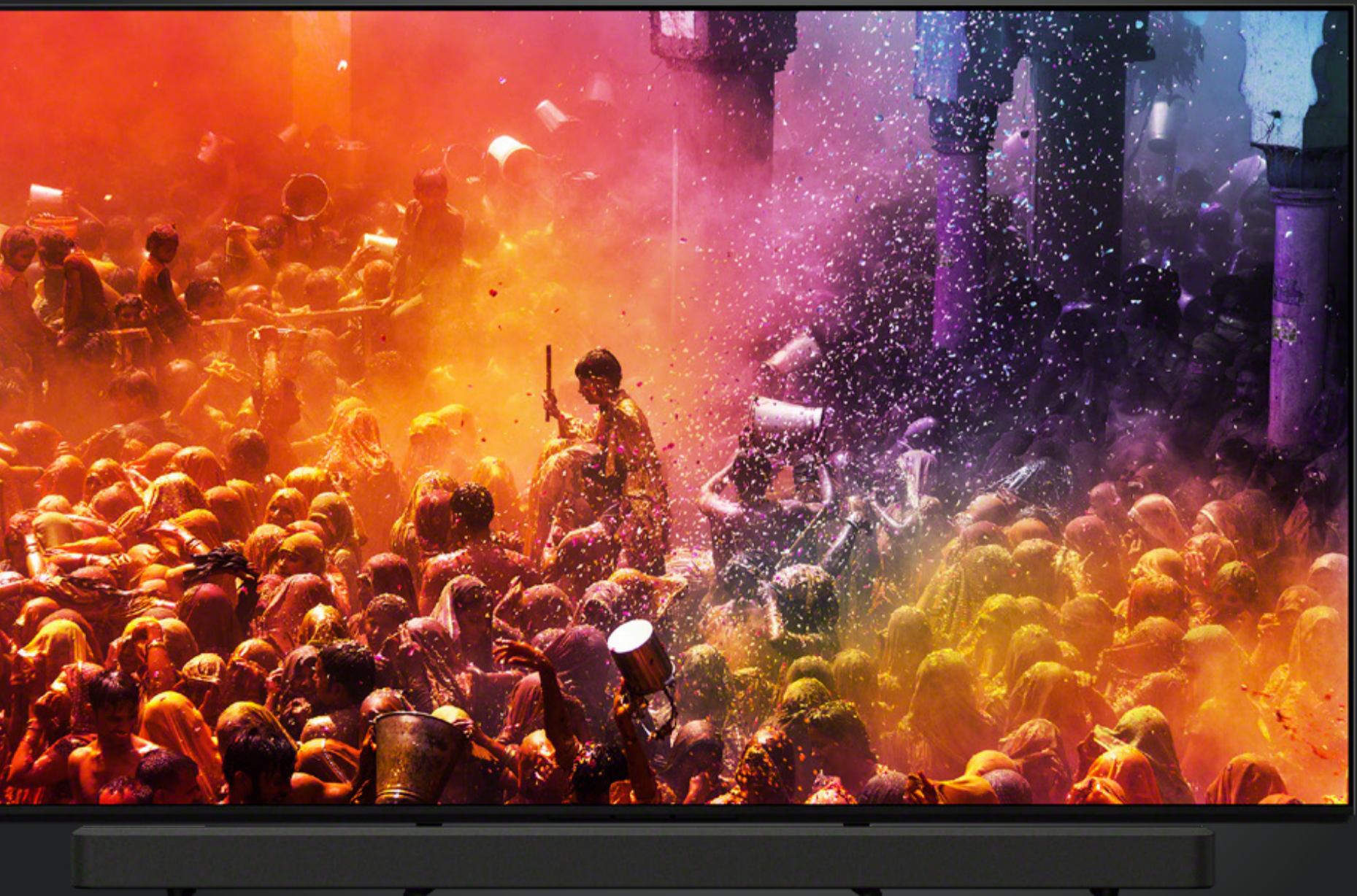
Nowe modele to procesor XR, specjalne tryby wstępnie skalibrowanego obrazu dla wybranych usług streamingowych (Netflix, Prime Video, Sony Pictures Core), specjalne menu zarządzania energią z podglądem na jej zużycie, udoskonalony panel gracza. Urządzenia działać będą pod kontrolą systemu Google TV. Na ten moment nie znamy ich orientacyjnych cen.

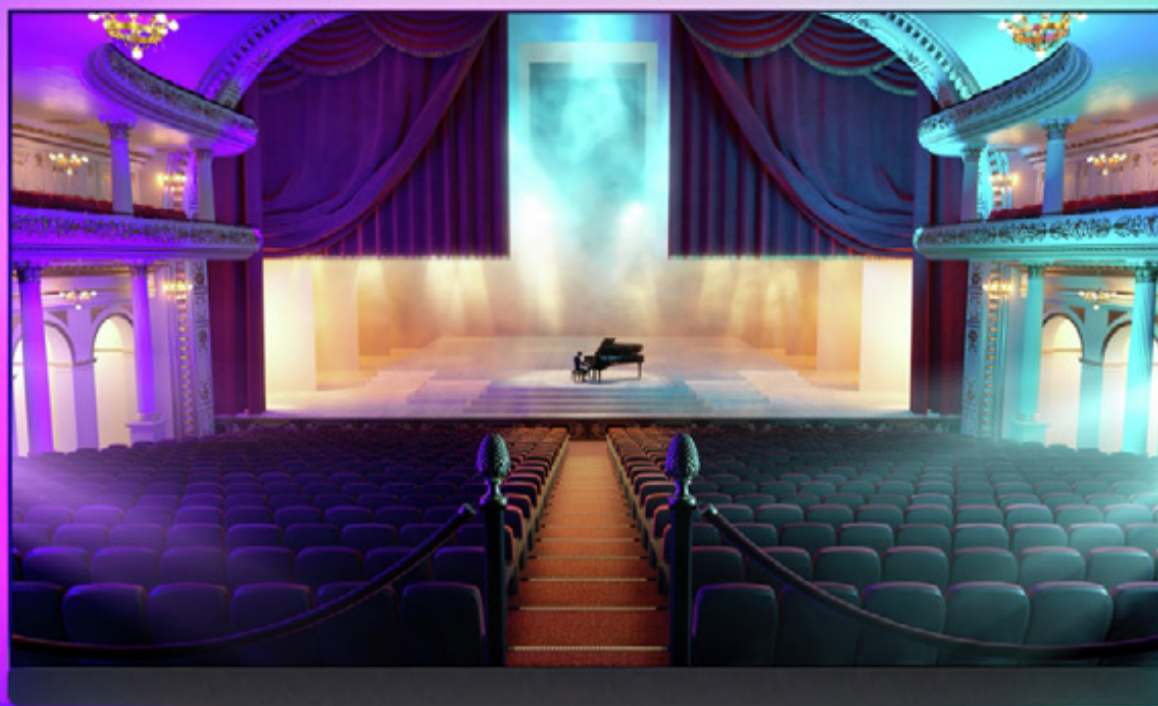
Z telewizorami miałem okazję zapoznać się przez kilka chwil. Obejrzałem parę materiałów demo i zwróciłem uwagę na wygląd zewnętrzny telewizorów. Króluje tu minimalizm i funkcjonalność. Każdy z modeli dostarczany jest z podświetlanym pilotem, można też dopasować położenie



podstawy wedle swoich preferencji. A ogólne wrażenia, szczególnie jeśli chodzi o czerń, jasność i kolory w modelu BRAVIA 9, są wyśmienite. Szykuje się „kawał” telewizora. Jak te ekrany wypadną w praktyce, przekonamy się po testach. Może nie brałbym ich w ciemno, ale mam przeczucie, że będą to bardzo udane telewizory. Kwestią jest ich pozycjonowanie cenowe, choć Sony raczej oferuje telewizory po cenach wyższych od konkurencji, ale daje też w zamian nie tylko swój logotyp.

Uzupełnieniem gamy telewizorów Sony 2024 będą dwa soundbary – BRAVIA Theater 8 i 9, system audio oparty na 4 głośnikach bezprzewodowych BRAVIA Theater Quattro oraz naramienny system dźwięku przestrzennego BRAVIA Theater U, będący następcą podobnych rozwiązań Sony z przeszłości.





PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Philips TV i sportowe emocje? Odkryj najlepsze doświadczenia

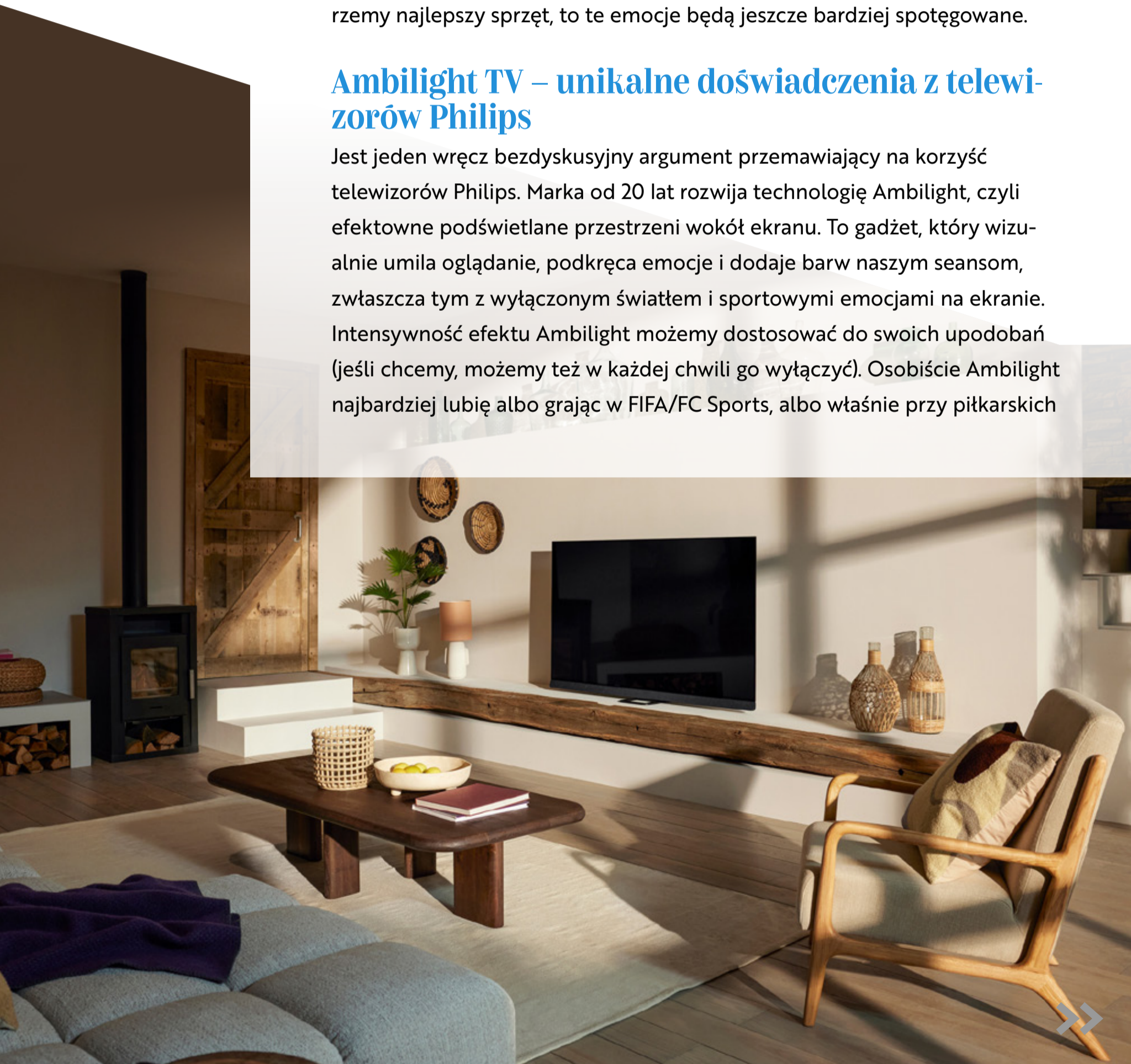
TPV, telewizory Philips, a właściwie telewizory Ambilight TV od tego producenta, promowane są na rękawach strojów piłkarskich FC Barcelona, ambasadorem marki jest też Robert Lewandowski. To zobowiązuje, aby wyświetlacze z logo Philips dostarczały najlepsze sportowe doświadczenia. Podpowiadam, na co zwrócić uwagę, szukając telewizora do oglądania sportu i które modele z oferty Philips będą do tego najlepsze!

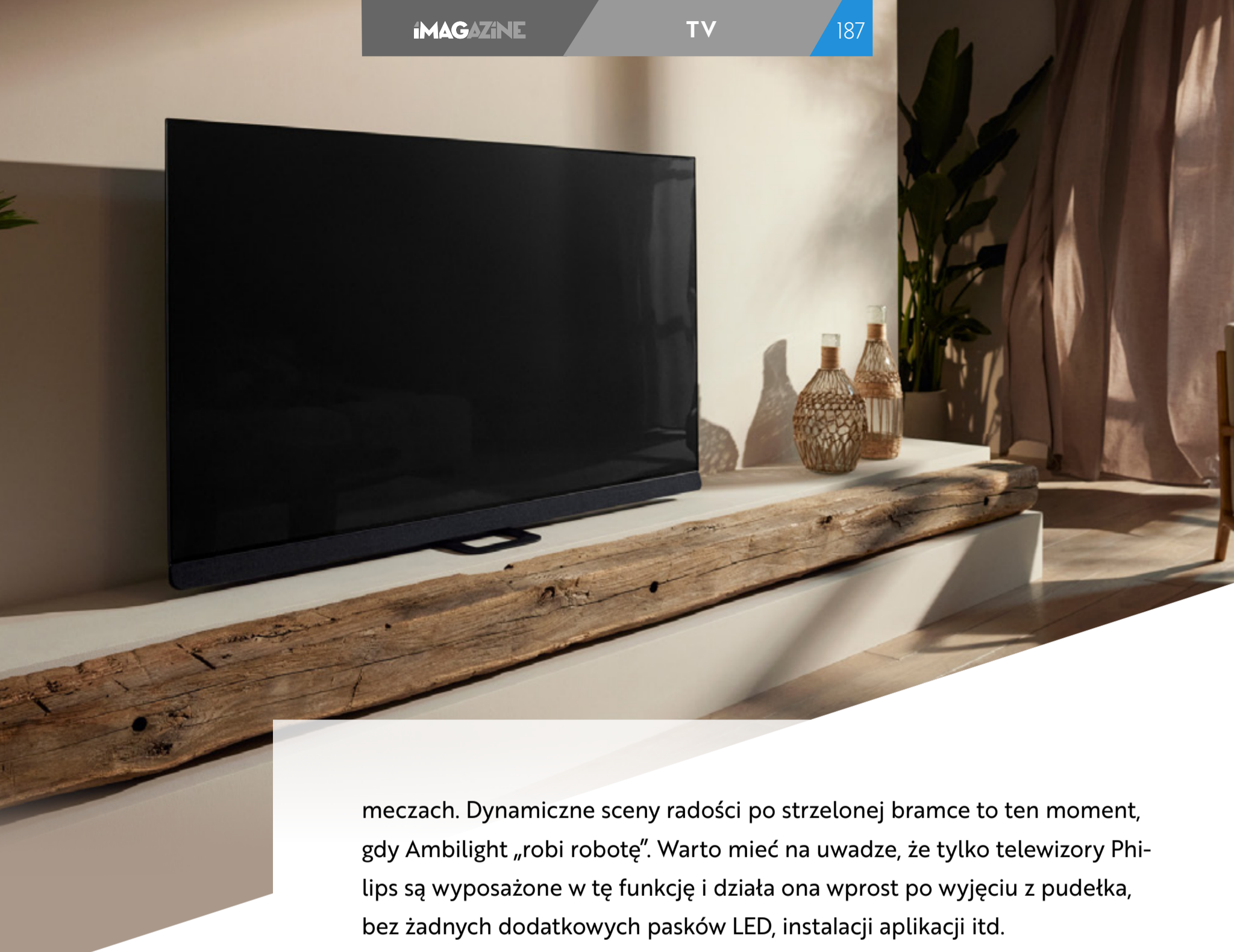


Rok 2024 to wielkie sportowe emocje. Obok piłkarskich mistrzostw kontynentu mamy też igrzyska, a wcześniej czeka nas bój o najwyższe trofea w piłce klubowej. Generalnie każdy, kto żyje sportem, wie, że dużych wydarzeń nigdy dość i przez cały rok jest co oglądać. Jak nie piłka nożna, to tenis, wyścigi kolarskie, siatkówka czy skoki narciarskie. Sport, obok oglądania filmów, seriali, telewizyjnych show oraz gamingu, jest jednym z kluczowych powodów, dla których sięgamy po pilota, dla których nabywamy telewizor. Jednocześnie ewolucja telewizorów, sposób realizacji widowisk sportowych sprawił, że współczesne telewizory dostarczają dużo emocji, a jeśli wybierzemy najlepszy sprzęt, to te emocje będą jeszcze bardziej spotęgowane.

Ambilight TV – unikalne doświadczenia z telewizorów Philips

Jest jeden wręcz bezdyskusyjny argument przemawiający na korzyść telewizorów Philips. Marka od 20 lat rozwija technologię Ambilight, czyli efektowne podświetlane przestrzeni wokół ekranu. To gadżet, który wizualnie umila oglądanie, podkreśla emocje i dodaje barw naszym seansom, zwłaszcza tym z wyłączonym światłem i sportowymi emocjami na ekranie. Intensywność efektu Ambilight możemy dostosować do swoich upodobań (jeśli chcemy, możemy też w każdej chwili go wyłączyć). Osobiście Ambilight najbardziej lubię albo grając w FIFA/FC Sports, albo właśnie przy piłkarskich





meczach. Dynamiczne sceny radości po strzelonej bramce to ten moment, gdy Ambilight „robi robotę”. Warto mieć na uwadze, że tylko telewizory Philips są wyposażone w tę funkcję i działa ona wprost po wyjęciu z pudełka, bez żadnych dodatkowych pasków LED, instalacji aplikacji itd.

120 Hz matryca – sport to dynamika, twój telewizor musi umieć ją odwzorować

Zastanawiając się, jaki telewizor wybrać do sportu, powinniśmy zwrócić uwagę przede wszystkim na dwa parametry – wielkość obrazu oraz częstotliwość odświeżania matrycy. Obok tego dobrze jest też zwrócić na rodzaj matrycy (IPS – lepsze kąty widzenia, gorsza czerń i kontrast, VA – gorsze kąty widzenia, lepsza czerń i kontrast), a także technologię wyświetlania i podświetlania. Ekrany LCD to także telewizor mini LED z zaawansowanym podświetlaniem wielostrefowym, natomiast topową jakość obrazu otrzymamy w samoemisyjnych wyświetlaczach OLED. Parametrów jest dużo, warto pamiętać też chociażby o tym, że za matrycą i wyświetlanym obrazem stoi też procesor, który odpowiednio przetwarza obraz, wcześniej poddając go analizie, a nowe, topowe telewizory wykorzystują tu mechanizmy sztucznej inteligencji, tak jest m.in. w telewizorach Philips z najnowszą generacją procesora P5.



Wybierając telewizor do sportu, musimy jednak pamiętać o tym, aby miał on natywne wsparcie dla 120 Hz odświeżania. To właśnie możliwość generowania płynnego obrazu jest tak istotna, aby uniknąć smużenia i cieszyć się ostrym, szczegółowym obrazem w trakcie meczu, czy też nie mieć wątpliwości, gdzie upadła piłka na tenisowym korcie.

Duża przekątna = duże emocje

Kolejnym ważnym aspektem jest też sam rozmiar telewizora. W przypadku współczesnych ekranów zdecydowanie rozmiar ma znaczenie. Warto zadbać zarówno o odpowiednio duży wyświetlacz, jak i odpowiednią odległość pomiędzy kanapą a telewizorem. Siadajmy nie dalej niż 3 cm na każdy cal ekranu, aby móc w pełni cieszyć się z ultrawysokiej rozdzielczości, szerokiej palety barw i wszelkich innych niuansów współczesnego obrazu. Wydaje się, że dziś nawet w małym salonie 55-calowy telewizor to absolutne minimum. Dla większości z nas optymalnym rozwiązaniem będzie sięgnięcie po 65- lub 75/77-calowy ekran, posiadacze największych pomieszczeń powinni rozejrzeć się za jeszcze większym ekranem.

Najlepsze telewizory Philips do oglądania sportu

Gama telewizorów Philips jest niezwykle szeroka, zwłaszcza teraz, gdy w sprzedaży są zarówno modele z 2023 roku, jak i najnowsze generacje





wyświetlaczy, dopiero debiutujące. Właściwie dopiero w ostatnich dniach w sklepach pojawił się model PUS8919, będący kontynuacją kultowych już „wszystko mających” ekranów The One. To pozwala klientom sięgnąć zarówno po udane modele w atrakcyjnych cenach, jak i technologiczne nowinki, w zależności od preferencji i budżetu. My wskazujemy trzy telewizory, idealnie nadające się do oglądania sportu, wyróżniające się w świecie domowych ekranów.

The One 2024 – PUS8919

Wspomniany już wcześniej PUS8919 dostępny jest w rozmiarach od 43 do 75 cali, każdy więc znajdzie coś dla siebie. Tu otrzymujemy nie tylko 120 Hz, ale przy graniu możemy mieć nawet 144 Hz, Procesor P5 8. generacji, minimalistyczny design, trójstronny Ambilight i wsparcie dla wszystkich kluczowych formatów HDR. Ciekawostką jest to, że telewizor ten otrzymał zupełnie nowy system Titan OS – ten zapowiada się jako bardzo szybki i intuicyjny. Jeśli szukacie uniwersalnego telewizora, technologicznej „świeżynki” z 2024 roku, która pokaże „pazury” przy transmisjach sportowych, to PUS8919 będzie strzałem w dziesiątkę.

OLED 818

OLED 818 to połączenie dwóch właściwie najfajniejszych technologii aktualnie dostępnych w telewizorach – matrycy organicznej OLED i technologii



Ambilight. Rewelacyjna czerń i rewia kolorów nie tylko na ekranie, ale także za nim. Telewizor ten napędzany jest systemem Google TV, co pozwala cieszyć się dostępem do setek aplikacji, w tym wszystkich popularnych serwisów VOD. Jako że już za rogiem czeka jego następca, OLED 819, to OLED 818 można nabyć w świetnej cenie. Jeśli zależy wam na wyższej jasności i jeszcze bardziej zaawansowanemu procesorowi, to możecie poczekać na nową generację.

OLED 908

OLED 908 od Philips TV to gratka dla wszystkich, którzy chcą mieć w salonie minimalistyczne, pojedyncze urządzenie bez żadnych kompromisów. Na dole telewizora znajdziemy smukłe głośniki sygnowane przez Bowers & Wilkins. W efekcie mamy tu nie tylko doskonały obraz, ale też wysokiej klasy dźwięk. Tym samym nie musimy już myśleć o dodatkowym soundbarze czy innych urządzeniach audio. Takie połączenie daje nam estetykę oraz satysfakcję z użytkowania.

Jeśli w ostatnich latach nie wyposażyliście się w duży telewizor, oferujący wsparcie dla 4K z widocznym efektem HDR, to zbliżające się duże imprezy sportowe mogą być doskonałym pretekstem do zakupów.

Materiał powstał we współpracy z marką Philips TV & Sound





PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Hisense UXKQ 65” – nowy lider Państwa Środka

Tak dobrego chińskiego telewizora jeszcze nie było! Jest tu wszystko – jasność, świetny dźwięk, płynny system, jakość wykonania, doskonałe kolory, nawet Dolby Vision w grach. UXKQ 65 ma też to, co inne telewizory Hisense, czyli konkurencyjną cenę. Zdecydowanie jest się nad czym zastanawiać, szukając ekranu wysokiej klasy.



Hisense to producent, który buduje sobie dopiero pozycję na rynku polskim i europejskim. Marka dopiero zaczyna być rozpoznawalna. Dla mnie, z perspektywy testera, dziennikarza, bardzo istotne jest to, że obok działań marketingowych budowy marki wizerunkowo producent „dowodzi” obietnice w swoich urządzeniach. Po prostu jest to sprzęt, który nie tylko na papierze prezentuje się dobrze, ale też w rzeczywistości. Co jest szczególnie istotne, gdy chce się atakować półkę premium, a UXKQ zdecydowanie do niej należy.

Jakość obrazu

65-calowy UXKQ to mini LED, który jest w stanie wyświetlić na planszy testowej ponad 1500 nitów. W przypadku realnych treści, jak wykazały pomiary kolegów z HDTV Polska, ten wynik jest niższy, ale wciąż w sferze najbardziej topowych modeli na rynku. Cieszy, że algorytmy sterowania podświetlaniem w tym telewizorze zostały odpowiednio zestrojone i telewizor wypada tu naprawdę dobrze, lepiej od niższych serii. Mamy bardzo fajną czerń, ale też praktycznie doskonałe odwzorowanie kolorów. Może nie jest to idealny telewizor do oglądania zwykłych treści telewizyjnych, bo uspcaling u konkurencji wypada nieco lepiej. Natomiast jeśli korzystamy ze streamingu, z Apple TV, z odtwarzacza Blu-ray czy konsoli do gier, to będziemy oczarowani tym, co zobaczymy na



Obraz

Tryb obrazu
Standardowy



Proporcje obrazu

Auto



Smart Scene

Tryb gry

Wył.

ekranie. Jest to topowa jakość telewizyjna dla filmów, seriali, gamingu, ale też sportu, dzięki dobremu upłynniaczowi.

Jakość dźwięku

W Hisense UXKQ duże brawa należą się także za udźwiękowanie. Co prawda osobiście uważam, że przydałoby się, aby topowe telewizory były oferowane w dwóch wersjach, z głośnikami i bez dla tych, którzy korzystają z zewnętrznego audio i można by na tym oszczędzić. Ale UXKQ to właśnie propozycja dla tych, którzy chcą zapłacić raz i nie kupować żadnych innych urządzeń, soundbarów, po prostu cieszyć się dźwiękiem w standardzie 4.1.2! Jest tu niezły bas, są głośniki efektowe Atmos! Naprawdę wrażenie robi przestrzenność dźwięku Dolby Atmos, a nawet wsparcie dla DTS:X! W efekcie otrzymujemy sprzęt audiowizualnie kompletny.

System VIDAA

Bardzo ważnym elementem telewizora jest system VIDAA. Wyróżnik rynkowy producenta, autorska platforma. Szybki system Smart TV, bardzo intuicyjny, z pełnym wsparciem dla Apple AirPlay i HomeKit oraz szeroką bazą aplikacji. Na ten moment brakuje aplikacji HBO Max i Player. Ale myślę, że wraz ze startem serwisu Max powinno się to zmienić. Ta responsywność systemu VIDAA oraz to, jak łatwy jest w obsłudze także pod względem



zaawansowanych ustawień (które są dobrze opisane), to duży atut dla tego telewizora. Wydaje mi się, że VIDAA jest dobrym argumentem do zakupu wysokiej klasy telewizora także przez osoby nieco starsze, które chcą mieć nowoczesne funkcje, dobry obraz, a jeszcze przy okazji nie będą przepłacać.

Cena

UXKQ występuje w dwóch wersjach – 65 i 85 cali. To pokazuje właśnie, że mamy do czynienia z flagowym modelem w dwóch stosunkowo dużych rozmiarach. W momencie pisania tej recenzji model wyceniany jest na 8999 PLN za wariant 65-calowy. Choć zdarzały się już atrakcyjniejsze ceny i pewnie takich należy się niebawem spodziewać. Jednocześnie wciąż to co najmniej 1000 PLN taniej względem konkurencyjnych modeli.

Hisense UXKQ czy warto?

Hisense UXKQ to telewizor, który dostaje nasze oznaczenie „iMag Poleca”. Po testach, użytkowaniu tego modelu przez kilka dni śmiało mogę polecić ten telewizor i zachwycać się nim jako kompletnym, uniwersalnym sprzętem z wyższej półki. To kolos! I jeśli szukacie rozwiązania all-in-one z najwyższymi standardami dźwięku i obrazu, to UXKQ właśnie taki jest.





 argon[®]LAMPY

OŚWIETLENIE W TWOIM STYLU

TA I 1000 INNYCH LAMP KUPISZ NA SKLEP.ARGON-LAMPY.PL



WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

Audi S3 (i A3) to już baby-RS3

Miałem okazję spędzić trochę czasu za kierownicą najnowszych poliftowych wersji Audi S3 i A3. Jest sporo nowych zabawek, a S3 dzisiaj stało się, po raz pierwszy, takim baby RS3, które spełni marzenia wielu osób.





Design

Całkowicie inaczej wizualnie to auto prezentuje się na drodze, zarówno A3, jak i S3. Jest teraz szersze i niższe, pomimo że wymiary są niezmienione – taki efekt daje nowa stylistyka.

Kierowca ma do wyboru teraz cztery sygnatury świetlne, a wyboru dokonuje w MMI. Umieszczono je w górnej części reflektorów LED i LED Matrix, w trzech rzędach, w których znajdują się 24-pikselowe moduły. Funkcja powitalna/pożegnalna różni się zależnie od wybranej sygnatury, a tylne światła, również o nowym designie, też wykonują nowy „taniec”.

Wykończenie wnętrza jest na pierwszy rzut oka takie samo, ale przy drugim spojrzeniu zauważymy, że wszystko jest ciut lepsze. A to podszybie jest teraz wykończone skórą z przeszyciami

Audi Przewaga dzięki



kontrastowymi, a to boczki drzwi mogą mieć laserowe nacięcia, które pięknie przepuszczają światło z pakietu Ambiente Pro. Sportowego charakteru dodaje też opcja wykończenia dekoracyjnych wstawek mikrofibrą Dinamica zamiast aluminium czy włóknem węglowym.

Technologia

W temacie MMI zyskujemy nie tylko dostęp do sklepu z aplikacjami za sprawą oferty Connect, ale mamy oczywiście CarPlaya oraz Android Auto z opcją smartphone interface. O ile te ostatnie są często ulubieńcami właścicieli, to sklep pozwala na korzystanie z usług typu Spotify czy wielu innych bez konieczności posiadania przy sobie smartfona – to może być zaletą dla wielu rodzin.

Rzadko kiedy namawiam kogokolwiek na płacenie za dodatkowe systemy audio w samochodach, bo nie jest to zazwyczaj optymalne miejsce do słuchania muzyki, a lepsze efekty uzyskamy, kupując sobie naprawdę dobre słuchawki, ale rozważcie na poważnie system audio 3D Sonos, który nie kosztuje dużo, a oferuje spory wzrost względem Audio Soundsystem.







Silnik, napęd i nowy tryb jazdy

S3 ma teraz 333 KM, 420 Nm i rozpędza się do setki w 4,7 s oficjalnie. Pomyśleć, że jeszcze niedawno to było terytorium zarezerwowane dla supersamochodów, potem dla drogich RS4 czy RS6, a dzisiaj wystarczy „zwykłe” S3.

Obok trybów Comfort, Efficiency, Dynamic auto teraz ma dodatkowy modyfikator. To poniekąd taki odpowiednik subtrybów RS w RS3. W każdym razie Dynamic plus uruchamia się poprzez włączenie trybu Dynamic, a dopiero tam w rogu ekranu znajdziemy przycisk do tej nowości. To całkowicie odmienna samochód i raczej nie będziecie chcieli z tego korzystać podczas normalnej jazdy. W Dynamic plus skrzynia biegów jeszcze szybciej zmienia biegi, turbosprężarka ma delikatnie podtrzymanie, dzięki czemu szybciej osiąga pełny boost, a obroty spoczynkowe silnika rosną do 1300 obr./min. Nie można też zapomnieć o przełączeniu ESP w tryb sportowy, który pozwala nam na więcej, w tym delikatne poślizgi tylnej osi. Chciałbym w przyszłości zobaczyć opcję sterowania trybami auta z kierownicy, podobnie jak robi to wielu innych producentów – Dynamic plus zasługuje na szybszy dostęp.

Najważniejszą nowością jest jednak Torque Splitter znany z RS3, który pozwala przenosić do 100% mocy dostarczanej na tylną oś na jedno z kół – lewe lub prawe, zależnie od potrzeb i trybu jazdy – za pomocą sprzęgieł



wielotarczowych na półosiach. Zachowanie Torque Splittera zmienia się bardzo mocno, ale w trybie Dynamic plus poczujecie je najwyraźniej, gdyż nadaje S3-ce lekko nadsterowny charakter.

Wisienką na torcie dla największych wariatów jest fabrycznie oferowany tytanowy (czyli bardzo lekki) układ wydechowy ze słynnym logo Akrapovič. To opcja kosztująca 21 tys. PLN, czyli jest całkiem przyzwoicie, patrząc, po ile takie układy chodzą, gdy chcemy je dokupić osobno do auta.

Na koniec

Do wyboru pozostaje wybór nadwozia – limuzyny lub hatchbacka. Ja rozumiem, dlaczego wielu z was bierze to pierwsze, ale to drugie jest tak dużo bardziej praktyczne, jeśli chodzi o możliwości załadunku i wykorzystania przestrzeni bagażowej, że wiecie już, co ja bym wybrał.

Wada? Tak, jest. Wzrost cen względem poprzednika. Przekroczenie bariery 300 tys. PLN tutaj nie jest żadnym problemem...

Jeszcze więcej w temacie S3...

Zapraszam do obejrzenia i posłuchania pierwszych wrażeń na gorąco na filmie z naszego kanału YouTube.





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

BMW X2 i iX2

– pierwsze wrażenia

Do Słowenii wczesną wiosną udaliśmy się w celu znalezienia słońca i pięknych górskich tras, a skończyło się na deszczu i śniegu... co w sumie pozwoliło lepiej sprawdzić nowe BMW X2 oraz iX2 w ekstremalnych warunkach. Przy okazji wpadłem też za kierownicę nowego Mini Countrymana, wsiadłem do nowego elektrycznego Mini Coopera SE oraz pozazdrościłem elektrycznego skutera CE 02..., ale zaczniemy od początku.





BMW X2 i iX2

Druga generacja X2 (U10) wizualnie całkowicie różni się od poprzednika. Obłóci zostały zastąpione ostrymi cięciami w designie nadwozia. Jest potężny i szeroki nos, podświetlany na życzenie, agresywne zderzaki oraz opadający dach, który ma na celu przypominać coupé, co jest tak ostatnio popularne. Pod maską znajdziemy szeroki wybór jednostek napędowych, od diesla, przez benzynę, aż po elektryka.


Napęd

iX2 eDrive20 zaczyna przygodę z prądem od 204 KM z napędem na przód (przyspieszenie 0–100 km/h w 8,6 s) i baterią o pojemności 64,8 kWh netto, a radość z jazdy poprawia iX2 xDrive30 z napędem na wszystkie koła, 313 KM (przyspieszenie 0–100 km/h w 5,6 s) i takim samym akumulatorem, przyjmującym do 130 kW podczas ładowania (29 min od 10 do 80%).

Jeśli zdecydujemy się na napęd „dinozaurami”, to możemy skusić się na X2 sDrive20i ze 170 KM, napędem na przód oraz przyspieszeniem (0–100 km/h) na poziomie 8,3 s. Alternatywnie polecam 300-konny wariant M35i xDrive, który ma napęd na obie osie oraz 5,4 s od 0 do 100 km/h.

Dla fanów „traktorów” oraz pokonywania długich dystansów pozostaje sDrive18d, który ma 150 KM, napęd przedni i przyspiesza od 0 do 100 km/h






w 8,9 s. Model xDrive20d oferuje już napęd na wszystkie koła oraz 163 KM, co pozwala mu przyspieszyć od 0 do 100 km/h w 8,6 s.

Jeździłem dwoma z sześciu powyższych wariantów i była to mocniejsza odmiana iX2 z mocą 313 KM oraz benzynowy M35i z napędem na obie osie.

Z zewnątrz



Na pewno zwraca na siebie uwagę – tutaj nie ma wątpliwości. Poprzednik X2-ki był zdecydowanie łagodniejszy, więc zmiana jest w pierwszej chwili dramatyczna, szczególnie że nowy model urósł o 194 mm do 4554 mm długości całkowitej, szerokość wzrosła o 21 mm, do 1845 mm, a wysokość o 64 mm, do 1590 mm. Większy rozstaw osi oznacza oczywiście więcej miejsca dla pasażerów, więc tutaj nie będzie narzekań.





Nowy grill, o którym już wspominałem, można wyposażyć w Iconic Glow, aby dodatkowo świecił, a reflektory wymienić na adaptacyjne i matrycowe LED-y. Lakierów do wyboru nie ma wiele – są cztery szare, z czego dwa są matowe, mamy jeden wątpliwie zielony Cape York, wyrazisty Fire Red, czarny szafir i bardzo rzucający się w oczy niebieski Portimao w dwóch odmianach, zwykłej i matowej. Za mało! Gdzie prawdziwe „Skittlesy”, pytam się? Cztery końcówki układu wydechowego to już natomiast standard w M35i. Pozostaje jeszcze temat kół, gdzie wybór felg mamy od wariantów 19-calowych, poprzez 20-tki, aż po 21-ki. Te ostatnie robią oczywiście największe wrażenie, ale co ciekawe, to 20-tki mają możliwość zamówienia ogumienia „performance”. Nie zapomnijcie o pakiecie M Pro, który zamienia nam listwy i inne elementy na czarne i błyszczące (M Shadow Line) oraz czarne przednie lampy, tylny spojler M, a także poprawiony sportowy układ hamulcowy.

W środku

Muszę powiedzieć, że jakość wykonania wnętrza zdecydowanie poprawiła się w BMW – materiały są wyraźnie lepsze i całość sprawia teraz zdecydowanie lepsze wrażenie. Nie będzie jednak bez drobnych zastrzeżeń, żeby nie było, że nigdy nic nie krytykuję.







Po pierwsze, fotele w odmianie M35i są znakomite – spędziłem w nich długie godziny i nie czułem żadnego zmęczenia pleców. Akurat fotele BMW często nie są kompatybilne ze mną, więc to miłe zaskoczenie.

Po drugie, design ekranów jest teraz bardziej spójny – mamy jeden zakrzywiony panel przed kierowcą, który rozciąga się aż do środka deski rozdzielczej i w nim umieszczono dwa ekrany. Niestety, zabrakło pokręteł do obsługi systemów samochodu gdzieś w pobliżu naszych dłoni, więc jesteśmy zmuszeni do trzymania ręki uniesionej przed ekranem, co nie jest specjalnie wygodne ani ergonomiczne. BMW Operating System 9 jest też teraz... lepszy i gorszy równocześnie. Niektóre rzeczy znajdziemy łatwiej, a za innymi z kolei będziemy błądzili. Niestety, nie zapisałem sobie dokładnie, czego szukałem, ale finalnie zatrzymałem się, żeby nie powodować niebezpieczeństwa na drodze. Nie podoba mi się też fakt, że pomimo fizycznych przycisków na kierownicy zrezygnowano z funkcji regulacji odstępu w aktywnym tempomacie – tę funkcję przeniesiono do menu na środkowym ekranie, co uniemożliwia dynamiczną zmianę tej funkcji zależnie od sytuacji. Dla przykładu – w mieście zawsze mam dystans najkrótszy, ale w deszczu i na autostradzie zawsze wydłużam dystans zależnie od tego, co się dzieje na drodze, dla bezpieczeństwa wszystkich.





To nie jest skarga tylko pod adresem BMW – każdy producent jest obecnie tutaj winny, a systemy infotainment są zbyt skomplikowane dla osób, które znają się na technologii, a co mają powiedzieć osoby, które mają problem ze znalezieniem przeglądarki internetowej na swoim smartfonie? Podkreślę jeszcze istotę wyposażenia w specjalne fizyczne przyciski, które można obsługiwać bezwzrokowo – na szczęście większość z nich została zachowana przez inżynierów BMW. Oby tak dalej...

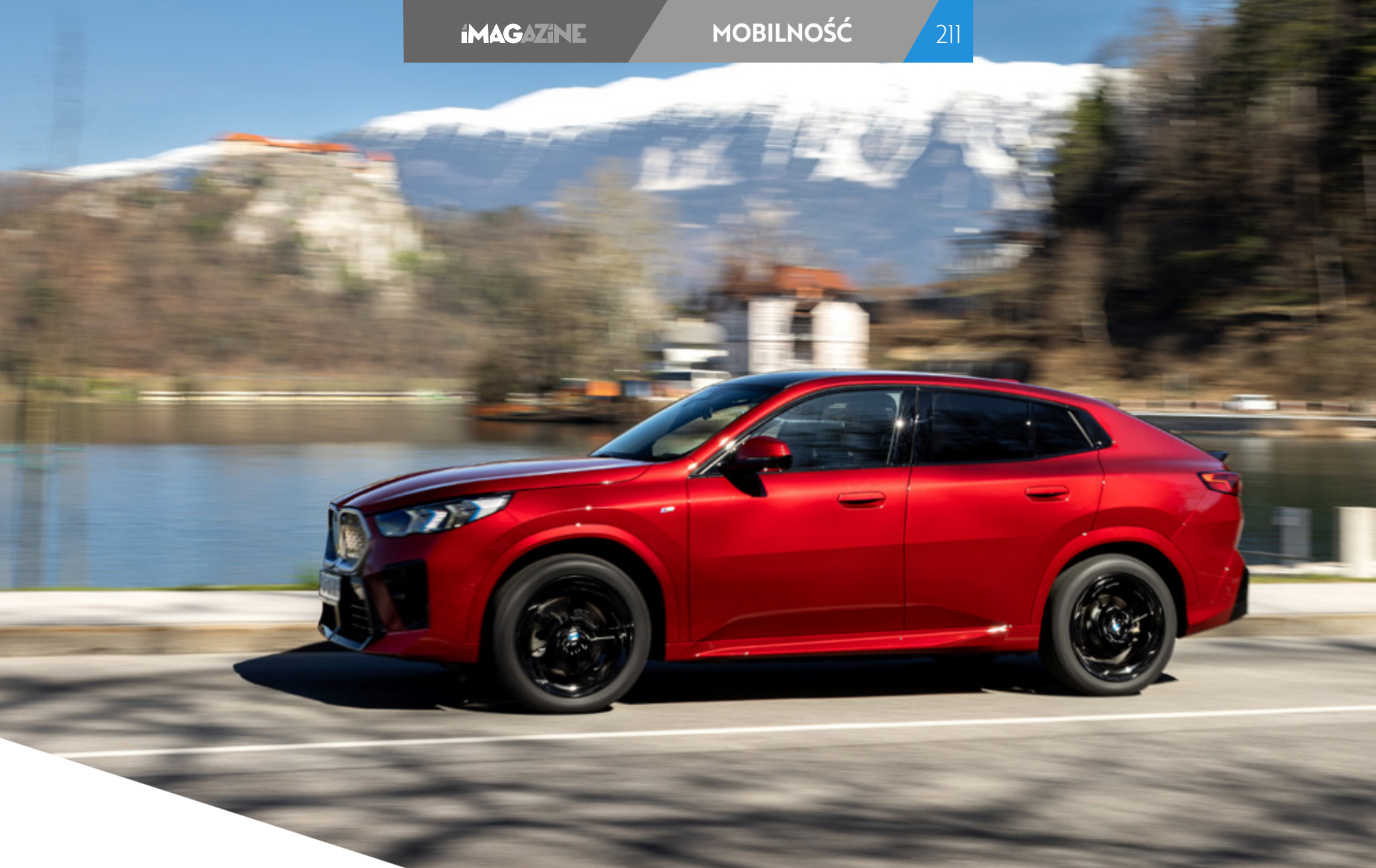
Na deser zostawiam jedną cechę opadającego dachu, która powoduje, że widoczność do tyłu mogę jedynie porównać do wrażenia patrzenia przez lornetkę. To z kolei sprawia, że gorąco polecam zamówienie systemu kamer 360°. Serio.



Prowadzenie

M35i xDrive zrobił na mnie największe wrażenie – nic dziwnego. Jest odmianą najbardziej usportowioną i dzięki 300-konnemu silnikowi oraz napędowi na wszystkie koła, „zbiera” się do setki w 5,4 s (na papierze). Waga wynosząca 1770 kg, która zawiera 90% napełnienie zbiornika paliwem oraz 75 kg kierowcę, ale nie obejmuje wyposażenia dodatkowego, niestety odbiera część przyjemności z pokonywania zakrętów w górach. Szerokie opony na 21-calowych felgach jednak sprawnie sobie radzą z przyczepnością – wręcz zaskakująco – przez co czułem się bardzo pewnie, nawet na śliskich nawierzchniach.





Dla kontrastu iX2 waży już 2095 kg, z warunkami jak powyżej. Te dodatkowe 325 kg jest niesamowicie wyczuwalne na zakrętach, w postaci siły odśrodkowej, gdy jesteśmy na granicy przyczepności. Ta zresztą jest wyraźnie przesunięta niżej niż wariantu benzynowego. Czuć, że konstrukcja auta jest zoptymalizowana pod wariant z silnikiem spalinowym. Umówmy się jednak, że testy to jedno, a rzeczywiste użytkowanie samochodu to coś zupełnie innego – przy normalnej jeździe nadwozie i podwozie zaczynają pracować zdecydowanie bardziej harmonijnie.

Układ kierownicy w obu wariantach jest lekko gumowaty przy agresywniejszej jeździe, jakby między naszymi rękoma a nawierzchnią była dodatkowa przeszkoda. Na obronę BMW, obecnie tylko jeden z europejskich producentów poradził sobie z przesiadką ze wspomagania hydraulicznego na elektryczny, co też zajęło mu kilka lat, czekam więc na postępy inżynierów BMW w tym zakresie, wspominając czasy E46.

Dla kontrastu, zawieszenie adaptacyjne M świetnie radziło sobie w każdej konfiguracji i pomagało zapewnić niesamowitą pewność prowadzenia





w trudnych warunkach. To jedna z tych opcji, którą zdecydowanie warto rozważyć przy konfigurowaniu własnego X2.

Jeśli chodzi o zasięgi obu modeli, czy to na benzynie, czy elektrycznych, to niestety nie mam wiążącej informacji na obecną chwilę – jeździliśmy po górach, w śniegu i deszczu, często agresywnie, więc wyświetlane liczby są zupełnie nieadekwatne do rzeczywistości.

Ceny

Ceny nowego BMW X2 zaczynają się od 195 000 PLN, ale uwierzcie mi – będziecie chcieli wydać zdecydowanie więcej. W moim przypadku jest to niemal 330 000 PLN...



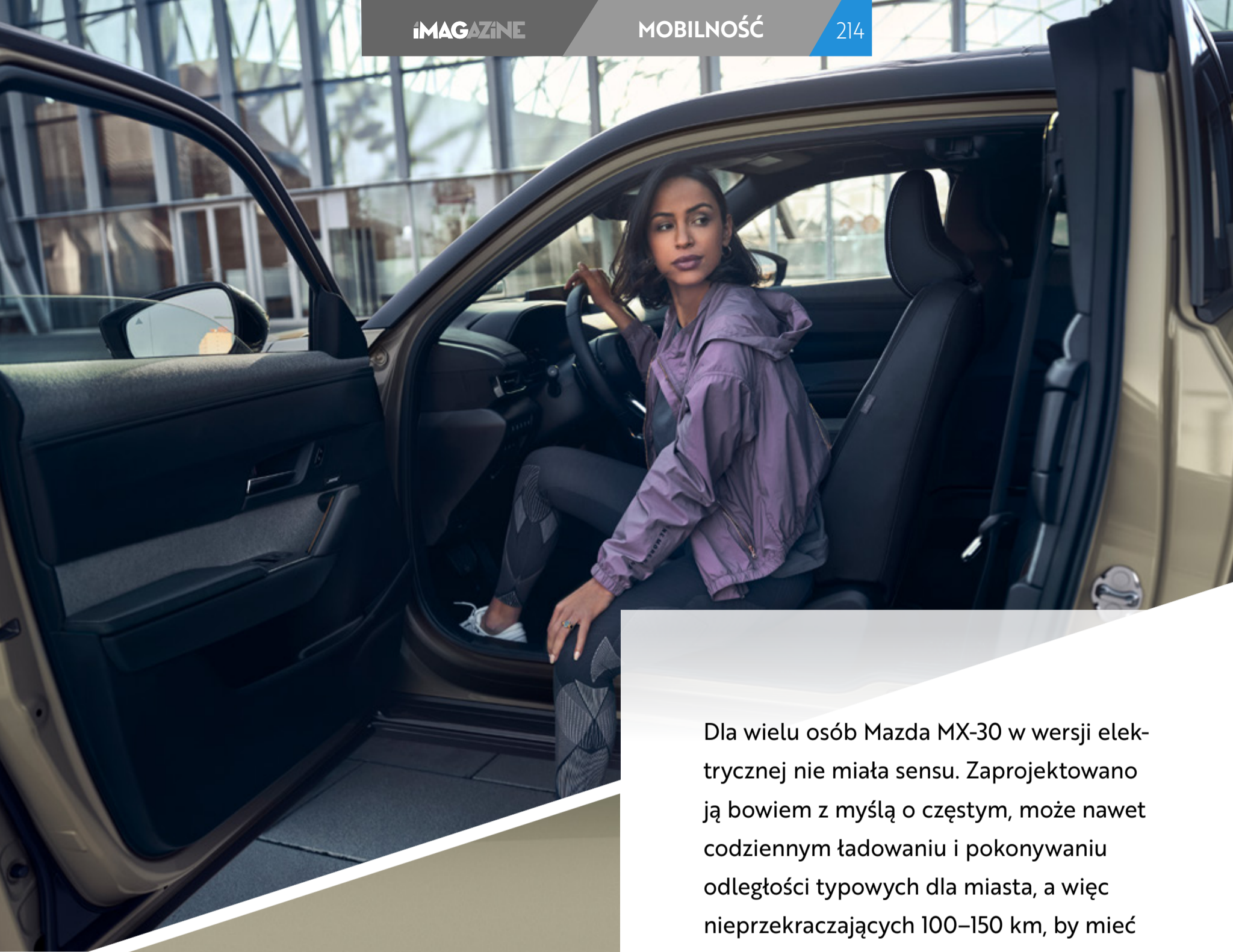


PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Mazda MX-30 R-EV – a niby to tylko nowy napęd

Gdy na początku 2021 roku usiadłem za kierownicą Mazdy MX-30, miałem nieodparte wrażenie, że siedzę w aucie niemal koncepcyjnym. Ostatnio miałem okazję jeździć wersją hybrydową i mimo że R-EV wprowadza jedynie nowy napęd, to konstrukcja ta nie straciła nic ze swojej świeżości.





Dla wielu osób Mazda MX-30 w wersji elektrycznej nie miała sensu. Zaprojektowano ją bowiem z myślą o częstym, może nawet codziennym ładowaniu i pokonywaniu odległości typowych dla miasta, a więc nieprzekraczających 100–150 km, by mieć jeszcze margines swobody w razie niewielkiej zmiany planów. Znam sporo osób, których sposób eksploatacji auta pokrywa się z koncepcją inżynierów Mazdy, jednak doskonale rozumiem przyzwyczajenie kierowców do tego, że mogą samochodem dojechać dalej. I to sporo dalej, zwłaszcza gdy ma być to jedyne auto w rodzinie. Pod maską elektrycznej MX-30 było zresztą wiele wolnego miejsca, które w wersji R-EV zajął silnik Wankla, będący niezmiernie rzadko wykorzystywaną konstrukcją. Jego unikalna budowa, opierająca się na trójkątnych tłokach obracających się wewnątrz cylindra, pozwala osiągać stosunkowo wysoką moc przy zachowaniu mniejszych



wymiarów niż w przypadku klasycznych silników spalinowych. W przypadku MX-30 R-EV ma to ogromne znaczenie, bo rola silnika spalinowego jest kluczowa. Mimo tego, że nie napędza on nigdy bezpośrednio kół, służy za generator prądu, załączający się zgodnie z zapotrzebowaniem. Oznacza to mniej więcej tyle, że może pracować, wykorzystując idealne parametry, niezależnie od stylu jazdy kierowcy. Czy prócz zasięgu istnieją więc jakiegokolwiek różnice względem w pełni elektrycznej wersji?

Mazda MX-30 R-EV z wyglądu nie różni się niczym od wersji elektrycznej, nawet ceny wersji bazowych są identyczne. Wyjątkiem jest dostępna tylko w wariantcie hybrydowym wersja Edition R, charakteryzująca się dwukolorowym, czarno-bordowym nadwoziem, 18-calowymi felgami, a także wykończeniem foteli, dywaników i obudowy kluczyka emblematem R. Wyceniony na nieco ponad 161 tysięcy złotych kompaktowy SUV wciąż wygląda bardzo nowocześnie i, pomimo odświeżenia modelu 3, pojawienia się w międzyczasie modelu CX-60 i zapowiedzi CX-80, to wciąż MX-30 prezentuje się najlepiej. Kierunek, w jaki producent poszedł, projektując nowe modele Mazdy, bardzo mi się podoba, jest wyraźnie ostrzej, bardziej kanciasto i zadziornie, choć jednocześnie auta mają wiele eleganckich detali.





Auto mierzy około 4,4 m długości, 1,8 m szerokości i 1,55 m wysokości. To wymiary świetnie sprawdzające się w mieście, samochód jest jednocześnie na tyle duży, by zapewnić sporą przestrzeń bagażową i przestrzeń dla pasażerów z tyłu, i na tyle mały, by zmieścić się niemal wszędzie. Biorąc pod uwagę to, że, w przeciwieństwie do elektrycznego modelu, R-EV można poważnie rozważyć jako jedyne auto rodzinne, są to niezwykle ważne cechy. Z drugiej jednak strony, świetnie wyglądające, otwierane do tyłu, tylne drzwi nie są tak praktyczne, jak mogłoby się wydawać, więc póki pasażerowie z tyłu potrzebują fotelików, by legalnie poruszać się autem, odczuwamy raczej dyskomfort niż ekscytację nietypowym rozwiązaniem. Pozostałe cechy wyglądu są już wyłącznie pozytywne – lekko kanciaste nadkola, wąskie przednie lampy czy boczna linia, która nie jest tak aerodynamiczna, jak można by było się tego spodziewać, nadają MX-30 R-EV charakteru, zdecydowanie trudno pomylić ją z jakimkolwiek innym pojazdem. Surowość designu przypomina mi Volvo XC40, a podobieństwa między tymi dwoma producentami nie zdarzają się często.

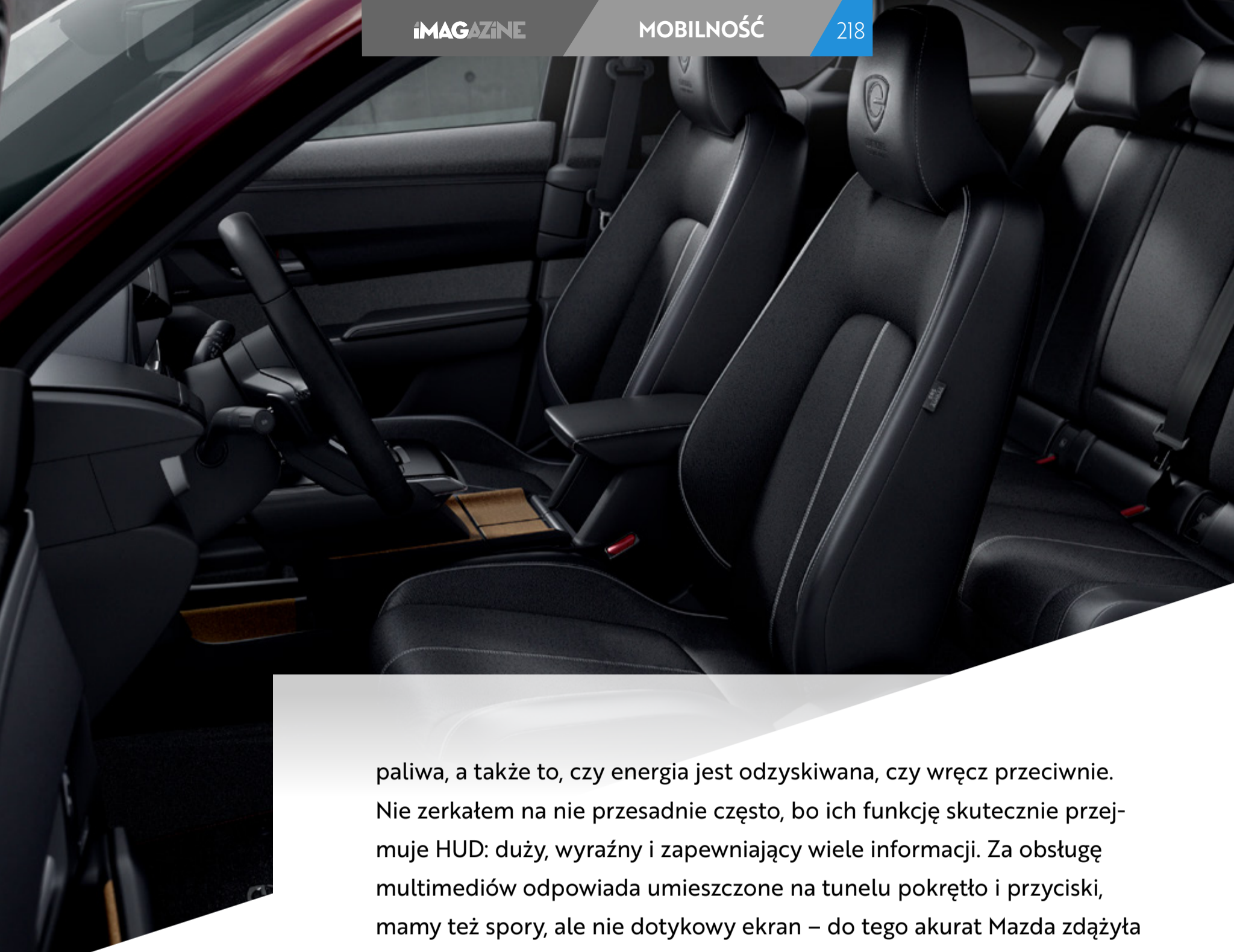
Wnętrze MX-30 R-EV oferuje dokładnie te same wrażenia, co w przypadku wariantu elektrycznego, jednak teraz dostałem egzemplarz z szyberdachem. Jest niewielki, ale pozwala wpuścić do środka świeże powietrze. Obniża co prawda lekko sufit, jednak nie na tyle, by było to zauważalne,





z tyłu zresztą pasażerowie mają nad głową tyle samo miejsca, co w wersji bez tego dodatku. Design deski rozdzielczej, tunelu i drzwi pozostaje bardzo nowoczesny, nie brakuje tu korka, pokrywającego wnętrza uchwytów czy schowki, reszta wykończeń jest matowa, a wybrane elementy pokryto skórą syntetyczną (w MX-30 nie znajdziemy skóry naturalnej). Niewielka kierownica z bardzo wygodnym sterowaniem tempomatem i multimediami sprawdza się wybornie, a łopatki za nią, podobnie zresztą jak w wersji elektrycznej, służą wyłącznie do regulacji stopnia rekuperacji (nie może być jednak na tyle mocna, by pokusić się o one pedal driving). Za kierownicą mamy hybrydowe zegary, które możemy spersonalizować jedynie w nieznacznym stopniu. Po bokach analogowo pokazywany jest stan baterii i poziom





paliwa, a także to, czy energia jest odzyskiwana, czy wręcz przeciwnie. Nie zerkąłem na nie przesadnie często, bo ich funkcję skutecznie przejmuje HUD: duży, wyraźny i zapewniający wiele informacji. Za obsługę multimedii odpowiada umieszczone na tunelu pokrętło i przyciski, mamy też spory, ale nie dotykowy ekran – do tego akurat Mazda zdążyła już wszystkich przyzwyczać. Interfejs został świetnie skonstruowany i brak dotyku odczuwałem jedynie podczas wpisywania czegokolwiek, tu przydałoby się rozwiązanie znane choćby z BMW, czyli zintegrowany z pokrętłem touchpad. Jedynym elementem, który nie przypadł mi do gustu, były mapy. Brakowało adresów, a prędkość ich działania i proponowane trasy pozostawiały trochę do życzenia. Nie zabrakło CarPlay, ale jest jedynie przewodowy, co dziwi w aucie tej klasy. Sprawę komplikuje też to, że porty USB-A umieszczono w dolnym schowku tunelu, obok gniazda 230 V. To miejsce, do którego naprawdę niewygodnie się sięga, szczególnie jeśli odkładamy tam podpięty kablem telefon za każdym razem, gdy wsiadamy do auta. A jeśli jesteśmy przy schowkach, to jest ich sporo, bo prócz wspomnianego już mamy też jeden w podłokietniku, dwa niewielkie, będące jednocześnie uchwytami na kubki, a także schowek przed pasażerem. W drzwiach też są kieszenie i o ile te z przodu wypadają standardowo, to z uwagi na rozmiar tylnych drzwi te dla pasażerów są raczej umownej wielkości. Mazda konsekwentnie wykorzystuje do zmiany trybu



jazdy dźwignię, obok niej pojawił się jedyny element, który odróżnia R-EV od wersji elektrycznej. To przełącznik, który zmienia cykl ładowania baterii, do wyboru jest preferowanie jazdy na napędzie elektrycznym bez ładowania baterii, tryb mieszany (standardowy) oraz ładowanie akumulatora do określonego poziomu. Ten trzeci tryb przydaje się zwłaszcza wtedy, gdy chcemy później pojeździć w ciszy, a nie mamy jak się doładować po drodze.

Nie sposób nie wspomnieć o komforcie oferowanym przez MX-30 R-EV. Zawieszenie jest dość sztywne i z nierównościami poprzecznymi radzi sobie przeciętnie, choć mam wrażenie, że jest lepiej niż w bliźniaczej MX-30 w wersji elektrycznej. Trzymanie w zakrętach i pewność prowadzenia stoją jednak na bardzo wysokim poziomie, wewnątrz jest też cicho, niezależnie od prędkości (a auto rozpędza się maksymalnie do 140 km/h). Jest zwrotne – średnica zawracania to 11 metrów, a poruszanie się w mieście i parkowanie ułatwia system kamer 360°. Dłuższa jazda nie stanowi problemu, bo fotele są bardzo wygodne, ten kierowcy jest sterowany elektrycznie, pasażer musi zadowolić się ręczną regulacją (i to nawet





w topowej wersji wyposażenia). To jednak można tłumaczyć szybkością odsuwania go, gdy ktoś chce wsiąść na tylną kanapę. W przypadku fotela kierowcy przesunięcie go trwa wieki, bo choć można to zrobić za pomocą wygodnych przycisków na tylnym oparciu, to cały proces jest bardzo powolny. Siedzenia są średniej twardości, uważam, że osiągnięto rozsądny kompromis między wygodą w długiej trasie i podczas poruszania się na krótkich odcinkach. Równie dobra jest tylna kanapa, wyprofilowano ją tak, by siedzieć w niej wygodnie, na dodatek na szerokość mamy tu naprawdę dużo miejsca, z tyłu da się w miarę komfortowo podróżować nawet w trzy osoby. Nie mogę pisać o komforcie podróży bez wspomnienia o klimatyzacji. Ta ma własny ekran dotykowy, wokół którego znalazły się też fizyczne przyciski. Sprawdza się świetnie, choć zastąpienie go mniejszym, w pełni przyciskowym kontrolerem z pokrętkami nie ujęłoby nic z jego funkcjonalności. Na koniec zostawiłem system audio Bose – Mazda pozwala ustawić nie tylko korekcję dźwięku, ale też regulować przestrzenność brzmienia, dzięki czemu da się go mocno dostosować do własnych preferencji. Jakość oferowanego dźwięku jest świetna, jestem pod wrażeniem tego, jaki efekt udało się uzyskać w tym stosunkowo niewielkim wnętrzu. Audio może zresztą działać tu w sposób niemal niezakłócony, bo we wnętrzu panuje cisza, przerywana czasami cichym pomrukiem silnika Wankla i zauważalnymi, ale lekkimi wibracjami.



MX-30 R-EV jest hybrydą plug-in, wykorzystującą złącze CCS do ładowania (z mocą do 11 kW). Bateria ma pojemność 17,8 kWh i pozwala przejechać w cyklu miejskim około 70 km, korzystając jedynie z prądu. Wersja hybrydowa waży 1778 kg, jest więc o ponad 130 kg cięższa od modelu elektrycznego, co z pewnością ma na to wpływ. Bak ma natomiast pojemność 50 litrów – to całkiem sporo, zważywszy na gabaryty auta, choć jego pojawienie się poskutkowało zmniejszeniem pojemności bagażnika przez podniesienie jego podłogi, skurczył się z 366 do 311 litrów (uwaga, bagażnik nie ma elektrycznej klapy, nawet w opcji). To uczciwa cena za znacznie zwiększony zasięg, który według producenta wynosi do 680 km. Sam wierzę w wynik bliżej 600 km, niemniej moja

ocena bazuje na jeździe w większości miejskiej, ze sporadycznym korzystaniem z dróg szybkiego ruchu. Spalanie przy naładowanej do pełna baterii jest zauważalnie niższe niż to, gdy akumulator zbliża się do okolic 30% pojemności. Wtedy silnik Wankla zaczyna się uruchamiać częściej, a realne zużycie paliwa oscyluje w okolicach 7–8 litrów na 100 km. Jest to oczywiście wartość przy uwzględnieniu tego, że w ogóle nie doładowuję samochodu. Podobnie jak w przypadku innych hybryd plug-in, najlepsze spalanie uzyskamy, gdy będziemy doładowywać regularnie auto, na przykład w domu, muszę jednak zaznaczyć, że MX-30 R-EV

i tak świetnie zarządza energią, rekuperacja jest skuteczna, a produkcja energii przez silnik benzynowy odbywa się szybko. Muszę pochwalić kulturę, z jaką pracuje 0,83-litrowy silnik Wankla – załącza się gładko i choć go słychać, nie wchodzi nigdy na bardzo wysokie, uciążliwe dla kierowcy i pasażerów obroty, natomiast dzięki temu, że i tak koła napędza wyłącznie napęd elektryczny, nie rzutuje to w żaden sposób na płynność jazdy i osiągi. Te są zresztą nieprzesadzone, bo 9,1 sekundy do 100 km/h i wspomniana prędkość maksymalna równa 140 km/h pozwalają sprawnie poruszać się w mieście, a na autostradzie umożliwiają płynne wyprzedzanie (choć z uwagi na realne prędkości aut na tych drogach nie dotyczy to wszystkich przypadków). To zresztą przyzwoite wyniki jak na 170 KM i 260 Nm generowane przez układ napędowy

Spalanie przy naładowanej do pełna baterii jest zauważalnie niższe niż to, gdy akumulator zbliża się do okolic 30% pojemności.





auta. Napędzana jest przednia oś, co nie zaskakuje – podobnie było w wersji elektrycznej.

Nie sposób nie docenić tego, ile pracy Mazda włożyła w nową wersję MX-30. Teoretycznie to kolejna hybryda na rynku, jednak dzięki temu, że koła stale napędza wyłącznie silnik elektryczny, wrażenia z jazdy są dokładnie takie, jak w przypadku jakiegokolwiek auta elektrycznego. Owszem, tu nie mamy wysokich osiągnięć, charakterystycznych nawet dla miejskich aut na prąd, ale w tego typu samochodzie nie są istotne. Jego nowoczesność nadal czyni prowadzenie go bardzo satysfakcjonującym, a nowy napęd sprawia, że nada się dla dużej grupy nowych klientów.

Mazda MX-30 R-EV



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5,5/6

+ Plusy:

- duża wygoda jazdy po mieście
- świetna kultura pracy
- wciąż nowoczesne i praktyczne wnętrze...

- Minusy:

- ...nie licząc tylnych drzwi
- brak elektrycznej kłapy bagażnika

Ceny: od 161 100 PLN Testowana wersja: około 185 000 PLN





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Hyundai Ioniq 6 Ekstrawertyk

Koreański elektryczny fastback przykuwa uwagę, gdy poruszasz się nim po ulicach. Nic dziwnego. W czasach, gdy wszyscy proponują SUV-y, Hyundai poszedł pod prąd i wprowadził elektryczną awangardę w świetnym stylu.





Awangarda się opłaciła. Na efekty w postaci uznanych wyróżnień ten model nie musiał długo czekać. Samochód zadebiutował oficjalnie na rynku w 2022 roku, na polskich drogach pojawił się w 2023. W tym samym, 2023 roku, Ioniq 6 otrzymał przynajmniej dwa prestiżowe wyróżnienia: tytuł World Electric Vehicle 2023 od organizacji World Car Awards, a także jeszcze bardziej istotny, najważniejszy, tytuł Samochodu Roku: World Car of The Year 2023. Z perspektywy niemal dwóch tygodni spędzonych za kierownicą tego modelu doskonale rozumiem taki wybór jurorów World Car Awards. To bardzo przemyślany wóz, zaprojektowany odważnie, ale nie głupio. Zaskakuje funkcjonalnością, imponuje dynamiką, przestronnością i szybko się ładuje. Świetnie się prowadzi, a przy tym potrafi być naprawdę oszczędny. Żadnych wad? O nie, ideałów przecież nie ma. Wady też udało mi się zaobserwować, szczegóły poniżej.

Odważny projekt

O gustach się nie dyskutuje, ale trudno tego samochodu nie zauważyć. To pojazd zaprojektowany przez ludzi, którym postawiono jedno zadanie: aerodynamika. Efekt? W optymalnym wariantcie z elektronicznymi lusterkami bocznymi (czyli kamerami zamiast klasycznych lusterek, takim egzemplarzem właśnie dysponowałem) oraz 18-calowymi aerodynamicznymi felgami (w egzemplarzu testowym były bardziej dające po oczach, 20-calowe



obręcze o ciekawym wzorze), samochód ten wyróżnia się współczynnikiem oporów powietrza wynoszącym zaledwie 0,21. To jedna z najniższych wartości na świecie wśród aut produkowanych seryjnie. Ma to też znaczenie w kontekście zużycia energii: w istocie ten samochód jest jednym z najoszczędniejszych aut elektrycznych podczas jazdy z prędkościami autostradowymi, czyli takimi, kiedy opory powietrza zaczynają grać istotną rolę.

Pomijając zalety wynikające z aerodynamiki, Ioniq 6 może się podobać. Niebanalny, odważny styl z całą pewnością spodoba się ekstrawertykom – osobom, które lubią się wyróżniać. Prowadząc to auto, w każdym miejscu, w którym się znajdowałem, napotykałem zaciekawione spojrzenia. Nie brakowało dyskretnych ujęć ze smartfonów. Osoby, które wolą bardziej dyskretnie przemieszczać się po ulicach, to... cóż, ten model nie jest raczej dla nich. Trudno to jednak uznać za wadę, to raczej z góry zaplanowana cecha tego awangardowego projektu.

Auto, czego może nie widać za bardzo na zdjęciach, jest spore. Mierzy niemal 4,9 metra (bez 15 mm), jest sporo dłuższe od częściej widywanej na naszych ulicach Tesli Model 3. Rozstaw osi to również konkretne 2950 mm, co sugeruje dużo przestrzeni wewnątrz. Zajrzyjmy zatem do wnętrza.





Miejsca dużo, ale...

Zacznę wyjątkowo od drugiego rzędu, bo przestrzeń pomiędzy kanapą a oparciami przednich foteli jest tutaj zaskakująco duża. Otwierając tylne drzwi, byłem zaskoczony i sądziłem, że z tyłu bez problemu usiądzie zawodnik sumo, czy koszykarz NBA. Takie jest pierwsze wrażenie. A potem usiadłem z tyłu i dostrzegłem kilka mankamentów. Owszem, na wysokości kolan miejsca jest tyle, że możesz założyć nogę na nogę, ale jeżeli zechcesz wyprostować trochę nogi i wsunąć np. stopy pod przedni fotel, to okazuje się, że stopa pod tymże fotelem nie bardzo się mieści. Ponadto siedziska znajdują się dość nisko, czy też podłoga jest dość wysoko – jak kto woli. Cóż, bateria znajduje się w podłodze, ale przez to siedziska kanapy nie podpierają ud. Jeżeli chcesz, by podparły, próbujesz wyciągnąć nogi, a tam brak miejsca na stopy. Opadająca linia dachu, narzucona formą nadwozia, też ma swoje konsekwencje: zawodnik NBA się nie zmieści, graniczny wzrost dla pasażera z tyłu to jakieś 185–190 cm. Kanapa nie jest przesuwana, nie ma też regulowanych oparcí (to mnie zdziwiło, bo w modelu Ioniq 5, który miałem okazję już prezentować na naszych łamach, jest to możliwe). Wysokie osoby będą szorować czupryną o podsufitkę. Zatem o ile w pierwszym wrażeniu sądziłem, że wystawię za przestrzeń z tyłu ocenę celującą, musiałem zatrzymać się na mocnej czwórce. Jest naprawdę dobrze, ale nie idealnie.



Pod względem funkcjonalności nie mam uwag. W oparciach foteli są siateczki, a na boczku przedniego fotela pasażera są też przyciski regulacji kąta oparcia, wysokości i wzdłużnej, dzięki czemu pasażer z tyłu może dopasować fotel przed nim. W zwieńczeniu tunelu centralnego są dwa gniazda USB-C i regulacja nawiewów, a także kieszonka na jakieś drobiazgi. Nie zabrakło rozkładanego szerokiego podłokietnika z miejscami na napoje, a także schowków i kieszonek w bocznych drzwiach. Podłoga z tyłu jest płaska, w efekcie mamy do czynienia z autem realnie pięciomiejscowym, choć osobie siedzącej z tyłu pośrodku będzie najmniej wygodnie, ze względu na wyprofilowanie kanapy. Warto dodać, że skrajne tylne siedziska, podobnie jak i fotele przednie, są tu podgrzewane (te z przodu mają też wentylację).

To jest sedan

Patrząc z boku na auto, można by sądzić, że mamy do czynienia z liftbackiem, jednak de facto jest to sedan, a to rzutuje w pewnym stopniu na funkcjonalność bagażnika. Jego deklarowana przez producenta pojemność to 40l litrów. Dość mało jak na niemal 4,9-metrowy pojazd. Dla porównania Škoda Fabia, auto segmentu B, typowy mieszczuch, mieści tylko 20 litrów mniej. Jeżeli





będziemy chcieli upchnąć trochę bagaży w Ioniq 6, dobrze jest planować pakowanie w miękkie torby i plecaki, aniżeli w sztywne, wielkie walizki, bo wpadające do wnętrza bagażnika nadkola psują foremność tej przestrzeni. Oparcia kanapy można złożyć, a ciężna (dość rachitycznie wyglądające) są dostępne w bagażniku. Plus jest taki, że pod maską jest jeszcze niewielki (niecałe 20 litrów w wersji z napędem na obie osie, jaką dysponowałem) schowek na kable. Podpowiem, że w wersji tylko z napędem na tył jest on nieco większy. W wydaniu AWD upchniemy z przodu może jeden przewód Type 2. Ładowarkę z gniazdka sieciowego trzeba będzie już raczej schować do bagażnika z tyłu.

Kokpit – i elegancki, i plastikowy

Wiem, dziwnie to brzmi, ale taki właśnie jest kokpit modelu Ioniq 6. Nowoczesny, minimalistyczny projekt cieszy



oko, a jasne i szare tworzywa są niemal wszędzie, co nie zmienia faktu, że są właśnie tworzywami. Niemniej nie jest to tani plastik z Dacii Spring, najtańszego auta elektrycznego na rynku, lecz materiały znacznie wyższego sortu. Schowków z przodu też nie brakuje, oprócz klasycznego, zamykanego miejsca przed fotelem pasażera (wysuwana szuflada) sporo przestrzeni jest na podwójnej, piętrowej półce w tunelu centralnym. Na drobiazgi masz też boczki drzwi, jest ładowarka indukcyjna na smartfona. Użyteczność tej ostatniej jest nieco ograniczona przez to, że gdy chcesz, korzystasz z Apple CarPlay czy Android Auto, to i tak smartfon musisz połączyć kablem (gniazdka USB oczywiście są, tak jak i gniazdko 12 V na dolnym piętrze półki w tunelu środkowym). Od tak nowoczesnego w formie i stylu auta oczekiwałem bezprzewodowej łączności ze smartfonem.

Ekranów oczywiście nie brakuje, ten przed kierowcą jest podobnych rozmiarów, co ekran centralny, a oba (12,3 cala każdy) są stylistycznie zintegrowane w jedną taflę przestrzeni informacyjnej. Wygląda to naprawdę dobrze, brak osłonki nad wirtualnymi zegarami nie jest problemem. Sprawdziłem, żadnych kłopotów z czytelnością ekranów w każdych warunkach atmosferycznych.





Ekran centralny jest oczywiście dotykowy, ale plusem modelu jest to, że projektanci nie wyrugowali z kokpitu fizycznych przycisków. Lusterka (w moim przypadku: kamery) regulujemy fizycznymi manipulatorami, również wielofunkcyjna kierownica zawiera fizyczne przyciski (m.in. sterowanie tempomatem adaptacyjnym, multimediami, zmiana widoku wirtualnych zegarów, jest też przycisk, do którego można podpiąć wybraną przez nas funkcję). Pod dotykowym ekranem jest panel z przyciskami wywołującymi wybrane funkcje (radio, media, kamery itp.), jest też pokrętło głośności. Pod tym panelem mamy dotykowy panel klimatyzacji. Choć jest dotykowy, to, jako że odpowiada wyłącznie za klimatyzację, sterowanie temperaturą, nawiewami itp. jest wygodniejsze, niż by to miało się odbywać z jednego dużego ekranu. System inforozrywki działa umiarkowanie płynnie, nie zacina się, ale na niektóre polecenia trzeba odrobinę poczekać.

Jazda – super, ale coś musisz wyłączyć

Egzemplarz, którym dysponowałem, to Hyundai Ioniq 6 AWD w topowej wersji Uniq. Auto w tym wydaniu ma dwusilnikowy napęd elektryczny na obie osie. Oznacza to konkretną moc do 325 KM (239 kW) trafiającą na koła. Duży moment obrotowy jest tu automatycznie rozdzielany przez elektronikę na poszczególne koła, co sprzyja stabilności. Efekt? Auto nie zrywa przyczepności bez względu na to, jak gwałtownie chciałbyś ruszyć. 100 km/h jesteś



w stanie osiągnąć po upływie 5,1 sekundy. Bardzo dobry wynik. Odczucie dynamiki zwiększa też natychmiastowa reakcja napędu na wciśnięcie pedału przyspieszenia (najbardziej odczuwalna w trybie sportowym). Znakomita jest też elastyczność, przydatna np. podczas wyprzedzania ciężarowych składów na trasie. Z 80 do 120 km/h Ioniq 6 zbiera się w nieco ponad 3 sekundy. To naprawdę szybki wóz, ale też prowadzący się przewidywalnie i stabilnie. Zawieszenie stanowi tu udany kompromis pomiędzy komfortem a odczuciem drogi. Zaletą jest też niezłe wyciszenie. W pełnym zakresie legalnych prędkości jedynym dźwiękiem, jaki może przebić się do kabiny z zewnątrz, jest raczej szum opon niż powietrza, które – dzięki doskonałej aerodynamice – niezwykle łagodnie opływa nadwozie tego auta.

Ale zaraz! Zapomniałem o najważniejszym! To nowe auto, zatem ma już obowiązujący w Europie system ISA (Intelligent Speed Assistant). Oznacza to, że systemy „wspomagające” kierowcę informują o każdej zmianie ograniczenia prędkości i o każdym przypadku jej przekroczenia choćby o 1 km/h. Przy czym słowo „informują” nie oddaje do końca tego cyfrowego jazgotu, jaki rozlega się w kabinie, gdy miniesz znak z ograniczeniem, a pojedziesz choćby o 1 km/h szybciej, czy – Boże broń! – odwrócisz wzrok





od drogi. Na dłuższą metę nie da się. Dobra wiadomość: te „wspomagacze” można wyłączyć bez rezygnacji z pozostałych elementów cyfrowego wsparcia (adaptacyjny tempomat, kamery, czujniki parkowania, adaptacyjne prowadzenie po torze); zła: musisz to robić podczas każdego uruchomienia auta. Na pocieszenie dodam, że podczas podróży ciszę przyjemnie może zmącić miło grające pokładowe audio sygnowane marką Bose.

Z pewnością wiele osób interesuje kwestia wirtualnych lusterek, czyli kamer i ekranów w kokpicie, które je zastępują. Czy da się z tym jechać? Jest zaskakująco dobrze. Bardzo szybko się do nich przyzwyczailem. Podczas zmiany pasa ruchu kierowcy pomagają linie graniczne nakładane na obraz rejestrowany przez kamery/lusterka, dzięki czemu po prostu widzisz, czy nie wjedziesz przy zmianie pasa nikomu przed maskę. Innym ułatwieniem są obrazy z dodatkowych kamer bocznych, prezentowane na wirtualnych zegarach po wrzuceniu kierunkowskazu. Podkreślam, że obraz z „lusterek” jest czytelny w każdych warunkach. W zasadzie w nocy jest nawet bardziej czytelny niż z klasycznych lusterek. Jednak jedyne, do czego ciężko mi było się przyzwycząić, to korzystanie z wirtualnych lusterek podczas cofania, ale tu w sukurs przychodzi kamera tylna i sensory.

A jak z zasięgiem?

Gdy odbierałem pojazd z parku prasowego, komputer w pełni naładowanego pojazdu sygnalizował 439 km zasięgu. Niezły wynik jak na pojazd



dysponujący akumulatorem o pojemności 77,2 kWh brutto (wartości netto Hyundai nie podaje, ale jest to ok. 74 kWh. Deklarowany zasięg homologacyjny (wg WLTP) to 519 km. Czy to w ogóle realne? Cóż, ja już po pierwszym spokojnym przejeździe w temperaturze 11°C (czyli nie za ciepło) uzyskałem średnią 15,5 kWh. Bez najmniejszego wysiłku i skupienia na ekojeździe. Prosta matematyka: taka średnia oznaczałaby możliwość pokonania ponad 470 km. Dodam, że 15,5 kWh/100 km to wcale nie był najlepszy wynik. W innym przejeździe uzyskałem 13,6 kWh/100 km. Najgorszy mój przejazd to dłuższa trasa mieszana, częściowo po autostradzie, co wpłynęło na zużycie, ale rezultat i tak jest świetny: średnia 18,8 kWh/100 km. Oczywiście jazda po samej autostradzie będzie oznaczać już zużycie przekraczające 20 kWh/100 km, ale zaskakująco lekko przekraczające tę wartość.

W efektywności energetycznej pomagają dopracowane oprogramowanie zarządzające baterią, ładowaniem i rekuperacją. Auto daje nam możliwość podróżowania zarówno w trybie one pedal (czyli z bardzo silną rekuperacją, w zasadzie wyhamowującą auto do zera), jak i w trybie żeglowania, czyli bez żadnego hamowania silnikiem i w przypadku płynnej jazdy po pustej drodze to właśnie ten tryb wydaje się najbardziej efektywny energetycznie. Z kolei silniejsza rekuperacja przydaje się w mieście, gdzie są częste





przyhamowania i postoje. Sterowanie rekuperacją jest banalnie proste: są od tego łopatki przy kierownicy.

Jeżeli chodzi o ładowanie, to kolejny mocny punkt w tym modelu. Ioniq 6 korzysta z architektury o napięciu 800 V i jest w stanie przyjąć z odpowiednio szybkiej ładowarki do 235 kWh. Oczywiście wiele zależy od temperatury czy ładowarki, ale plusem jest to, że pomaga pokładowa nawigacja. Gdy w pokładowej nawigacji wybierzesz ładowarkę na trasie, BMS (Battery Management System) przygotowuje baterię do ładowania, a to oznacza krótszy postój z kabelkiem w gniazdku. Realnie kwadrans na szybkiej ładowarce oznacza możliwość pokonania kolejnych 200 km na autostradzie. Na innych, wolniejszych trasach, przejedziesz jeszcze więcej. Zaletą jest to, że o ile korzystasz z pokładowej nawigacji, ta stara się tak wytyczyć trasę, by w razie braku zasięgu algorytm wytyczał trasę do najmocniejszej (najszybszej) ładowarki na trasie, a nie kazał ci stać kilka godzin na słupku AC.

Ile ten samochód kosztuje? W oficjalnym, aktualnym cenniku koreańskiej marki model Ioniq 6 startuje od kwoty 228 900 zł. Ja jednak dysponowałem wersją dwusilnikową i wyposażeniem UniQ. A takie wydanie zaczyna się od 304 900 zł. Zaletą jest to, że wiele elementów wyposażenia, takich jak np. matrycowe reflektory, pompę ciepła, 20-calowe alufelgi, skórzaną tapicerkę





(z ekoskóry, jak w testowym egzemplarzu), head up, czy system audio Bose mamy już w standardzie. Jeżeli nie zależy wam na ponadprzeciętnej dynamice, a chcecie jeszcze zyskać na zasięgu, wówczas można wybrać wersję jednosilnikową z tym samym wyposażeniem (ma nieco większy frunk), za kwotę od 284 900 zł. Czy są jakieś opcje? Owszem, cyfrowe lusterka, którymi dysponowałem w testowanym egzemplarzu, wymagają 8000 zł dopłaty. Dopłaty (2900 zł) wymagał też ładny, perłowy, biały lakier. Finalnie egzemplarz widoczny na zdjęciach kosztuje 315 800 zł.



Hyundai Ioniq 6

- Design: 6/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 4/6
- Wydajność: 5/6

Plusy:

- Odważny, nowoczesny, sportowy styl i doskonała aerodynamika
- Mocny i efektywny energetycznie napęd
- Ładnie zaprojektowane, przestronne i funkcjonalne wnętrze
- Efektywna rekuperacja i zarządzanie energią
- Dobre wyciszenie
- Szybkie ładowanie
- Precyzyjne prowadzenie, szeroki zakres asysty kierowcy

Minusy:

- Bardzo irytująca sygnalizacja „obowiązkowych” systemów wsparcia kierowcy
- Apple CarPlay i Android Auto tylko po kablu





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

VW ID.7 Special Edition

W marcowym wydaniu naszego magazynu Wojtek dzielił się z Wami wrażeniami ze światowej premiery VW ID.7 Tourer. Ja tym razem miałem okazję zabrać na nieco dłuższe, kilkudniowe testy najnowszego VW ID.7. Wrażenia? Jestem autentycznie zachwycony tym pojazdem. To najlepszy Volkswagen, jakim jeździłem i jedno z najciekawszych aut elektrycznych w swoim segmencie.



Pierwszy kontakt z topowym autem elektrycznym marki z Wolfsburga miałem w czerwcu ubiegłego roku, na statycznej prezentacji przedprodukcyjnego jeszcze egzemplarza. Materiał wówczas powstały możecie przeczytać w [naszym serwisie](#). Wówczas model mi się spodobał, ale nie zachwyił. Teraz, z perspektywy kilkuset kilometrów, które pokonałem za kierownicą nowego VW ID.7 Special Edition (wersja przygotowana przez markę na start sprzedaży), mogę napisać: jakież to jest udane auto! Przy czym, żeby było jasne, moja opinia nie wynika z subiektywnych odczuć. Ba, szczerze pisząc, np. nadwozie tego wozu niespecjalnie mi się podoba (drażni mnie np. bardzo krótka w stosunku do całości maska, zresztą cecha całej serii ID Volkswagena). Niemniej jest to wyjątkowo udany samochód i to pod bardzo wieloma względami.

Nie rozumiem, czemu wielu dziennikarzy motoryzacyjnych nazywa ten model „elektrycznym Passatem”. Po pierwsze, Passat wciąż istnieje i nie jest elektryczny, po drugie – znacznie bardziej istotne – ID.7 jest samochodem od Passata po prostu lepszym: większym, bardziej funkcjonalnym, przestronniejszym, szybszym, wygodniejszym, nowocześniejszym i wyżej pozycjonowanym. Nic nie ujmując samemu Passatowi. Owszem ID.7 jest





też autem droższym, ale przy takich różnicach to zrozumiałe. Powiem więcej, ID.7 jest samochodem lepszym nawet od Volkswagena Arteona, choć – dla mnie – brzydszym. Niemniej, jak to mówią: de gustibus non est disputandum. Skupmy się na faktach.

VW ID.7 to kawał auta, mierzy niemal 5 metrów długości. Ten liftback (niektórzy widzą w nim fastbacka) to projekt, który z jednej strony ma wizualnie pasować do całej serii VW ID (i to faktycznie projektantom wyszło), z drugiej jego forma jest oszlifowana aerodynamiką (w efekcie powstała atrakcyjna dla oka opływowa linia nadwozia). Nie sposób tego ukryć, że w tym projekcie grała ona niebagatelną rolę. Efekt? To jeden z najlepszych samochodów elektrycznych w długie trasy. Oksymoron? Tak, wiem, złośliwi mówią, że „elektryki” to tylko wokół komina. VW ID.7 rzuca im rękawicę. Pojechałem tym autem z Warszawy na Podlasie, po trasach szybkiego ruchu, autostradach i typowych drogach krajowych z przejazdami przez mniejsze miejscowości. W 99% aut elektrycznych, z których korzystałem na tej samej trasie, musiałem się ładować przed powrotem. Tutaj nie tylko nie było takiej potrzeby, a jeszcze po powrocie i pokonaniu 360 km, bez żadnych oszczędności i przy korzystaniu z wszelkich oferowanych wygod (a tych jest zaskakująco wiele, do czego jeszcze wrócę) komputer zasygnalizował średnie zużycie zaledwie 17,3 kWh/100 km i 80 km pozostałego





zasięgu. Wspomnę tylko, że 100 km pokonałem autostradą, z maksymalną legalną prędkością! Po prostu WOW! Oddając auto do parku prasowego po przejechaniu niemal 700 km, średnia uparcie nie chciała przekroczyć 20 kWh/100 km, a mocy nie żałowałem. Tym samochodem na raz pokonasz drogę z Warszawy do Poznania, jadąc cały czas autostradą A2. W przypadku dróg podmiejskich, nieszczęśliwie zatłoczonych, energii wystarczy ci na nawet 600 km. Nie żartuję. To, co inżynierowie Volkswagena zrobili z efektywnością energetyczną tego auta, mogę podsumować jednym słowem: majstersztyk.

Pamiętajcie, ważny jest kontekst. Imponujący (jak na auto elektryczne) zasięg i niskie zużycie, jakie uzyskałem, nie wynikało z niezwykle ekologicznego stylu





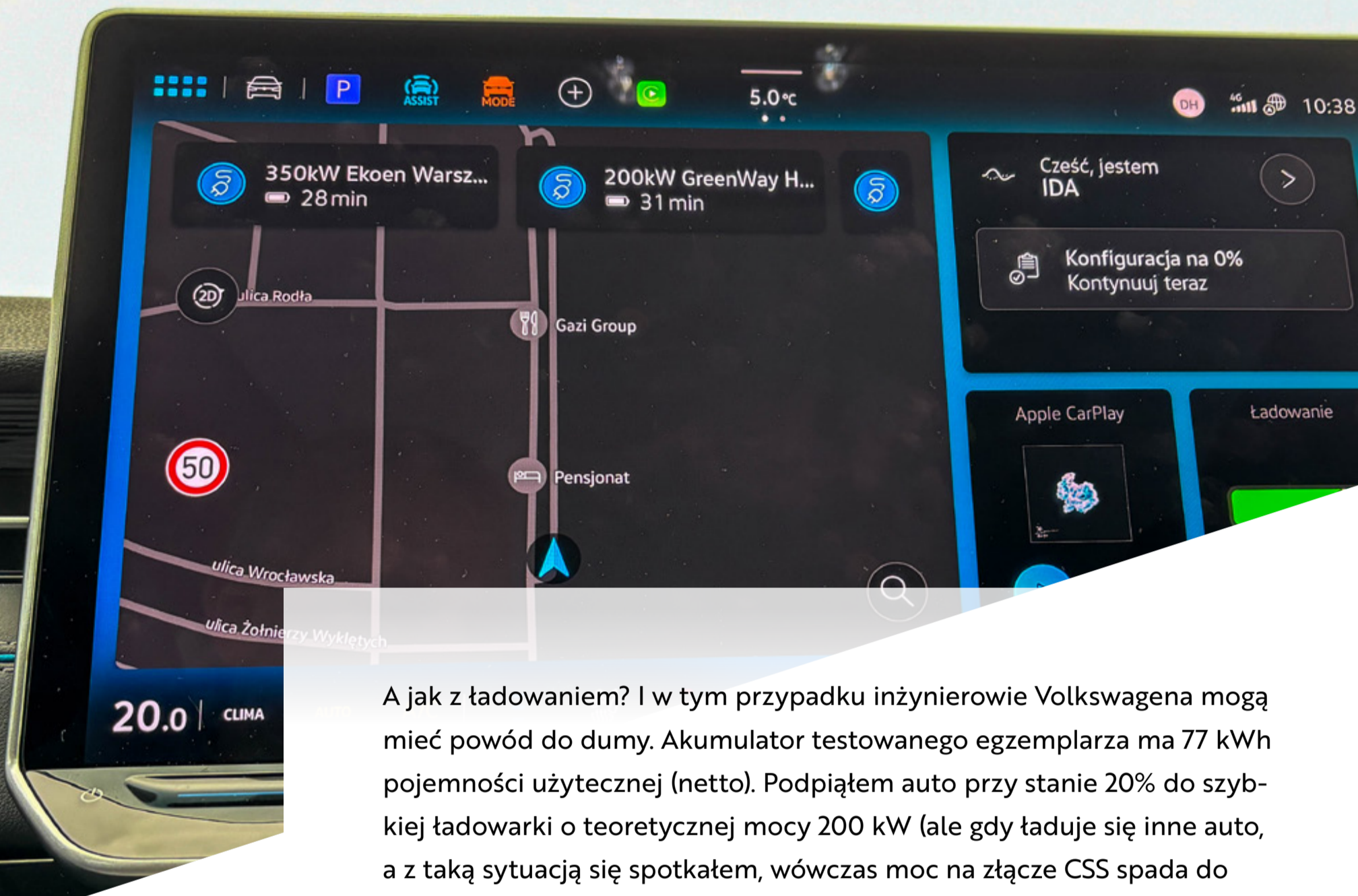
mojej jazdy. Wręcz przeciwnie, mogłem i przekonałem się, że to naprawdę dynamiczny pojazd. Nowa elektryczna jednostka APP550 o mocy 286 KM i 545 Nm (bardzo chętnie i błyskawicznie przekazywanej na tylne koła na żądanie kierowcy) pozwala uzyskać 100 km/h po 6,5 sekundy. ID.7 to nie sportowiec, ale pięciometrowa, komfortowa limuzyna. Tyle naprawdę wystarczy. Tym bardziej że auto oddaje chętnie moc w każdym zakresie legalnych prędkości. Innymi słowy, ID.7 jest szybki nie tylko w zakresie 0–100 km/h, ale równie chętnie pokazuje dynamikę powyżej tej prędkości. Przyspieszenie od 100 do 140 km/h zajmuje nieco ponad 4 sekundy. Żadnych problemów z wyprzedzaniem kogokolwiek.

Istotne jest też to, że ID.7 niemal nie pokazuje spadku dynamiki wraz z rozładowaniem akumulatora. To nie jest takie oczywiste w autach elektrycznych. Np. Cupra dla modelu Born jawnie deklaruje, że maksymalną moc i przyspieszenie uzyskasz tylko pod warunkiem, że akumulator będzie naładowany ponad 80% i że temperatura baterii (i otoczenia) będzie odpowiednia. Wielu producentów milczy na ten temat i dopiero w testach wychodzi, że np. przy 50-procentowym stanie naładowania akumulatora trakcyjnego dany model przyspiesza znacznie gorzej, niż deklaruje specyfikacja producenta. Tymczasem ID.7 z 23% zapasem energii wciąż uzyskiwał 100 km/h po 6,8 sekundy i mieścił się w czasie poniżej 5 sekund od 100 do 140 km/h. Rewelacja!



Dobra, zostawmy już ten napęd, jest świetny: doskonałe połączenie dynamiki z efektywnością energetyczną. Nie ma albo-albo. Jedziesz, jak chcesz, a auto nie zużywa wiele. Skupmy się jednak na innych walorach, bo i tych nie brakuje. Wnętrze to nie tylko ciekawie zaprojektowany, minimalistyczny kokpit, bardzo wygodne fotele z rewelacyjnymi masażami (lepszymi niż spotkałem w niektórych modelach segmentu premium), podgrzewaniem, wentylacją, a nawet... suszeniem (!), duża przestrzeń na tylnej kanapie (także nad głowami i tych wyższych pasażerów), ale przede wszystkim bardzo duży ekran multimedialny. I tu znowu bardzo miłe zaskoczenie. Nowy ID. Software 4.0 na tym ekranie śmiga aż miło! Oczywiście Apple CarPlay i Android Auto działają bezprzewodowo, parowanie jest bardzo szybkie, aktywacja już sparowanego urządzenia po uruchomieniu auta też szybka (w wielu modelach udawało się już ujechać kawałek, zanim Apple CarPlay zaskoczył, tu tego problemu nie ma), żadnego zrywania połączeń. Do tego przyjemne nagłośnienie (system audio Harman Kardon). Owszem, może nie aż tak doskonałe, jak Bowers & Wilkins w topowych modelach Volvo, ale dzięki świetnemu wyciszeniu (podwójnie klejone szyby boczne, także te z tyłu) słuchanie muzyki w dłuższej trasie podczas jazdy ID.7 jest po prostu przyjemnością. Przypominam o rewelacyjnych masażach.





A jak z ładowaniem? I w tym przypadku inżynierowie Volkswagena mogą mieć powód do dumy. Akumulator testowanego egzemplarza ma 77 kWh pojemności użytecznej (netto). Podpiąłem auto przy stanie 20% do szybkiej ładowarki o teoretycznej mocy 200 kW (ale gdy ładuje się inne auto, a z taką sytuacją się spotkałem, wówczas moc na złącze CCS spada do 100 kW). VW ID.7 teoretycznie jest w stanie przyjąć do 175 kW. Sporo jak na model oparty na 400-woltowej architekturze. Niemniej ze względu na fakt, iż nie byłem jedynym korzystającym z danej stacji ładowania, mogłem liczyć co najwyżej na 100 kW. ID.7 znowu mnie zaskoczył. Nie dość, że auto zaczęło szybko pobierać 97 kW mocy (według wskaźnika pokładowego komputera), to jeszcze trzymało tę moc do 70% stanu baterii. Do 80% naładowałem się w pół godziny, wówczas moc trochę spadła, ale wciąż było to 69 kW. Przy 86% było to 59 kW, przy 90% – 53 kW. Nawet przy 99% auto wciąż przyjmowało 30 kW. Krzywa ładowania w tym modelu jest świetna.

Istotny szczegół, aby tak było przy każdym ładowaniu, trzeba pamiętać o przygotowaniu baterii. Może to się zrobić samo, o ile ustawicie szybkość ładowarki jako cel w pokładowej nawigacji ID.7 (ale musi to być nawigacja dostarczana przez VW, a nie Apple CarPlay czy Android Auto), ewentualnie, jeśli wolicie nawigację ze smartfona przekazywanego na ekran





auta, ID.7 udostępnia funkcję „ręcznego” przygotowania baterii (dopasowanie jej optymalnej temperatury). Owszem, to pochłonie trochę energii, ale zyskujemy znacznie szybsze ładowanie. W przypadku gdy zamierzamy ładować się na naprawdę szybkiej ładowarce, warto pamiętać o takiej funkcji.

Czy ten samochód ma w ogóle jakieś wady? Owszem, np. ładowarka indukcyjna zrywa proces ładowania. Tak przynajmniej było w testowanym egzemplarzu. Nie wiem czemu. Próbowałem z kilkoma modelami smartfonów (zarówno iPhone, jak i Android) i często po kilku minutach ładowanie było przerywane, a na ekranie pojawiał się stosowny komunikat (smartfon nie miał etui, żeby nie było). Po drugie: brak frunka. Owszem, bagażnik jest tu przepastny, foremny, jest spory schowek pod podłogą, jakby tego było mało, jest jeszcze jeden schowek pod drugą (!) podłogą. Niemniej frunk pozwoliłby na wyjęcie kabla bez wyjmowania z zapakowanego bagażnika jakiegokolwiek bagażu. Jednak na tle całości te „wady” to co najwyżej przypadkowo zaproszony pyłek na naprawdę smakowitym torcie z Wolfsburga. To zdecydowanie najlepszy Volkswagen, jakim jeździłem i jedno z najlepszych aut w swoim segmencie, jakie



dziś można kupić. I jeszcze ten elektrochromatyczny szklany dach, który jednym gestem staje się mlecznym szkłem albo olbrzymią, przezroczystą szybą, przez którą widzisz niebo.

Ile ten wóz kosztuje? Nowy ID.7 startuje w cenniku niemieckiej marki od 267 690 zł. Testowana przeze mnie wersja Special Edition jest o 9000 zł droższa. Testowany egzemplarz widoczny na zdjęciach miał kilka dodatkowych opcji (w tym pompę ciepła za 5 330 zł, z której nie warto rezygnować, bo poprawia efektywność energetyczną). Finalnie użyzony egzemplarz, gdybym zamówił identyczną konfigurację, kosztuje 308 690 zł. Dużo? Dużo, ale jest wiele droższych aut, które są... po prostu gorsze.

VW ID.7 Special Edition



- Design: 4,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 6/6
- Wydajność: 6/6

+ Plusy:

- Duże auto łączące elegancki styl z lekko sportową sylwetką
- Minimalistyczne, ale bardzo funkcjonalne i przestronne wnętrze
- Kapitalne fotele z rewelacyjnym systemem wentylacji/ogrzewania i masażami
- Świetna automatyczna rekuperacja i bardzo dobra efektywność energetyczna napędu
- Bardzo dobra krzywa ładowania
- Świetne wyciszenie przy miło grającym systemie audio Harman Kardon
- Auto bardzo komfortowe w dłuższych trasach

- Minusy:

- Kapryśna ładowarka indukcyjna (zrywała ładowanie po kilku minutach)





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Land Rover Defender V8 130

Gdy nie lubisz kompromisów

Land Rover Defender to legenda. Ale Defender V8 jest niczym T-Rex wśród dinozaurów. To megaboss wśród Defenderów. Dla jednych samochód absurdalny, dla innych – ideał. Po tygodniu spędzonym za kierownicą tego molocha wiem jedno. To absolutnie bezkompromisowy samochód. Prawdziwy unikat w dzisiejszych czasach.





Na testy do naszej redakcji trafił nie tylko Defender z największym w gamie silnikiem. Potężnym, pięciolitrowym, turbodoładowanym monstrem z ośmioma cylindrami w układzie V. To również największy egzemplarz w gamie: Defender 130 (oprócz tego są jeszcze mniejsze wersje: 90 i 110). Przypomnę tylko, że od wprowadzenia najnowszej generacji tego modelu (debiut w 2019, na rynku od 2020), liczby 90, 110 i 130 nie odnoszą się już bezpośrednio do rozstawu osi w calach. Testowany niemal 5,4-metrowy gigant nie miał rozstawu osi przekraczającego 3,3 metra (co odpowiadałoby właśnie 130 calom), ale i tak ponad 3 metry robią wrażenie. Po prostu dziś 130-stka to największy Defender w gamie, choć rozstaw osi jest tu identyczny z wersją 110 (która ma po prostu krótszy kufer).

Nie zmienia to faktu, że to prawdziwe monstrum budzące respekt, ale przy bliższym poznaniu zaskakująco przyjazne, funkcjonalne, praktyczne, zapewniające wygodną podróż nawet 8 osobom. I żeby nie było, do trzeciego rzędu też się przymierzałem. Oczywiście nie ulega wątpliwości, że to duże auto. Wróć! To olbrzymie auto. Ma to swoje konsekwencje, szczególnie w mieście. Średnica zawracania sięgająca 13 metrów, gabaryty, sporych rozmiarów słupki A, czy widok do tyłu przesłaniany przez wystającą obręcz obudowy olbrzymiego koła zapasowego oraz istny gąszcz zagłówek nie ułatwiają manewrowania na ciasnych osiedlach i wąskich uliczkach.



Sytuację nieco ratują dwie rzeczy: umieszczona wysoko z tyłu kamera, której obraz jest przekazywany wprost do lusterka wstecznego (tryb wirtualnego lusterka wstecznego aktywujesz jednym ruchem, przekrzywiając lusterko) oraz znakomity system widoku 360° (łącznie z widokiem z boku, z góry itp.).

Wciśnięcie startera na zatłoczonym parkingu pełnym ludzi i budzące się do życia ze stłumionym bulgotem V8 daje zaskakujący efekt: wszyscy w okolicy odruchowo odwracają głowy, poszukując źródła brzmienia przypominającego nadchodzące trzęsienie ziemi. I nie, Defender V8 wcale nie jest głośny. Ruszając spokojnie, nie obudzisz sąsiadów. Niejeden hothatch bywa głośniejszy, ale przy dźwięku Defendera V8 jazgot kompaktowego „ściganta” brzmi co najwyżej jak ujadanie ratlerka.

Ten samochód w pełnym zakresie legalnych prędkości na drogach publicznych w ogóle się nie męczy. Jadąc 140 km/h autostradą, w ogóle nie czuć prędkości. Dynamika? Więcej niż dobra. W tym aucie masz do dyspozycji okrągłe 500 KM mocy maksymalnej i 610 Nm momentu obrotowego. Pozwala to katapultować tego mastodonta do 100 km/h w czasie 5,7 s. Owszem, są szybsze auta, tyle że jak asfalt się kończy, auta sportowe,





hothatche i szybkie elektryki muszą się zatrzymać. Defenderem jedziesz dalej. Wspomnę jeszcze o jednej ważnej kwestii. Auto jest szybkie, ale też ze mną na pokładzie waży prawie 2,8 tony. Co z hamulcami? Pragnę rozwiązać obawy. Land Rover sięgnął po wiedzę i doświadczenie magików spod Bergamo. Wielotłoczkowe zaciski Brembo na obu osiach są w stanie zatrzymać tego giganta ze 100 km/h na dystansie krótszym niż 40 metrów. Może tylko wspomnę, że mówimy o pojeździe, którego DMC to niemal 3,4 tony.

Niektórzy miłośnicy Land Roverów głoszą pogląd, że najnowszy Defender to już nie jest prawdziwy Defender. Powód? Nie jest to już konstrukcja oparta na ramie (jak niemal wszystkie rasowe pojazdy terenowe), lecz samonośna. Niektórzy narzekają też na brak sztywnych mostów (zamiast nich nowy Defender ma absolutnie fenomenalne, pneumatyczne, niezależne zawieszenie na obu osiach). Wiecie co? Takie poglądy głoszą ci, którzy po prostu tym autem nie jeździli. Fakt, że pojazd ma samonośne nadwozie, nie czyni z niego typowej osobówki. Choć konstrukcja nie jest ramowa, to pojazd jest iście pancerny. Nieważne, na jaką drogę wjedziecie, może być i brak drogi. Sztywność nadwozia tego auta jest doskonała. Naprawdę, nawet nie ma o czym dyskutować. Pneumatyczne miechy, regulowane



i dynamiczne, adaptacyjne zawieszenie, głębokość brodzenia nawet do 90 cm (85 cm przy szosowych nastawach pneumatyki), dwie blokady, reduktor, system All Terrain Progress Control z Terrain Response 2 z programem Dynamic, w pełni konfigurowalny tryb terenowy (zarówno predefiniowane nastawy na różne nawierzchnie, jak i opcja indywidualnego doboru parametrów). Wymieniać można długo, ale wniosek jest prosty: to auto da radę w terenie.

Owszem, akurat testowany egzemplarz mógłby być bardziej terenowy, niż był w istocie. Co go ograniczało? Bynajmniej nie układ jezdny. Chodzi głównie o rozmiar felg (aż 22 cale i dość niski profil 45, normalny w aucie osobowym, ale nie terenowym) i letnie opony, niby M+S, ale w istocie były to gumy szosowe, a nie w teren. To jednak żaden problem, wszak ogumienie w razie potrzeby właściciel może zmienić i wykorzystać cały obecny na pokładzie techniczny arsenał, pomagający w pokonaniu nieutwardzonych szlaków. Ze względu jednak na wspomniane wyposażenie egzemplarza testowego nie zapuszczałem się w wymagający offroad, ale nie raz zjechałem z asfaltu. Moja opinia o sztywności nadwozia i bardzo dobrych właściwościach jezdnych nie wzięła się z sufitu.





A jak na asfalcie? Nowy Defender 130 V8 jest po prostu bardzo komfortowym, pewnie prowadzącym się, dynamicznym SUV-em. Nie musisz martwić się, że szybsza jazda po autostradzie będzie wymagać większej koncentracji i myślenia po torze jazdy. Nic z tych rzeczy. Ten gigant prowadzi się pewnie, stabilnie, a pomagają też liczni asystenci kierowcy. Może z wyjątkiem automatycznie aktywowanego podczas rozruchu, wymaganego przez nowe unijne przepisy systemu alarmującego o przekroczeniu prędkości choćby o 1 km. Sęk w tym, że działa on dzięki rozpoznawaniu znaków, a nie zawsze rozpoznawanie działa tak, jak powinno. Ponadto oprogramowanie nie uwzględnia polskiej specyfiki, ale to nie jest wada testowanego Defendera, bo wszystkie nowoczesne auta tak mają. Tylko w Polsce ograniczenie prędkości obowiązuje do najbliższego skrzyżowania (czego nie uwzględnia kod w pojeździe) lub do znaku, który je odwołuje albo zmienia. Dobra wiadomość jest taka: unijnego alarmistę można wyłączyć. Zła: trzeba to robić po każdym uruchomieniu pojazdu, ale to nie wada Defendera, lecz cecha każdego modelu, którego wymogi homologacyjne zmusiły do obecności na pokładzie systemu ISA (Intelligent Speed Assistant).

Podróż uprzyjemnia też dobre audio, 700-watowy system Meridian Surround z 15 głośnikami (w tym subwoofer), czterostrefowa klima z pomiarem i filtracją zanieczyszczeń, bardzo dobry system multimedialny Pivi Pro



(z bezprzewodowym Apple CarPlay i Android Auto), wszechstronnie regulowane fotele (oczywiście z podgrzewaniem i wentylacją), ogrom przestrzeni (także w trzecim rzędzie, drugi jest przesuwany; można tak skonfigurować, by dorosłym zarówno w drugim, jak i trzecim rzędzie było wygodnie). Przy czym choć auto jest formalnie 8-osobowe, nazwałbym je realnie 7-osobowym. Dlaczego? Bo miejsce na środku drugiego (tak, drugiego, a nie trzeciego rzędu) jest najmniej wygodne. Wracając do wyposażenia: jest nawet chłodzony schowek w podłokietniku (i to z dwustopniowym nastawem chłodzenia), gniazd USB nie zabraknie nikomu, kierowca ma półeczkę indukcyjną, w bagażniku jest gniazdko 230 V. Sam bagażnik, zależnie od konfiguracji, mieści od ok. 300 litrów w konfiguracji 8-osobowej po niemal 2 metry sześcienne po złożeniu oparć trzeciego i drugiego rzędu (choć wówczas przestrzeń nie będzie płaska). Nieważne, jaką wyprawę planujesz. To auto dotrze do celu i zapewni wysoki komfort





Podczas robienia zdjęć Defender przyciągał spojrzenia przechodniów. Trudno się temu dziwić. Otrzymałem też klasyczne pytanie: ile to pali? Mogę wam udzielić odpowiedzi. Pięciolitrowe V8 umie wypić. Przy kierowcy pełnym temperamentu auto może mieć nieposkromiony apetyt. Górnej granicy nie ma. Gdy odbierałem auto z parku importera Inchcape JLR Poland, komputer pokładowy użyczonego egzemplarza prezentował mi szacowany zasięg w pełni zatankowanego pojazdu na... 447 km. A przypominę, że Defender 130 V8 ma 90-litrowy zbiornik paliwa. Jeżeli jednak preferujesz komfortową, spokojną jazdę (do czego ten wygodny gigant zachęca), w trasie nie wypije gigantycznych ilości. Mnie na dystansie 400 km udało się zejść poniżej 12 litrów na każde 100 km. Średnia z nieco ponad 5 tys. km w rękach różnych testerów wynosiła 18 litrów. Tyle mniej więcej zużyjesz w mieście. Offroad? Przekroczysz 20 l/100 km. Dynamiczna jazda? Sky is the limit.

Podsumowując: to, co chcę podkreślić, bo wyjątkowo dobrze udało się marce Land Rover, to uczynienie z surowego, terenowego Defendera auta znacznie bardziej komfortowego, luksusowego wręcz, pozbawionego surowości ramowego protoplasty. Jednocześnie niepozabawienie go





legendarnego potencjału terenowego, przy ponadprzeciętnej wygodzie, uniwersalności i wytrzymałości. W kabinie pasażerskiej znajdziemy mnóstwo główek imbusowych mocnych wkrętów, nadających wnętrzu pancernego sznytu. Wygląda to świetnie. Znacznie lepiej niż piano black w niejednym aucie segmentu premium. Cena? Tu również nie ma kompromisów. Cena podstawowa modelu Land Rover Defender 130 V8 startuje od 796 400 zł. Testowany egzemplarz wyceniono na 819 680 zł.

Land Rover Defender V8 130



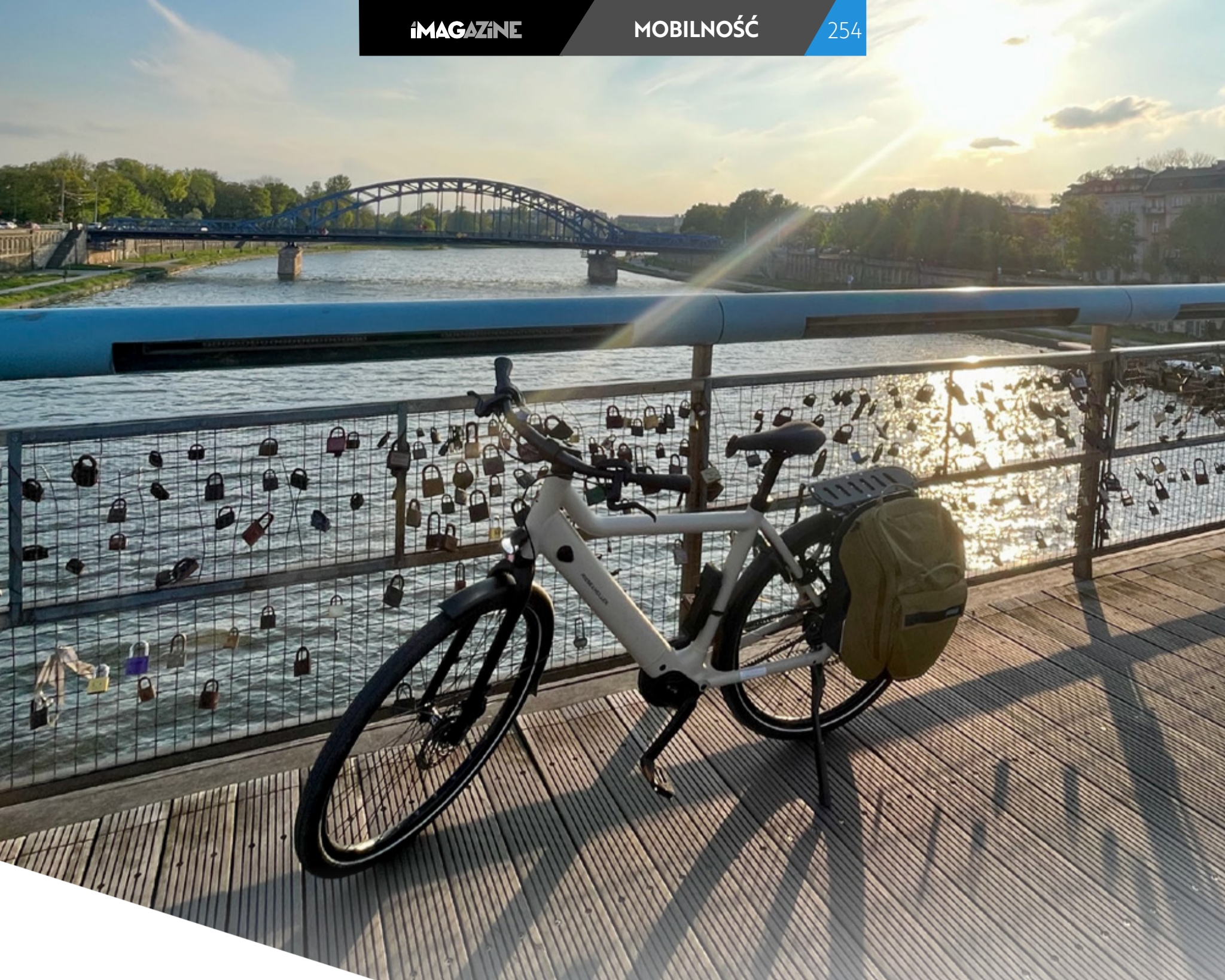
- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- Doskonałe reflektory matrycowe
- Dopracowane, funkcjonalne, komfortowe i pancerne wnętrze
- Doskonale pracująca przekładnia
- Bardzo dobry, intuicyjny i płynnie działający system multimedialny
- Ponadprzeciętna dynamika, zaskakująco precyzyjne prowadzenie
- Bezdyskusyjnie wysokie kompetencje offroadowe
- Szeroki zestaw asysty kierowcy
- Kapitalne zawieszenie pneumatyczne
- Dobre audio
- Wydajne hamulce Brembo

- Minusy:

- Przy komplecie pasażerów w dłuższą podróż się nie spakujesz



NAPOLEON BRYL
@napoleonbryl

Culture

Harmonia rowerowa

Ostatnie Bike Expo na Stadionie Narodowym utwierdziło mnie w przekonaniu, że rowery ze wspomaganiem są już wszędzie. Każdy znajdzie coś dla siebie, sportowe MTB, cargo i oczywiście miejskie. Trafił do mnie na testy przedstawiciel tego ostatniego segmentu, nowość od Riese & Müller – Culture – rower zapowiedziany na targach Eurobike 2023.





Stylowa nowość od niemieckiego producenta oparta jest na najnowszym silniku Bosch ze Smart System – Performance SX. Jest to najlżejszy silnik tego producenta, ważący 2 kg, przeznaczony do rowerów gravel i miejskich. Silnik i rozwijający się Bosch Smart System zasługują na osobną recenzję. Wróćmy do roweru.

Culture wprowadza nowy styl w portfolio producenta. Rowery R&M do tej pory były ostre i futurystyczne w swojej stylistyce. Nowy mieszczuch jest łagodniejszy, jednak nie odcina się kompletnie od wcześniejszego stylu projektowego. Grubość rur ramy jest proporcjonalnie dobrana, najgrubsza ukrywa baterię. Ciekawym rozwiązaniem jest wygięcie i obniżenie od strony mostka rury górnej, przy okazji jest praktyczne – wygodniej się wsiada na model „męski”. Zwracają uwagę też wykończenia tylnego trójkąta przy silniku. Całość zamyka czarny widelec i tylna lampka Buchel Nano COB wkomponowana w błotnik. Niektórych mogą razić wyraźne spawy widoczne w miejscach łączeń elementów ramy, są one celowo zostawione. Riese & Müller prowadzi politykę zmniejszania wpływu na środowisko, a jednym z jej elementów jest wykorzystywanie aluminium z recyklingu; rama Culture jest wykonana w 50% z niego. Niewygładzanie spawów i nieużywanie włókien węglowych jest również działaniem ograniczającym wpływ produkcji na środowisko.



Obejrzelismy, to jedziemy. Culture występuje w kilku wersjach napędu, Touring z łańcuchem i zewnętrzną 10-biegową przerzutką, Silent z 8-biegową przekładnią wewnętrzną Nexus i paskiem Gates oraz Vario z bezstopniową przekładnią **Enviolo 380** i paskiem Gates – ta ostatnia to moim zdaniem idealna konfiguracja dla codziennego roweru miejskiego i taka jest konfiguracja testowanego egzemplarza.

Za wspomaganie odpowiada nowy Bosch Performance SX, wspomaganie działa bardzo płynnie, przez większość czasu używałem trybu automatycznego doboru mocy wspomagania. Działa ono bardzo dobrze, zwiększa moc przy ruszaniu lub podczas jazdy pod górkę, dobrze też reaguje na mocniejszy nacisk na pedały i zwiększenie kadencji, kiedy chcemy przyspieszyć.

Testowy egzemplarz wyposażony jest w sterownik Purion 200 z małym kolorowym wyświetlaczem, pokazującym wszystkie niezbędne informacje: prędkość, zasięg, kadencję, moc etc. Kolejność i ilość informacji





możemy skonfigurować w **aplikacji Flow**. Purion 200 jest przykręcany do kierownicy, nie zdejmujemy go, gdy zostawiamy rower przypięty. Jest to bardzo wygodne – ile razy musiałem się wracać po komputerek, nie jestem w stanie zliczyć. Tutaj nie ma tego problemu.

System wspomagania jest zasilany przez baterię o pojemności 400 Wh ukrytą w ramie. Przy jeździe po mieście w trybie auto wystarcza na 60–70 km, w zależności od terenu i dynamiki jazdy. Dla tych, którzy chcą jeździć na trochę dłuższe wycieczki, Bosch oferuje baterię rozszerzającą 250 Wh montowaną jak bidon rowerowy.

Bateria właściwa jest niewyjmowalna przez użytkownika, można to zrobić tylko w serwisie. Takie rozwiązanie jest odpowiedzią na zapotrzebowanie rynku, przede wszystkim w Niemczech, Francji, Holandii, gdzie baterie bardzo często padają łupem złodziei. Niestety w polskich warunkach bateria zamontowana na stałe może być utrudnieniem, nie da się zabrać samej baterii do domu, żeby naładować, trzeba zabrać cały rower. Może też być utrudnieniem dla rowerzystów całorocznych; zimą przy



niskich temperaturach bateria będzie musiała być na mrozie przez kilka godzin, np. kiedy jesteśmy w pracy.

Na pewno obok R&M Culture nie da się przejść/przejechać obojętnie. Harmonijnie łączy nowoczesność z tradycją wygodnych miejskich rowerów. Projekt ramy i wykończenie zwracają uwagę do tego stopnia, że podczas mojego dotychczasowego 3-tygodniowego testowania zaczepiło mnie kilka osób na ulicy, pytając, co to jest ten ładny rower.

Jeżeli szukacie stylowego, niebanalnego roweru do codziennego poruszania się po mieście, to Culture będzie idealnym rozwiązaniem. Cena testowanej konfiguracji to około 20 500 zł.



Jaki rower
wybrać,
by bezpiecznie
przewozić
małe dziecko?

1/2



www.roweremzdziekiem.pl



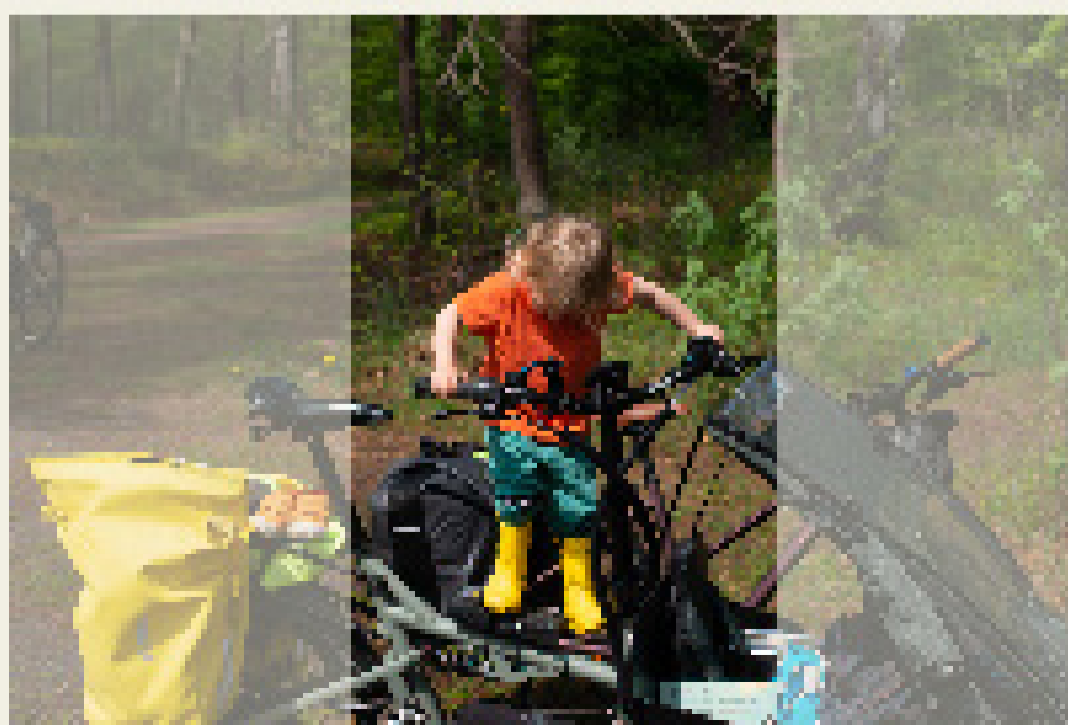
2/3

Jak przygotować
rower do
przewozu dzieci?

#bikewithkids   

3/3

Jak jeździć
z dzieckiem na
rowerze?



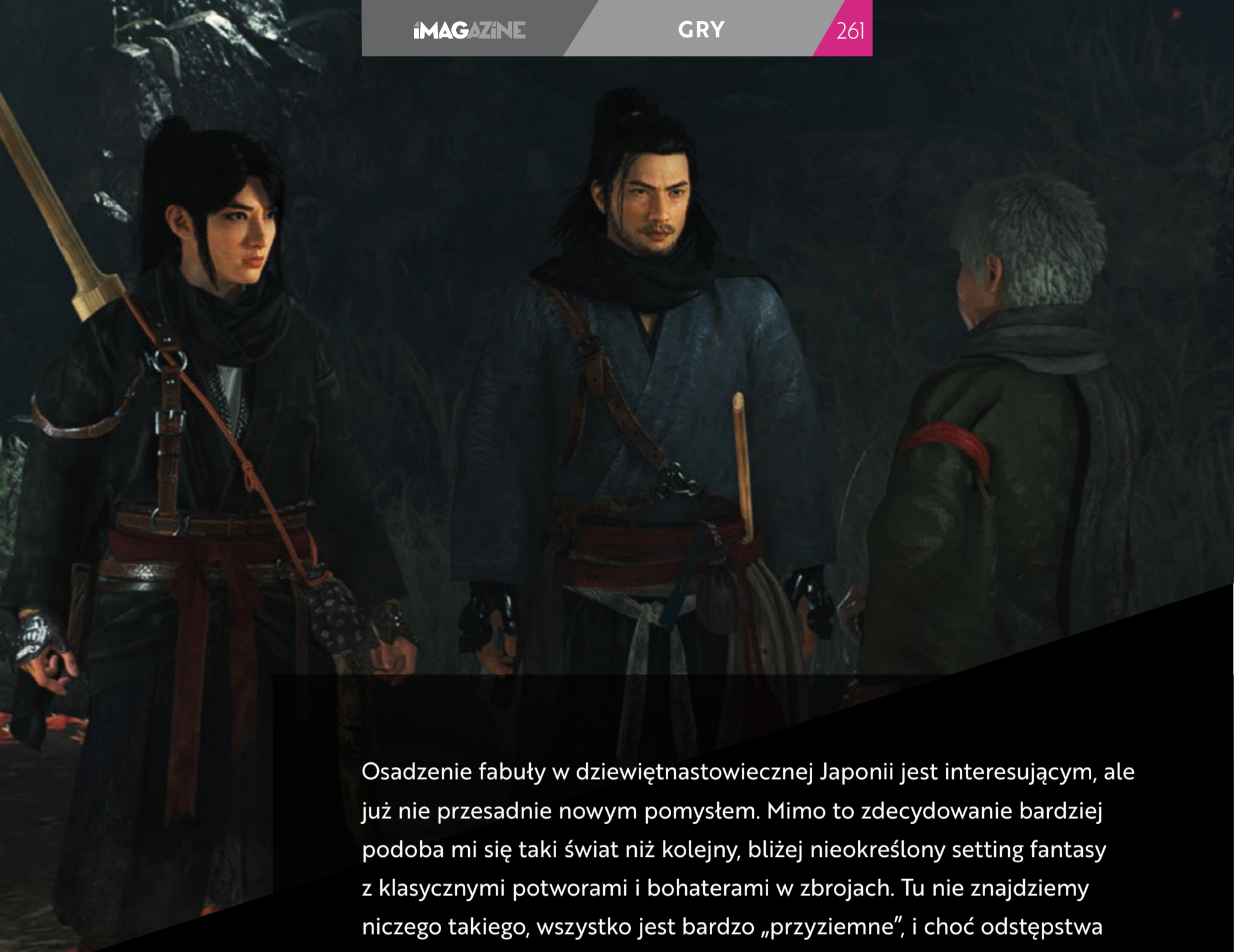


PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Rise of the Ronin – życie to walka

Szukając trudnych gier, sięgam zazwyczaj po mniejsze tytuły. Rise of the Ronin, będący tytułem ekskluzywnym dla PlayStation 5, potrafi być nie lada wyzwaniem, a to przecież gra AAA. Mam wrażenie, że twórcy do końca nie wiedzieli, jaki kierunek obrać, starając się dotrzeć do możliwie największej grupy odbiorców.



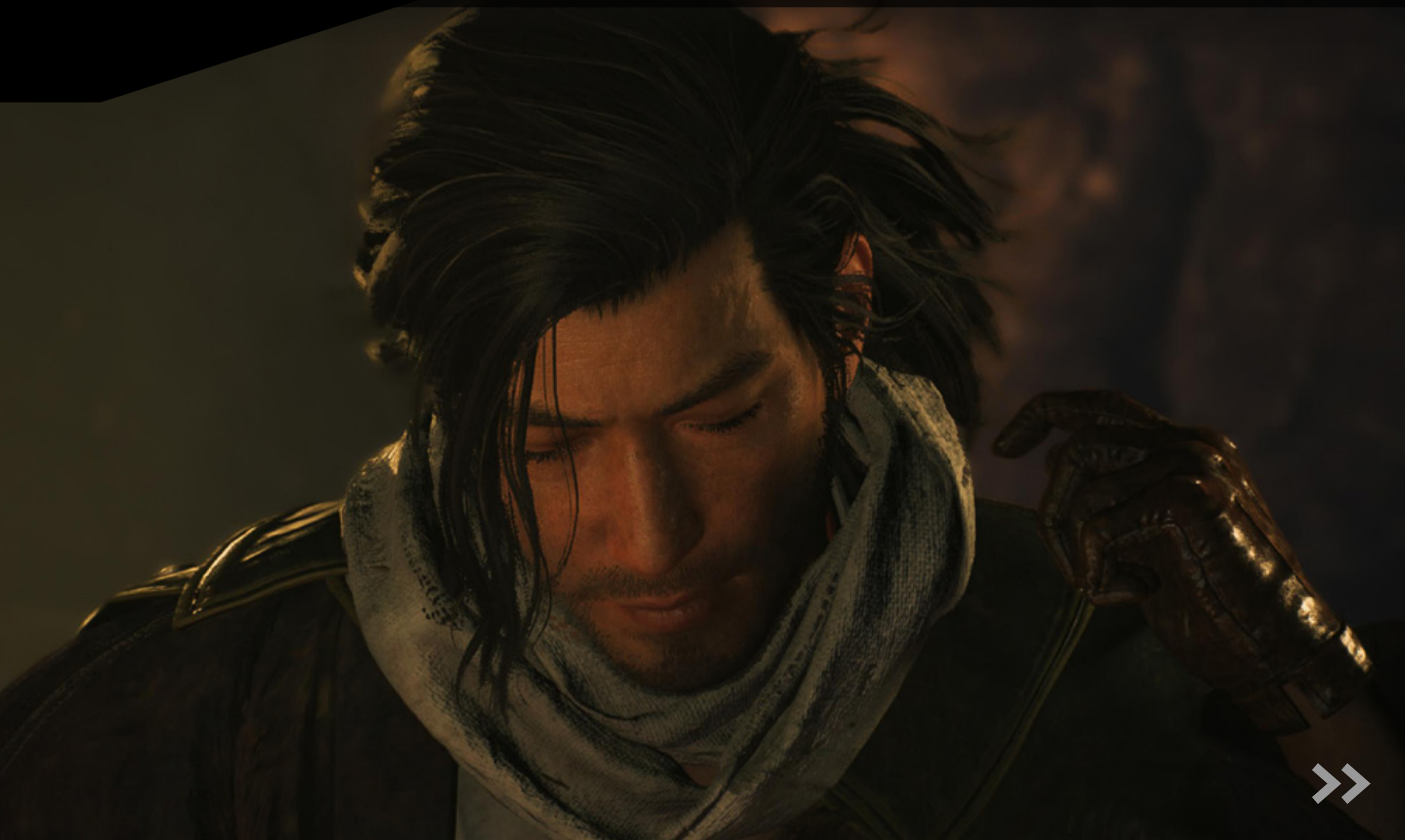


Osadzenie fabuły w dziewiętnastowiecznej Japonii jest interesującym, ale już nie przesadnie nowym pomysłem. Mimo to zdecydowanie bardziej podoba mi się taki świat niż kolejny, bliżej nieokreślony setting fantasy z klasycznymi potworami i bohaterami w zbrojach. Tu nie znajdziemy niczego takiego, wszystko jest bardzo „przyziemne”, i choć odstępstwa od realizmu się zdarzają, to są one akceptowalne i tłumaczone mechanikami gry. Rise of the Ronin opowiada historię tytułowego ronina, jednego z Bliźniąt Miecza, a więc wojownika szkolonego do walki w parze z drugim towarzyszem. W dość długim wprowadzeniu tracimy swojego partnera, zaraz później ruszamy w podróż przez otwierającą się na inne kraje Japonię, by poszukać pozostawionych przez niego śladów. W międzyczasie jesteśmy świadkami wydarzeń historycznych, spotykamy też postacie, które wywarły wpływ na ukształtowanie tego kraju, gra nie trzyma się jednak ściśle podręczników. Osadzenie akcji w tym okresie było świetnym posunięciem, bo mamy okazję przyjrzeć się obu stronom zawiązującego się konfliktu oraz uczestniczyć w działaniach na obu frontach. W historii brakuje często polotu i elementów zaskoczenia, niektórzy poboczni bohaterowie są wyraziści, jednak nie nadrabia to tego, że kierowana przez gracza postać jest niema i nawet gdy prowadzi dialog, jej kwestie nie są udźwiękowione, a jedynie wyświetlane na ekranie jako jedna z opcji odpowiedzi. Już Claude z GTA III miał mocniejszą osobowość. Nie pomaga dość



rozbudowany kreator postaci, w którym owszem, możemy dowolnie stworzyć oboje bohaterów (nie tylko naszą postać, ale i drugie Bliźnię Miecza, bo takim mianem określany jest utracony w prologu towarzysz).

Całą grę zbudowano wokół walki – zdarza się często, jest bardzo rozbudowana i wymagająca, a niezależnie od tego, jakie zadanie wykonujemy i tak prędzej czy później dobędziemy w nim miecza. Nie przeszkadza mi to zupełnie, bo system walki działa świetnie i nie pozwala na nudę, widać tu i doświadczenie twórców zdobyte podczas produkcji dwóch odston Nioh i świeże pomysły, dzięki którym miałem ochotę na nauczenie się, jak w ogóle grać w Rise of the Ronin. Początki są trudne, i to bardzo, niezależnie od wybranej broni jesteśmy słabi, ponadto walkę oparto na detekcji kolizji obiektów, a więc animacjach postaci i przeciwników, na dodatek wymaga ona refleksu i zarządzania wytrzymałością (nazwaną tu energią Ki). To naprawdę dużo, szczególnie jeśli wcześniej nie graliśmy zbyt często w podobne tytuły. Każdy pojedynek może być wyzwaniem, a nawet słabsi przeciwnicy potrafią szybko zbić pasek naszego życia do zera. Wycucie, jak efektywnie kontrować ciosy, by zmniejszać wytrzymałość wrogów,





jest niezmiernie trudne, zwłaszcza że w zależności od używanej przez nas broni kontry wyprowadzane są nieco inaczej. Paradoksalnie, najłatwiej jest poradzić sobie z najmocniejszymi atakami, których może i nie da się zablokować, ale jako jedyne sygnalizowane są krótkim błysnięciem, w którego czasie należy zrobić kontrę. Po wyprowadzeniu kilku z nich możemy odpowiedzieć potężnym ciosem, który jeśli nie zabije oponenta, to odbierze mu znaczną część zdrowia. Podczas walki możemy przełączać się między dwiema bronią głównymi i dwiema dystansowymi. Do dyspozycji mamy nie tylko katanę i szablę, ale i odachi, włócznię, naginatę i jeszcze kilka innych typów oręża. Na odległość możemy natomiast atakować łukiem, pistoletem, karabinem i bronią miotaną, jednak jej skuteczność, w porównaniu do broni białej, jest niewielka (choć strzał w głowę powali słabszych przeciwników natychmiast). Dodatkowo bronią białą można walczyć, używając różnych stylów. Te z kolei są mniej lub bardziej skuteczne w starciu z określonym przeciwnikiem. Proste? Nie, zdecydowanie nie. Rise of the Ronin wymaga poświęcenia mu czasu, by odnaleźć się w mechanikach i maksymalnie efektywnie je wykorzystywać. Z tego też powodu nikomu nie zalecam włączania od razu najwyższego poziomu trudności, można to zrobić w każdej chwili, więc nie warto od razu się zniechęcać.



Zróznicowanie przeciwników jest całkiem spore, bo choć walczymy tylko z ludźmi i sporadycznie, ze zwierzętami, to używana broń i „miks”, z jakim się mierzymy, czynią każde starcie unikalnym. Jeśli dodamy do tego bosów (których jest mnóstwo), mających własne ataki specjalne i towarzyszy, którzy mogą nam pomagać, walka nie stanie się powtarzalna przez długie godziny. Trzymanie się realizmu ogranicza pulę przeciwników, ale spotkamy i takich, którzy są wzrostu dwóch normalnych ludzi, dzierżą w ręku niemal wyrwane z korzeniami, kilkunastoletnie drzewo i poruszają się szybciej, niż my machamy kataną. Realizm, jak wspominałem, jest, ale naginany w granicach rozsądku do potrzeb gry. Nie sposób też uznać za realistyczne to, ile razy trzeba trafić wroga, by ten padł – nawet po przyjęciu strzały w czoło mocniejsi wrogowie wstają i ruszają na nas z uzasadnionym rozjuszeniem. Do walki można wykorzystać niektóre elementy otoczenia, da się nimi rzucić w oponentów, podpalając ich bądź po prostu zadając obrażenia. Da się też chwilowo zatruć bądź podpalić ostrze za pomocą odpowiedniej osetki, którą możemy zrobić sami. Crafting ograniczony jest na szczęście do wyposażenia pokroju lekarstw i właśnie osetek, zbieranie materiałów również nie

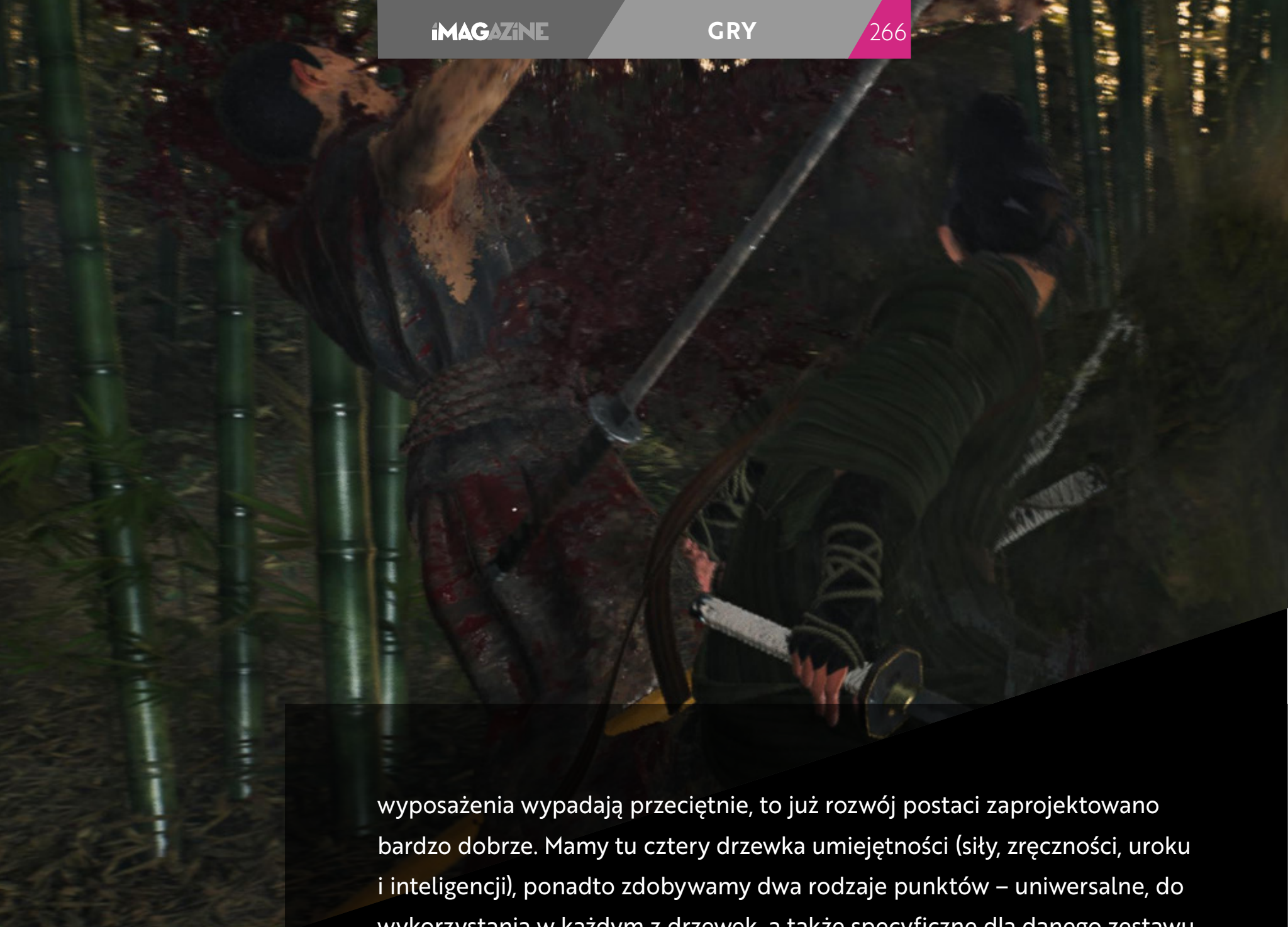


jest zbyt uciążliwe, głównie dzięki pozbyciu się animacji, co znacznie przyspieszyło ten proces. Owszem, ulepszając wyposażenie, też musimy mieć odpowiednie materiały, ale biorąc pod uwagę to, jak często je zmieniamy, bo co chwila znajdujemy lepszy sprzęt, to również nie jest uciążliwe. Prócz otwartej walki możemy wybrać też skradanie się, które zaprojektowano całkiem interesująco. Możemy po cichu likwidować wrogów za pomocą tanto lub kotwiczki, ewentualnie łuku, da się też ukryć w trawie czy, niczym Batman, rzucić się na oponenta z wysokości. Często skradanie kończy się i tak walką na miecze, przeciwnicy szybko zauważają takie likwidacje. Z drugiej jednak strony potrafią zignorować to, że kilkanaście metrów dalej siekamy ich towarzyszy, a ich głowy eksplodują od przeszywających je kul. Brzmi brutalnie? Bo powinno – Rise of the Ronin jest bardzo krwawe, a otrząsanie miecza z posoki stanowi kolejną mechanikę (brudny miecz zadaje mniejsze obrażenia). Mamy też oczywiście różnorodne wykończenia, rozczłonkowania wrogów i efektowne zbliżenia podczas tych animacji. Dawno nie grałem w tytuł, w którym aż tyle krwi wylewa się z każdego przeciwnika. Gra oferuje grę w kooperacji, zamknięte zadania można wykonywać razem ze znajomymi, ja jednak wolałem poznawać historię samemu.

Mimo przeciętnej grafiki i nierównej fabuły, a także słabego ekwipunku i generalnie braku innowacji, bawiłem się bardzo dobrze. Wszystko przez system walki, który chce się poznawać – pojedynki są trudne, męczące, wymagają koncentracji i precyzji.

Rise of the Ronin skupia się na walce, ale ma też wiele elementów RPG, i to niekoniecznie dobrze zaimplementowanych. Najbardziej przeszkadza liczba zbieranych przedmiotów – jest ich bardzo dużo, przy czym niemal wszystkie są zbędne, na dodatek u kupców nie da się zaznaczyć wielu, by je sprzedać. Zarządzanie ekwipunkiem działa nieźle, o ile w nim posprzątamy, przedmioty nie mają wielu statystyk, nie będziemy tu raczej bawić się w konstruowanie różnych buildów postaci (a już na pewno nie będzie to bardzo istotne). Zbieramy co najwyżej zestawy uzbrojenia, co daje nam dodatkowe bonusy – to akurat przyjemna strona zbieractwa w Rise of the Ronin. O ile kwestie





wyposażenia wypadają przeciętnie, to już rozwój postaci zaprojektowano bardzo dobrze. Mamy tu cztery drzewka umiejętności (siły, zręczności, uroku i inteligencji), ponadto zdobywamy dwa rodzaje punktów – uniwersalne, do wykorzystania w każdym z drzewek, a także specyficzne dla danego zestawu umiejętności. Punkty te zdobywamy, przetwarzając karmę (czyli doświadczenie) przy sztandarach rozrzuconych po mapie. Dotknięcie ich odradza słabszych wrogów (bossowie pozostają martwi), pozwala jednak zachować doświadczenie. W przeciwnym razie ginąc, stracimy je, a aby je odzyskać, będziemy musieli pokonać tego, kto zadał śmiertelny cios. To bardzo dobra mechanika, motywująca do rozważnego podejmowania się lub unikania walki. Gorzej, jeśli trafimy na znacznie silniejszego, oznaczonego na żółto lub czerwono wroga – taki przeciwnik jest znacznie silniejszy od nas i raczej nie mamy z nim szans (a tym bardziej – z grupą takowych). Występowanie znacznie mocniejszych wrogów z jednej strony spowalnia rozgrywkę i eksplorację, z drugiej jednak stanowi wyzwanie dla najwytrwalszych graczy.

Obszar gry podzielono na trzy spore, ale rozsądnie wypełnione zawartością mapy. Ten zabieg wyszedł świetnie, udało się uniknąć częstego skakania z jednego końca mapy na drugi. Aktywności są jednak wszędzie podobne, nie znajdziemy tu właściwie niczego, co nie pojawiłoby się w grach wcześniej. Moim ulubionym zajęciem pobocznym stało się



zbieranie kotów (każdego trzeba znaleźć i pogłaskać), a także zabijanie zbiegów, nagradzane rzadkimi przedmiotami. Prócz tego wyzwalamy obszary z rąk bandytów, odkrywamy sztandary, odwiedzamy charakterystyczne miejsca czy wykonujemy zadania od spotkanych osób. Niezależnie od tego, na czym pierwotnie mają polegać, właściwie w żadnym nie unikniemy walki. Nie przeszkadza mi to, bo nie doszukuję się w Rise of the Ronin rozbudowanej fabuły, a walka jest świetna, uprzedzam jednak wszystkich, którzy mają inne oczekiwania. Trudno zresztą z zaangażowaniem śledzić fabułę, jeśli dialogi polegają na pokazywaniu naszego rozmówcy w sposób przypominający gry Bethesda (i to nie jest komplement), trudno też o płynność konwersacji, skoro odpowiedzi naszego bohatera nie są udźwiękowane. Z drugiej strony dzięki mechanikom perswazji i kłamstwa rozmowy mają wpływ na wydarzenia w grze, szkoda więc, że od strony technicznej wyglądają tak słabo. Do przemieszczania się po świecie służą punkty szybkiej podróży, która faktycznie jest błyskawiczna – czas wczytywania to kilka sekund. Ponadto świat przemierzamy pieszo, konno, wykorzystujemy też linkę z hakiem oraz lotnię. Wspinanie się i pokonywanie przeszkód jest jednak ograniczone, to nie Assassin's Creed,



Preparat przeciwko Ki

Siarka: 2

3

2

0






w którym wejdziemy na wszystko, nawet po gładkiej, pionowej ścianie. Zróżnicowanie lokacji i rozrzucone wszędzie aktywności sprawiają, że świat chce się poznawać, nie miałem wrażenia znużenia widokami. Poziom szczegółowości jest jednak daleki od tego, jaki widzimy w grach Ubisoft, w miastach nie ma też tyle życia, niekiedy wydają się nieco puste.

Walka wyszła w grze świetnie, rozwój postaci i eksploracja również działają tak, jak powinny, jednak od strony wizualnej Rise of the Ronin prezentuje bardzo przeciętny poziom. Jest zdecydowanie gorzej, niż w Ghost of Tsushima, tytule sprzed czterech lat, który ogrywałem na zwykłym PlayStation 4. Nie potrafię ocenić, czy to kolorystyka, detale, czy efekty świetlne, ale momentami gra jest zwyczajnie brzydka, choć zazwyczaj wygląda po prostu nieźle. Możemy wybrać jeden z trzech trybów graficznych: wydajność, jakość oraz ray tracing, szczerze polecam ten pierwszy, bo zapewnia najwyższą, niezmiernie istotną w tak szybkiej grze, płynność. W pozostałych trybach grafika nadal jest średnia, ponadto w każdym zdarzają się spadki płynności animacji – dzieje się to rzadko, ale jednak występuje. Nie ma na szczęście innych problemów technicznych, i to pomimo rozmiaru tytułu. Mam za to problem z animacjami, bo o ile te podczas walki dopracowano, to już



poruszanie się po nierównościach (nawet takich, jak schody) powodują nieoczekiwane szarpanie płynności. To i tak nic w porównaniu z animacjami twarzy, które niemal nie istnieją – postacie mają mierną mimikę, a niektóre wyglądają tak, jakby nosiły maskę. Dotyczy to nawet głównego bohatera, którego martwy wzrok przeszywa wymownie gracza zawsze, gdy spojrzy w kamerę. Nie zdziwiłbym się, gdyby za ten element odpowiadali animatorzy pracujący kiedyś nad serią Gothic. Jest jeszcze muzyka, która, cóż, po prostu jest. Nie porywa, ale utrzymana jest w klimacie Dalekiego Wschodu, wypada właściwie tak, jak reszta oprawy audiowizualnej.

Mimo przeciętnej grafiki i nierównej fabuły, a także słabego ekwipunku i generalnie braku innowacji, bawiłem się bardzo dobrze. Wszystko przez system walki, który chce się poznawać – pojedynki są trudne, męczące, wymagają koncentracji i precyzji. Ponadto różnorodność starć czyni tytuł nieprzewidywalnym, nawet ta sama grupa przeciwników może stanowić inne wyzwanie, w zależności od tego, od kogo rozpoczniemy ich likwidację i jakiej taktyki użyjemy. Rise of the Ronin robi jedną rzecz świetnie i pozostałe średnio – jak widać, to wystarczy, by przykuć do ekranu na długie godziny.



nięciem Miecza
ugiego domu.





WOJTEK PIETRUSIEWICZ

@moridln

Fallout Shelter

Wielu z Was zapewne słyszało o genialnym serialu, który ostatnio pojawił się w ofercie Amazon Prime – „Fallout”. To serial na bazie słynnej, kultowej serii gier komputerowych o tej samej nazwie, ale jednocześnie niebazujący na ich scenariuszach, dzięki czemu... jest po prostu genialny. Zastosowano tam niesamowitą dawkę humoru, dramatyzmu oraz przemocy, które zbalansowano w nieznanym nam dotychczas sposób – efekt wyjątkowy. Miałem jednak o grze...

Otóż Fallout Shelter to gra ekonomiczna, w której widzimy przekrój bunkra, który musimy budować i rozwijać. Zarządzamy nie tylko ludźmi, ale musimy ich trenować, wykorzystywać ich zdolności w odpowiednich zadaniach, dbać o to, aby chcieli oni rodzić dzieci oraz oczywiście rozbudowywać sam bunkier o nowe pomieszczenia, z których każde służy do innego celu, a ich dostępność zależy od rozwoju innych części naszego



I need a sick de



społeczeństwa. Musimy się też przygotowywać na ataki z zewnątrz, usterki czy pożary wewnątrz i wiele innych niespodzianek, które na nas czyhają.

Ostrzegam, że uzależnia, ale jeśli chce się liznąć świata Fallout bez grania w pełną grę, to warto poświęcić tej pozycji chociaż kilka dni. Polecam zainstalować ją na iPadzie, bo większy ekran ułatwia rozgrywkę. Możecie też save'y trzymać opcjonalnie w iCloud, dzięki czemu można rozbudowywać ten sam bunkier w różnych urządzeniach.

Fallout Shelter
Cena: za darmo

Pobierz w
App Store





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moriDn

LaGuardia International Airport (KLGA)

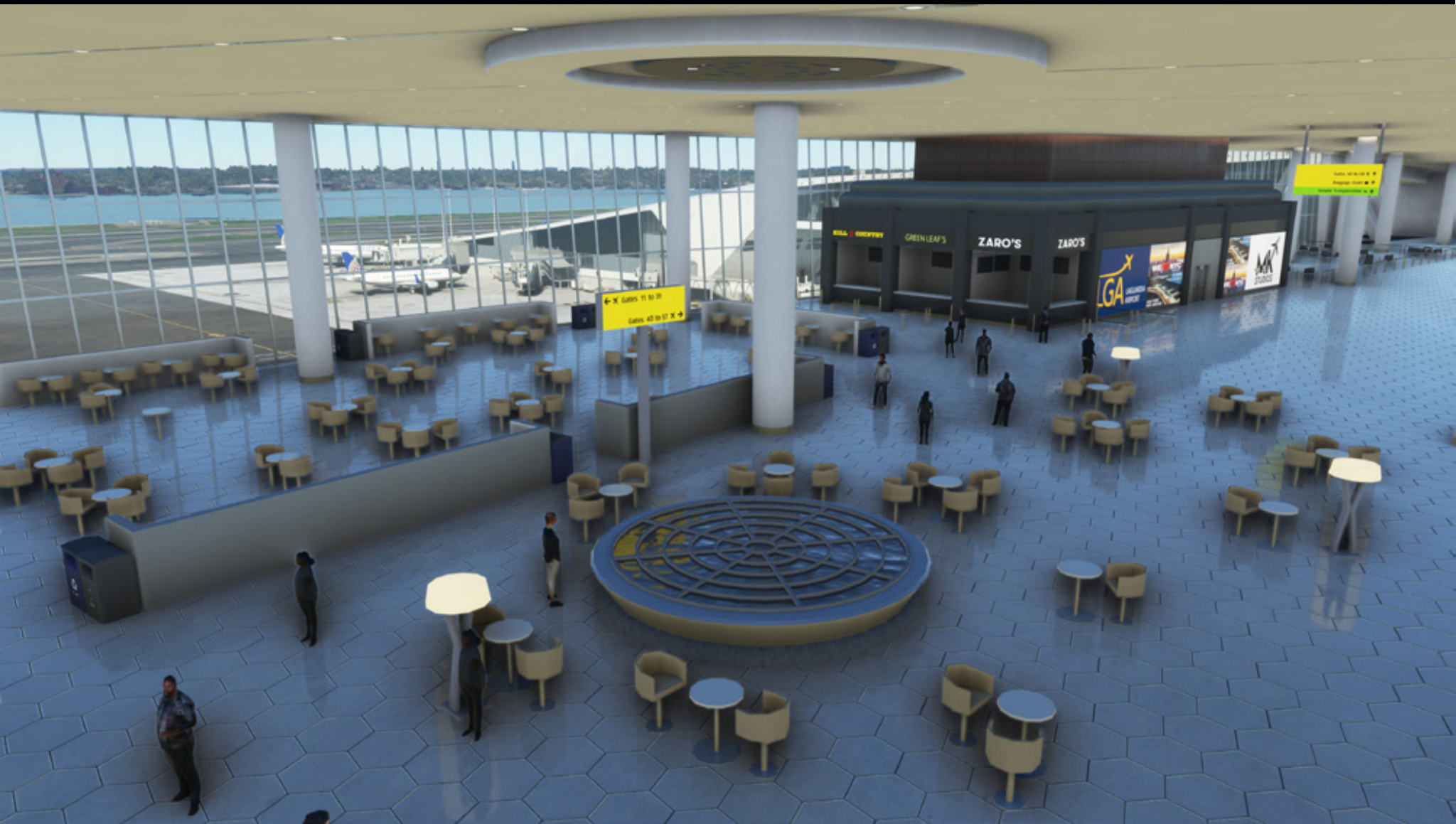
w partnerstwie z Orbx

Lotnisko LaGuardia (ICAO: KLGA; IATA: LGA), położone w dzielnicy Queens w Nowym Jorku, ma interesującą i bogatą historię, odzwierciedlającą rozwój lotnictwa komercyjnego i urbanizację miasta Nowy Jork. Lotnisko zostało oficjalnie otwarte w 1939 roku i jest jednym z najbardziej ruchliwych portów lotniczych w Stanach Zjednoczonych, obsługując głównie loty krajowe.

Historia LaGuardia rozpoczyna się w latach 30. XX wieku, kiedy to ówczesny burmistrz Nowego Jorku, Fiorello LaGuardia, lądował na lotnisku Newark w stanie New Jersey, ale żądał, by przetransportowano go do Nowego Jorku, argumentując, że jego bilet mówi „New York”. To wydarzenie podkreśliło potrzebę posiadania lotniska w samym Nowym Jorku. LaGuardia stał się orędownikiem budowy nowego lotniska, które ostatecznie powstało na Flushing Bay, na miejscu dawnego parku rozrywki i lotniska dla hydroplanów. LaGuardia została zaprojektowana przez Wallace’a Harrisona, a wyjątkowa architektura z tamtego okresu jest nadal widoczna w niektórych częściach obecnego terminala.









W latach 40. i 50. LaGuardia obsługiwało rosnącą liczbę pasażerów, co przyczyniło się do jego roli jako kluczowego lotniska dla mieszkańców i odwiedzających Nowy Jork. Jednak z biegiem czasu, jak również z powodu ograniczeń w zakresie długości pasów startowych, lotnisko nie mogło obsługiwać dużych odrzutowców, co przyczyniło do rozwoju innych lotnisk, w tym JFK i Newark.

Mimo to LaGuardia przeszła kilka ważnych renowacji i rozbudów, w tym modernizację terminali i poprawę infrastruktury. W ostatnich latach rozpoczęto szeroko zakrojony projekt renowacji lotniska, mający na celu modernizację terminali, poprawę doświadczeń pasażerów oraz zwiększenie efektywności operacyjnej. Nowoczesne udogodnienia, takie jak nowe hale odlotów i przylotów, mają na celu przystosowanie LaGuardia do nowoczesnych standardów lotnictwa komercyjnego.

Dziś LaGuardia nadal odgrywa kluczową rolę w systemie transportowym Nowego Jorku, będąc ważnym portem lotniczym dla podróży krajowych i regionalnych, a za jego cyfrowe odzwierciedlenie ponownie odpowiada MK Studios – polski deweloper wysokiej jakości dodatków dla Microsoft Flight Simulator 2020.

Produkt: LaGuardia International Airport (KLGA)

Symulator: Microsoft Flight Simulator 2020

Objętość po zainstalowaniu: 1,97 GB

Cena: 27,95 AUD / 17,02 EUR



WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moriDn

w partnerstwie z Orbx

Bologna Guglielmo Marconi Airport (LIPE)

Lotnisko Bologna Guglielmo Marconi, położone w północnej Italii, ma interesującą historię, która rozpoczyna się w pierwszej połowie XX wieku. Lotnisko jest nazwane na cześć słynnego włoskiego wynalazcy i noblisty Guglielma Marconiego, który urodził się w Bolonii.

Historia lotniska Bologna rozpoczyna się w latach 20. XX wieku, kiedy to pierwsze operacje lotnicze były prowadzone z prowizorycznych pasów startowych w okolicy. W roku 1931 zdecydowano o budowie prawdziwego portu lotniczego, który został oficjalnie otwarty w 1933 roku. Początkowo lotnisko służyło głównie celom wojskowym, a jego cywilne funkcje były ograniczone.

Po zakończeniu II wojny światowej, w miarę odbudowy kraju i wzrostu ruchu lotniczego, lotnisko zaczęło nabierać większego znaczenia jako port lotniczy dla cywilnych pasażerów. W latach 60. i 70. XX wieku lotnisko przeszło szereg rozbudów, które miały na celu przystosowanie do rosnącej liczby pasażerów i nowoczesnych samolotów. W tym okresie dodano nowe terminale i pasy startowe.







W latach 80. XX wieku lotnisko zostało nazwane imieniem Guglielma Marconiego, co miało na celu uhonorowanie jego wkładu w rozwój telekomunikacji i nauki. Od tego czasu port lotniczy Bologna Marconi stał się jednym z głównych węzłów komunikacyjnych w regionie Emilia-Romagna, obsługując nie tylko loty krajowe, ale także międzynarodowe.

W ostatnich latach lotnisko Bologna Marconi przeszło dalsze modernizacje, w tym rozbudowę terminali, rozwój infrastruktury do obsługi większych samolotów, a także wprowadzenie nowoczesnych technologii mających na celu poprawę doświadczeń pasażerów. Obecnie lotnisko obsługuje miliony pasażerów rocznie, oferując połączenia z wieloma miastami w Europie i poza nią.

Lotnisko w Bolonii dla Microsoft Flight Simulator 2020 odwzorował polski deweloper – MK Studios – który jest znany z wysokiej jakości prac. Pomimo że jest to niewielki port, zdecydowanie mniejszy niż inne jego kreacje, to nadal zachowuje wysoką jakość i przyciąga wzrok. Jak zwykle gorąco polecam.

Produkt: Bologna Guglielmo Marconi Airport (LIPE)

Symulator: Microsoft Flight Simulator 2020

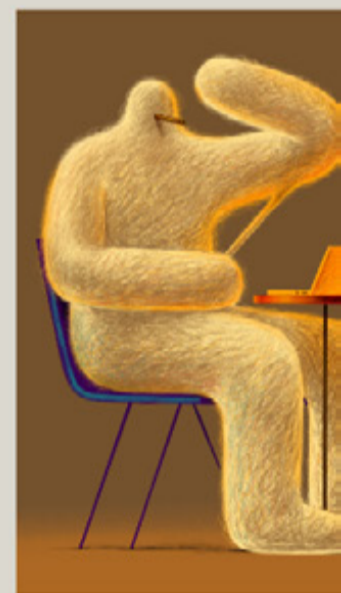
Objętość po zainstalowaniu: 1,95 GB

Cena: 21,95 AUD / 13,37 EUR

**Miśka
pewnie
już znasz?**



**Poznaj
resztę
ekipy...**





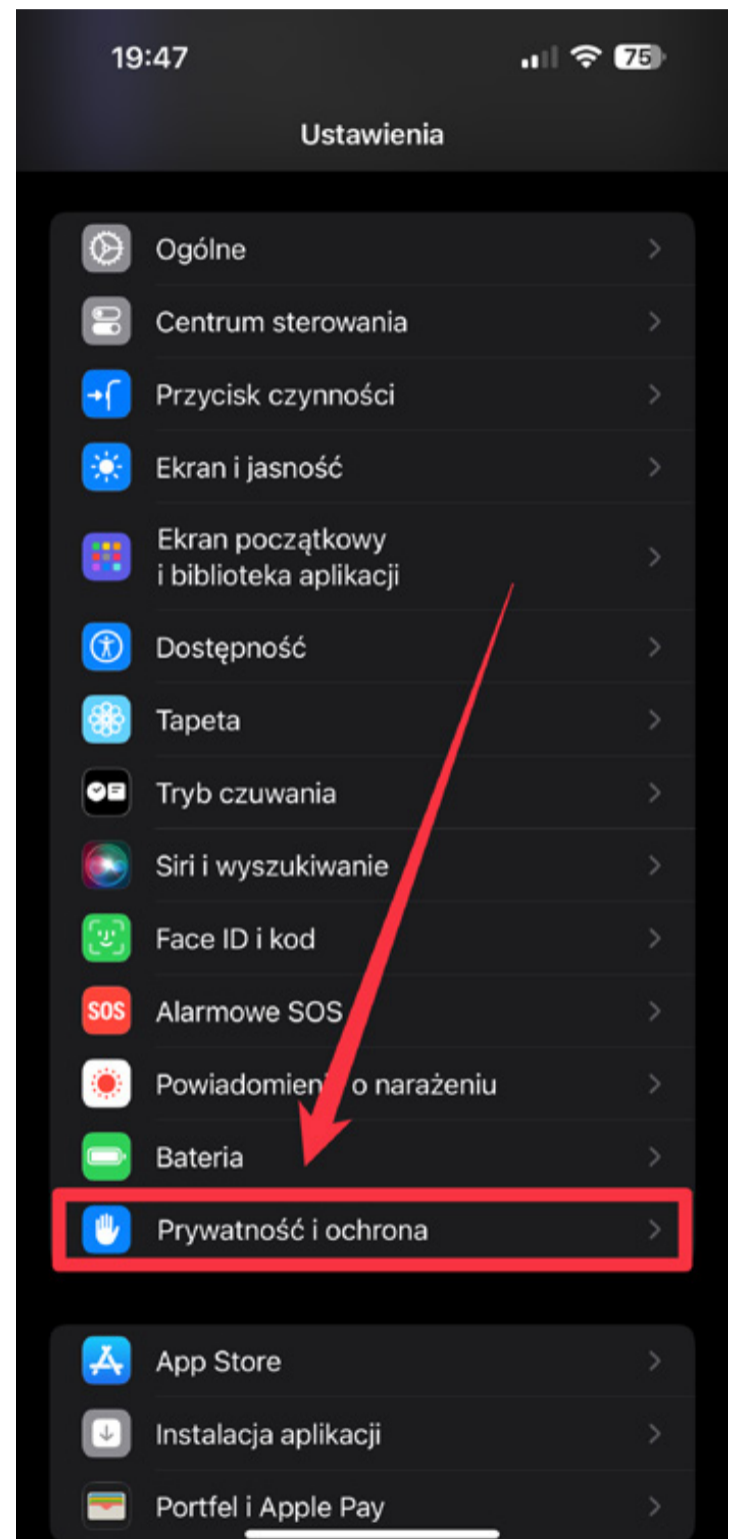
MACIEJ SKRZYPCZAK
@mskrzypczak

Dokładna lokalizacja w aplikacjach

Jednym z najczęstszych uprawnień, do których przeróżne aplikacje chcą mieć dostęp, jest nasza lokalizacja. W przypadku najróżniejszych map czy nawigacji jest to zupełnie zrozumiałe.

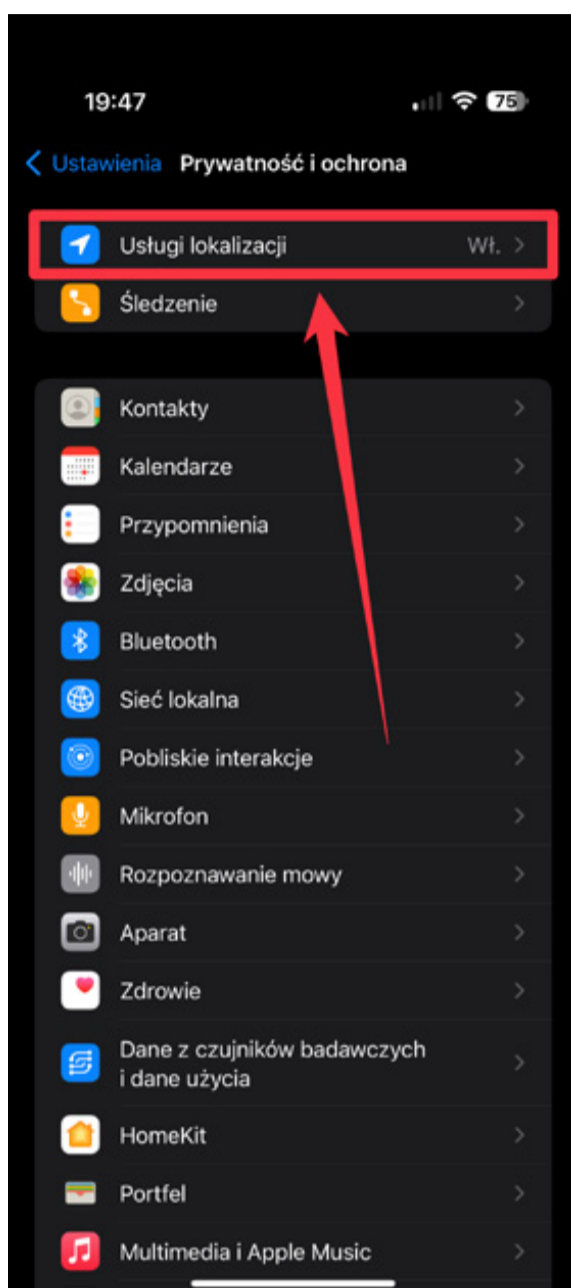
W pozostałych sytuacjach możemy wybrać spośród dwóch ustawień. Jedno z nich jest oczywiste – po prostu nie przyznamy danej aplikacji w ogóle praw do korzystania z naszej lokalizacji.

Druga możliwość to udostępnienie naszego położenia, ale tylko w przybliżeniu. Monit o wskazanie dokładności lokalizacji pojawia się tylko raz dla danej aplikacji. Ale nie oznacza to, że nie można tego zmienić później. Jak i gdzie?



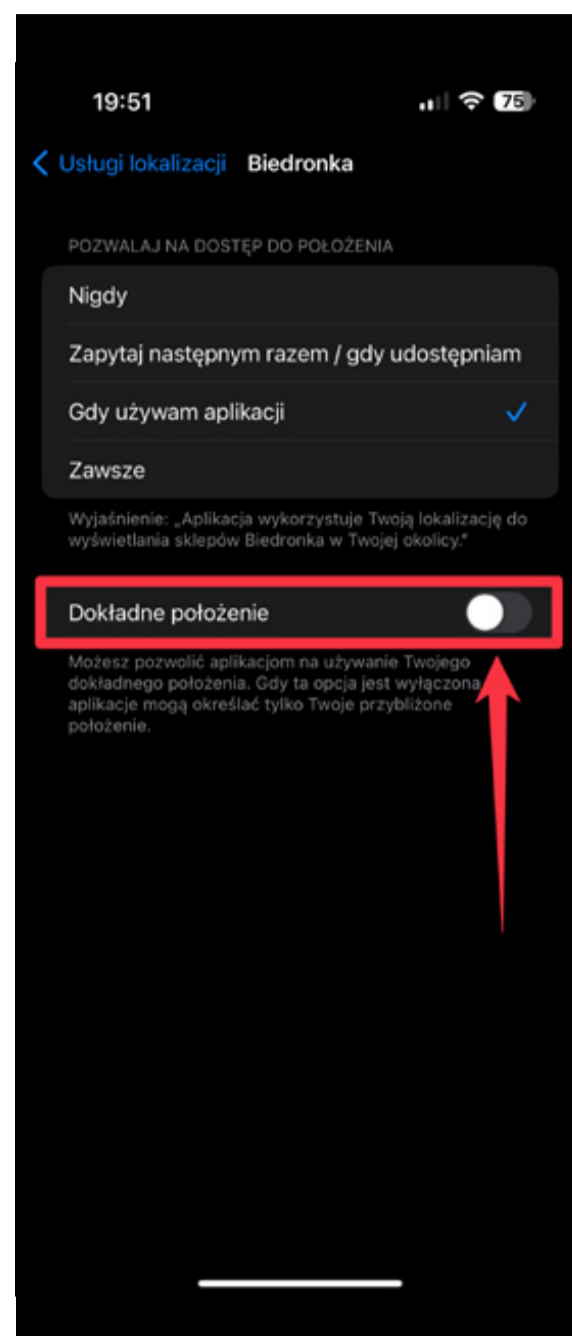
Rozpoczynamy od przejścia do aplikacji **Ustawienia**. Tam z kolei odszukujemy sekcję **Prywatność i ochrona**.





Następnie, na samej górze przechodzimy w **Usługi lokalizacji**.

Zobaczymy tu listę wszystkich zainstalowanych aplikacji, które prosiły o dostęp do lokalizacji oraz nasz wybór (strzałka przy jakiejś aplikacji wskazuje, że korzystała ona niedawno z naszego położenia).



Aby zmienić dokładność określania naszej lokalizacji, musimy przejść do ustawień konkretnej aplikacji. Tam, na samym dole, wyłączamy **Dokładne położenie**.





Podcast

bo czemu nie?

O TECHNOLOGII I NAS SAMYCH

zaprasza: Krzysztof Kołacz

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE



KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Zwolnij, biegaczu!

Kiedy piszę te słowa, pozostał tydzień do mojego startu w maratonie wiedeńskim 2024. Kiedy ty je czytasz, z łatwością zdołasz sprawdzić w sieci, jak mi poszło. Ten tekst nie będzie jednak poświęcony śrubowaniu biegowych wyników. Będzie o drodze, którą przeszedłem jako doświadczony biegacz, aby wystartować w maratonie. A wierz mi lub nie, było to najlepsze, na co mogłem postawić. Zwolniłem.



Zła góra

Biegam już ponad 8 lat. Kiedy zaczynałem w 2017 roku, ważyłem ponad sto kilogramów. Tak, nikt nie wierzy mi do dziś, ale doskonale pamiętam siebie z tamtego okresu. Jadłem astronomiczne ilości jedzenia, głównie wieczorami. O tej części historii szerzej opowiadałem w serii odcinków mojego podcastu „Bo czemu nie?“, a kiedyś na pewno zbiorę to jeszcze w formie pisanej. Na potrzeby dzisiejszego tekstu przeskoczmy w tej historii do momentu startu w pierwszym półmaratonie. To był Kraków, 2018 rok.

Jak na gościa, który biegał wtedy bez żadnego przygotowania trenerskiego, nie robił absolutnie żadnych treningów uzupełniających, nie wzmacniał w żaden sposób swojego ciała i w końcu żył w przekonaniu, że im szybciej, tym lepiej z treningu na trening, czas 1 godziny i 58 minut był świetny. Zwłaszcza przy braku kontuzji po wbiegnięciu na metę. Potem jednak przez długie lata nie zrobiłem z tym absolutnie nic. Nadal trenowałem na oślep, patrząc na wyniki tych gości, którzy bieganiu poświęcili całe dzieciństwo i życie.

To pierwsza zła góra, na którą próbowałem się wspiąć. Góra z wielkim napisem na szczycie: „Musisz szybciej!“. Nawet dziś znam ludzi, którzy kochają biegać, ale non stop coś im w tym bieganiu nie pasuje. Zdarza mi się słyszeć zdania pokroju: „Jeśli mam nie poprawić wyniku, nie startuję“. Lub: „Przeziębłam się. Wszystko na nic“. To bardzo przykre, kiedy mniej więcej w jednej trzeciej wspinaczki kończy ci się zapas wody i jedzenia, a ty po prostu nie wiesz, po co to w ogóle robisz. Zła góra nieosiągalnych na dany moment wyników prowadzi do mentalnego wypalenia, a bieganie czyni przekleństwem. Wyjście na trening bez wystania wyniku na Stravę lub bez zegarka jest niemożliwe.

To druga zła góra. Góra progresu, który wyznaczają parametry innych. Nie twoje. To moment, w którym ChatGPT albo gość z TikToka układa ci program treningowy, samemu biegając po norweskich górach. Bierzesz go za pewnik. Góry? Asfalt? Co za różnica! Byle szybciej. Płuca nie dają rady, nogi również, bo z gościa, który nie robił żadnych treningów uzupełniających, z dnia na dzień chodzisz trzy razy w tygodniu na godzinę morderczej siłowni i treningu

Zrozumiałem, że nie muszę martwić się o powolny progres. Dużo bardziej powinienem się martwić o wspinanie się na złą górę.



kardio. Ale biegniesz, bo my, biegacze, mamy już tak, że w pewnym momencie, gdzieś za połową wspinaczki na drugą złą górę, nasza mentalizacja i wizualizacja wydają się potężnymi siłami. Tryb przetrwania. „Nic mnie nie pokona”. No, chyba że... rozwolnienia na 17. kilometrze półmaratonu. Bo gdzieś ktoś nie wspomniał, że dieta też jest ważna. Przerabiałem. On też. Obaj nie polecamy tej drogi.

W końcu stajesz. Nie dasz rady dalej biec, bo po prostu brakuje ci tchu. I tego fizycznego, i mentalnego. Ściana. Przecież o niej pisali w poradnikach. „Dam radę, jak oni!”. Nie dajesz. Płuc nie oszukasz. Ograniczeń własnej budowy anatomicznej również. Oczekiwany progres okazuje się regresem. Góra, na którą się wspiąłeś, nie tą górą.

„Dam radę, jak oni!”. Nie dajesz. Płuc nie oszukasz. Ograniczeń własnej budowy anatomicznej również. Oczekiwany progres okazuje się regresem. Góra, na którą się wspiąłeś, nie tą górą.

Oddech

Przez ostatnie pięć miesięcy nauczyłem się na nowo biegać. Na nowo oddychać. Dostownie. I to nie tylko biegając. Budząc się, wstając z łóżka, medytując, spożywając posiłek, kładąc się spać. Oddychać przez wielkie O. Większość długich treningów biegałem na niskim tętnie. To dla gościa, który do niedawna myślał, że „im szybciej, tym lepiej” było, dostownie, jak znalezienie Świętego Graala. Pomógł w tym trener i metody mądrzejszych ode mnie i bardziej doświadczonych biegaczy, których tempo na kilometr ma trójkę lub dwójkę z przodu.

Przy okazji odkryłem, że pomiar tętna w dowolnym zegarku (Garmin, Apple Watch, Coros, bez różnicy) można sobie włożyć pomiędzy cztery litery, kiedy na poważnie się trenuje. Zaopatrzyłem się więc w pasek, który mierzy tętno na klatce piersiowej. Referencyjny Polar H10, do którego naukowcy odnoszą dokładność każdego innego urządzenia na rynku. Apple Watch i tak okazuje się mieć najdokładniejszy pomiar tętna z nadgarstka (odchylenie standardowe jest najbliższe pomiarom z H10), ale to za



Weź głębszy oddech i zastanów się, co jest faktycznie celem. Jesteś w 6% ludzkości, którym chce się włożyć buty i iść biegać.

mało. Kiedy musisz utrzymać tętno 135 uderzeń na minutę przez dziesięć, dwanaście lub trzydzieści kilometrów, potrzebujesz stałego pomiaru. Tu i teraz. Zawsze. Kręcące się czasami minutę, a czasami pięć minut serduszko na watchOS prędzej doprowadzi cię do zawału, niż w czymkolwiek pomoże. Dodatkowo, biegając z paskiem, oszczędzamy radykalnie baterię w Apple Watch, o czym więcej pisałem tutaj.

Bieganie na tętno uczy nie tylko oddychania przeponowego, ale przede wszystkim panowania nad głową. Kiedy przez lata wydawało ci się, że aby biegać na zawodach szybko, musisz realizować każdy trening najszybciej, jak się da, a potem te same 12 km robisz tempem z siódmką lub ósemką z przodu, dowiadujesz się, ile jest warta twoja psychika. Jak bardzo jesteś w stanie zaufać mądrzejszym od ciebie, schować ego do kieszeni i skupić się na celu. I wiecie co? To najlepsze, co mogło mnie w bieganiu spotkać!

Zrozumiałem, że nie muszę martwić się o powolny progres. Dużo bardziej powinienem się martwić o wspinanie się na złą górę.

Pokochałem bieganie na nowo. Pokochałem na nowo bieganie z podcastrami, bo czym innym jest przebiec 30 km w tempie zawodów (to robi się na zawodach!), a czym innym – zrobić to na spokojnie. Wtedy wiesz, czego słuchasz, a przy okazji faktycznie trenujesz swoje ciało. Kiedy masz dzień szybkich interwałów – twoja głowa wie, że bierze na trening ciszę lub muzykę. Że będzie ciężko i szybko. Ale kiedy po prostu idziesz na długie wybieganie – biegniesz. Kochasz to, że możesz biec.

Na świecie biega zaledwie 6% populacji. Sensowne wyniki w bieganiu długodystansowym osiąga 1% ludzkości. Jeśli nadal wydaje ci się, że biegasz za wolno albo że wszystko poszło w piach, bo twój organizm śmiało złapać przeziębienie – zatrzymaj się. Weź głębszy oddech i zastanów się, co jest faktycznie celem. Jesteś w 6% ludzkości, którym chce się włożyć buty i iść biegać. Dlaczego?





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

AI po naszymu, czyli czego oczekujemy po WWDC 2024

Do Apple Event otwierającego tegoroczną konferencję WWDC 2024 pozostał miesiąc. Czego tak naprawdę po niej oczekujemy?



Apple w tyle

Choć głównym wątkiem, który pojawia się absolutnie wszędzie w kontekście tegorocznego WWDC, jest generatywna sztuczna inteligencja w wykonaniu Apple, to ja chciałbym zwrócić waszą uwagę na to, dlaczego tak właśnie jest.

Apple nigdy nie było firmą, która prezentowała coś jako pierwsza. Musimy jednak pamiętać, że w ten sposób patrzymy na to z perspektywy naszej bańki technologicznej. Środowisko fanów Apple, w którym większość z nas jest, może, na poczekaniu, podać kilka argumentów w obronie rażących braków pierwszego iPhone'a, iPada czy Apple Watcha. Choć z tym ostatnim przeważnie idzie już nieco gorzej. Dla większości osób, które po prostu używają iPhone'a i wierzą mi, że nie pamiętają premiery pierwszego iPhone'a w 2007 roku, współczesny obraz Apple wygląda zupełnie inaczej.

Kiedy Samsung, Google czy Microsoft, a nawet przeglądarka internetowa Opera, mają już swoich własnych asystentów AI, Apple dopiero nieoficjalnie, przemycając informacje w postaci różnorodnych przecieków, buduje napięcie przed WWDC 2024. Wtedy to firma z Cupertino ma zaprezentować „swoją odpowiedź na ChatGPT” albo „nową Siri”, a według niektórych źródeł „zrewolucjonizować rynek AI”. Byłbym bardzo ostrożny z takimi stwierdzeniami. Nie dlatego, że nie wierzę w Apple, ale dlatego, że przez ostatnie 15 lat widziałem już naprawdę sporo odpowiedzi tej firmy na rynkowe trendy i żaden z nich nie był w 100% tym, o czym czytaliśmy w plotkach.

Apple nie musi udowadniać rynkowi, że umie zrobić własnego asystenta AI. Apple musi pokazać, jak ich asystent wykorzysta istniejący

Kiedy Samsung, Google czy Microsoft, a nawet przeglądarka internetowa Opera, mają już swoich własnych asystentów AI, Apple dopiero nieoficjalnie, przemycając informacje w postaci różnorodnych przecieków, buduje napięcie przed WWDC 2024.



ekosystem produktów i usług, aby odlecieć konkurencji na inną planetę.

AI po naszymu

Osobiście spodziewam się, że w tym roku pożegnamy ostatecznie Siri, którą Apple zastąpi nowym asystentem. Skrojonym pod ekosystem tej firmy i działającym w większości w trybie offline. Nawet jeśli firma Tima Cooka nawiąże współpracę z Google Gemini czy OpenAI w kontekście licencjonowania silnika, to całość możliwości AI w wykonaniu Apple zobaczymy dopiero po premierze iPhone'a 17, a wcześniej procesorów Apple M4, które mają być stworzone pod kątem obsługi sztucznej inteligencji.

Apple nie musi udowadniać rynkowi, że umie zrobić własnego asystenta AI. Apple musi pokazać, jak ich asystent wykorzysta istniejący ekosystem produktów i usług, aby odlecieć konkurencji na inną planetę.

Apple na tle konkurencji ma kontrolę nad dosłownie każdym elementem własnej układanki. Od śrubek, przez tranzystory we własnych procesorach, po powłokę ekranów własnych urządzeń. Żadna inna firma na świecie nie ma takiego fundamentu, na którym może zacząć projektować i ostatecznie stworzyć własną odpowiedź na erę generatywnej sztucznej inteligencji. Według własnych zasad i reguł, których wielu z nas nie będzie w stanie zrozumieć.

Ta historia może również potoczyć się w innym kierunku. Apple pozostanie przy Siri, która dostanie nowy mózg w postaci licencjonowanych silników AI, ale ostatecznie nadal będzie umiała mniej niż asystent np. od Samsunga. Dlaczego? Z uwagi na prywatność, której Apple nie poświęci w imię prześcignięcia konkurencji na skali możliwości



Co roku zastanawiamy się, czy na konferencji padnie słynne hasło „One More Thing”. W kontekście tegorocznego WWDC wątpię, że tak się stanie.

agentów AI. Agentów, bo Apple raczej nie zadowolą się prostym asystentem odpowiadającym na pytania użytkowników. Tego już spróbowali. Wyszła Siri.

Agent AI w wykonaniu Apple, w mojej ocenie, będzie dużo mniej widoczny niż u konkurencji. Będzie działał w tle, dając znać o swojej obecności w sytuacjach, w których faktycznie może pomóc użytkownikowi. Od pisania maila, przez analizę bezpieczeństwa i zdrowia klienta w czasie rzeczywistym, po operacje na zdjęciach. Nie spodziewam się, że AI w wykonaniu Apple będzie rewolucją na poziomie samych możliwości. Oczekuję, że będzie natomiast pokazem sprytu, na który Apple może sobie pozwolić, mając pełną kontrolę nad własnymi produktami.

I mając klientów, którzy oczekują czegoś więcej niż nadgonienia konkurencji. Skoro i tak muszą poczekać dłużej.

One More Thing?

Co roku zastanawiamy się, czy na konferencji padnie słynne hasło „One More Thing”. W kontekście tegorocznego WWDC wątpię, że tak się stanie. Jeśli jednak miałbym powiedzieć, o tym, co mogłoby się pod nim kryć, to byłoby to zupełnie nowe urządzenie, wsparte AI.

Coś, o czym nie słyszeliśmy zbyt wiele. Patrząc na współczesne Apple, gdyby firma utrzymała taką nowość w całkowitej tajemnicy, to byłoby zdecydowanie bardziej imponujące niż dodanie możliwości swobodnego rozmieszczenia ikon aplikacji na ekranach iOS 18...

Za takim Apple tęsknimy. Tym razem – wszyscy.





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Czy potrzebujemy przeprojektowanego Apple Watcha?

Według rozmaitych źródeł co najmniej jeden model Apple Watch, który Apple zaprezentuje w najbliższych latach, ma mieć zupełnie inny wygląd. Mówi się o zastosowaniu nowych materiałów wewnątrz urządzenia i wielu innych wodotryskach. Pytanie brzmi: czy potrzebujemy przeprojektowanego Apple Watcha?



Miejsce na wagę... miedzi

Apple ma zamiar wykorzystywać miedź pokrytą żywicą do produkcji płyt głównych kolejnych modeli zegarków. To cienka warstwa folii miedzianej pokrytej żywicą, taką jak żywica epoksydowa. Taka płyta logiczna będzie dzięki temu miała zwiększoną trwałość i wodoodporność. Ale przede wszystkim odzyska dla firmy dodatkową przestrzeń, którą Apple może wykorzystać do dodania nowych czujników lub odchudzenia urządzenia. O ile w przypadku modelu Ultra, jakiegokolwiek odchudzenie tego urządzenia wydaje mi się istotne, o tyle, jeśli mówimy o klasycznych modelach Apple Watch, to wątpię, aby Apple zdecydowało się na jakieś radykalne kroki. Dlaczego?

Po pierwsze dlatego, że wygląd Apple Watch, podobnie jak słuchawek AirPods, można i należy już uznawać za ikoniczny. Dla przykładu, Apple od samego początku nie chciało produkować okrągłych zegarków. Mimo że mija dekada, odkąd Apple Watch jest na rynku, to moim zdaniem wprowadzenie nowej bryły nie miałyoby dla Apple żadnego sensu. Raczej nie przyniosłoby też firmie rzeszy nowych klientów, ponieważ Apple Watch albo się już komuś spodobał, albo nie. Apple w swojej historii bardzo ostrożnie podchodzi do zmiany kierunku obranego dla pierwszych generacji urządzeń z danego segmentu rynku. I owszem, bryła Apple Watcha zmieniła się od 2015 roku, ale to raczej delikatny lifting niż radykalne zmiany.

Po drugie, Apple zdecydowanie będzie wolało wykorzystać odzyskaną w procesie produkcyjnym i projektowym przestrzeń na nowe czujniki monitorujące nasze zdrowie niż sztucznie odchudzać urządzenie. Delikatnie przeprojektowana obudowa i być może nowe paski, które według

Apple w swojej historii bardzo ostrożnie podchodzi do zmiany kierunku obranego dla pierwszych generacji urządzeń z danego segmentu rynku. I owszem, bryła Apple Watcha zmieniła się od 2015 roku, ale to raczej delikatny lifting niż radykalne zmiany.



wszelkich doniesień mają być niekompatybilne z dotychczasowymi (co pozwoli Apple zarobić, mówiąc zupełnie wprost) oraz kilka nowych czujników przekonają nawet tych, którzy używają zegarków z Cupertino od czasu premiery modeli Series 7.

I w końcu po trzecie, uwzględniając poprzedni punkt, uważam, że Apple będzie wolało wprowadzić do oferty dodatkowy model lub rodzaj koperty, niż wchodzić na nieznany grunt, zmieniając jej kształt. Dokładnie tak zrobiono z linią słuchawek AirPods czy ołówków Apple Pencil i nie spodziewam się, że tutaj będzie inaczej.

Spodziewam się raczej perfekcyjnie skalkulowanej i przemyślanej ewolucji niż rewolucji.

Ewolucja i jeszcze więcej danych

Uważam, że nie potrzebujemy radykalnie innego pod kątem wyglądu, nowego Apple Watcha. O wiele chętniej, z czym zgodzi się chyba każdy użytkownik zegarka od Apple, zapłacimy i przywitamy kolejne (być może jubileuszowe) urządzenie naręczne, które będzie w stanie monitorować jeszcze więcej parametrów naszego organizmu. I po prostu pomagać strzec naszego zdrowia.

Apple nie musi nikomu niczego już udowadniać. Jest producentem najpopularniejszego w historii ludzkości zegarka (ogółem). Dodatkowo urządzenia, które błyskawicznie stało się elementem mody wśród niemal każdej grupy klientów Apple. Bez względu na zasobność portfela. Firma będzie robiła wszystko, aby nie stracić tej pozycji.

Spodziewam się raczej perfekcyjnie skalkulowanej i przemyślanej ewolucji niż rewolucji.





rekomendowany przez

iMAGAZiNE

PODCAST

INNA KULTURA

Kultura to my, i to, jacy jesteśmy.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine



Fallout

Prób ciekawych filmowych lub serialowych adaptacji gier wideo nie było może wiele, ale przynajmniej kilka. Z różnym skutkiem, zazwyczaj jednak szala przechylała się w stronę tych nieudanych. Nie zniechęca to jednak twórców, by próbować dalej. Na szczęście niektórym się udaje zrobić coś, czego nie będzie wstyd oglądać.





Tym kimś jest Nolan. Ale nie Christopher, a Jonathan, czyli brat tego pierwszego, z którym wspólnie zrobili w przeszłości kilka filmów. Młodszy z braci ma już doświadczenie w tworzeniu wartościowych seriali – to on jest odpowiedzialny między innymi za „Westworld” – więc nie dziwiło mnie specjalnie, że jego nowa produkcja spodobała się fanom. Nawet tak wybrednym, jak fani serii gier. Choć sam nigdy nie grałem w nic, co podpisane byłem jako „Fallout”, to opinia, że znajomość tych tytułów nie jest niezbędna do dobrej zabawy na serialu, ucieszyła mnie i zachęciła do wciśnięcia play.

Serial składa się z ośmiu niemal godzinnych odcinków (już potwierdzono, że powstanie drugi sezon), a jego akcja toczy się w dalekiej postapokaliptycznej przyszłości. W świecie przedstawionym spotkamy różne klasy ludzi, półludzi, zwierząt i rozmaitych innych istot. Na pewno doskonale się w nim odnajdą przede wszystkim fani gier, jednak próg wejścia w serialową wersję tego uniwersum na szczęście nie jest wysoki. Choć przyznaję, że pierwsze półtora odcinka mnie nieco wymęczyło. Jednak po domknięciu już całej ekspozycji zaczęły się tam dziać rzeczy i to takie, jakie lubimy najbardziej.

Na pierwszym planie mamy trójkę bohaterów: Lucy MacLean, Maksimusa oraz Ghoula/Coopera Howarda. W rolę Lucy wciela się Ella Purnell, którą część widzów na pewno może skojarzyć z serialu „Yellowjackets”. Natomiast pod charakteryzacją Ghoula ukrywa się doskonały jak zwykle Walton Goggins – uwielbiam tego aktora, a moją olbrzymią sympatię zdobył już przeszło 15 lat temu w serialu „Justified”. Znajomych twarze zobaczymy tutaj



więcej, ale pojawiają się one na drugim, a nawet trzecim planie. Prym wiedzie podana wyżej trójka, której drogi, początkowo samotne, w końcu się krzyżują.

Jaki jest „Fallout”? Cóż, można powiedzieć, że jeśli ktoś miał zrobić ten serial, to musiał być za niego odpowiedzialny Amazon. Myślę, że tylko ta platforma streamingowa tworzy seriale, które w swoim założeniu muszą być totalnie odjechane, pełne specyficznego poczucia humoru, ale i brutalności. Nie trzeba daleko szukać, bowiem wystarczy przywołać takie tytuły jak „The Boys” czy „Reacher”, by wiedzieć, o co chodzi. W tym wszystkim serial nie jest odpychający, a sprawia, że chcemy tego świata i jego bohaterów chłonąć więcej i więcej. Niestety Amazon popełnij moim zdaniem jeden zasadniczy błąd w przypadku modelu dystrybucji i wypuścił cały sezon w jednym rzucie. Otóż tydzień po premierze nikt już praktycznie o tym serialu nie mówił. Szkoda, bo jest o czym. To ciekawa wizja przyszłości – choć niezbyt kolorowa – i cały świat przedstawiony w serialu jest czymś naprawdę magnetyzującym.

Może nie jest to najlepszy serial, jaki w tym roku zobaczyłem, ale zdecydowanie nie żałuję poświęconego mu czasu. Oczywiście nie jest to coś, co polecę też każdemu, bo jego specyficzny klimat i realizacja nie do każdego gustu przemówią. Nie polecę go również osobom będącym fanami gier, bo... one już go zapewne dawno obejrzały. Ciekawi mnie bardzo drugi sezon. Produkcje Amazon często rozwijają w kolejnych seriach skrzydła, ale też nie jest to reguła. Zobaczymy. Na ten moment napiszę tylko, żeby dać „Fallout” szansę, jeśli ktoś jeszcze się zastanawia nad jego włączeniem.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine



Civil War

„Diuna 2” była zdecydowanie jednym z głośniejszych filmowych tytułów pierwszych miesięcy 2024 roku. Jednak wiedzieliśmy mniej więcej, czego możemy się spodziewać po tej kontynuacji. O wiele ciekawszą pozycją był natomiast najnowszy film Aleksa Garlanda pt. „Civil War”.

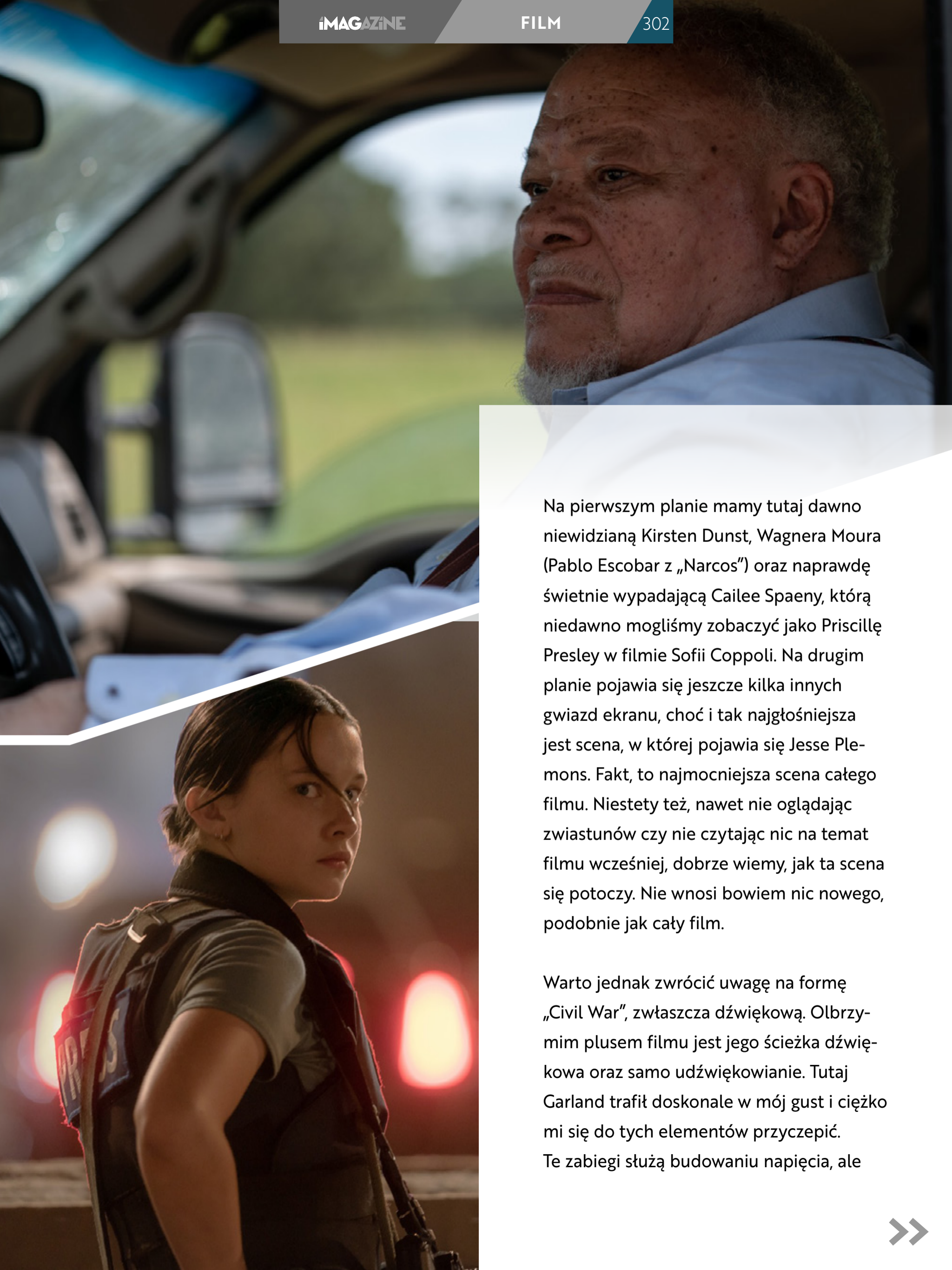


Twórca „Ex Machiny” powrócił z najdroższą produkcją studia A24, będącą spojrzeniem na bezsens wojny i rolę, jaką odgrywają media w relacji z konfliktów zbrojnych. Choć nie można „Civil War” odmówić ciekawej formy i z pozoru trafnego komentarza, ostatecznie jest on niczym więcej, jak nieco wtórną wydmuszką. Szkoda, bo momentami nawet mi się on podobał.

Przez pierwszy tydzień po premierze nowego filmu Garlanda nie słyszałem nic, poza zachwytaami. Osobiście nie miałem co do niego żadnych oczekiwań i nawet nie wiedziałem, czy faktycznie wybiorę się na seans do kina. Jednak chęć sprawdzenia jakości filmu była we mnie silniejsza. Niestety, kolejny hype, kolejne rozczarowanie. Czy problem jest ze mną, czy z filmami?

„Civil War” opowiada historię kilkorga korespondentów wojennych, tworzących relacje z frontu. Tym razem ten front znajduje się w Stanach Zjednoczonych, gdzie panuje tytułowa wojna domowa. Tak naprawdę nie jest dla nas istotne, kto jest za czym i dlaczego jedni walczą z drugimi. Nie ma w tym najmniejszego sensu, tak jak według reżysera nie ma sensu w wojnie. Ciężko się z tym nie zgodzić. Ten i reszta komentarzy, jakie możemy wyczytać z tego obrazu, jest dość płytka i nie wchodzi głębiej, wewnątrz tkanki, tak jakby się tego mogło oczekiwać po filmie.





Na pierwszym planie mamy tutaj dawno niewidzianą Kirsten Dunst, Wagnera Moura (Pablo Escobar z „Narcos”) oraz naprawdę świetnie wypadającą Cailee Spaeny, którą niedawno mogliśmy zobaczyć jako Priscillę Presley w filmie Sofii Coppoli. Na drugim planie pojawia się jeszcze kilka innych gwiazd ekranu, choć i tak najgłośniejsza jest scena, w której pojawia się Jesse Plemons. Fakt, to najmocniejsza scena całego filmu. Niestety też, nawet nie oglądając zwiastunów czy nie czytając nic na temat filmu wcześniej, dobrze wiemy, jak ta scena się potoczy. Nie wnosi bowiem nic nowego, podobnie jak cały film.

Warto jednak zwrócić uwagę na formę „Civil War”, zwłaszcza dźwiękową. Olbrzymim plusem filmu jest jego ścieżka dźwiękowa oraz samo udźwiękowianie. Tutaj Garland trafił doskonale w mój gust i ciężko mi się do tych elementów przyczepić. Te zabiegi służą budowaniu napięcia, ale



szkoda, że niczym zbyt mocno nadmuchany balon to napięcie pęka.

Odnoszę wrażenie, że Alex Garland naoglądał się „Czasu apokalipsy” i chciał być drugim Coppolą. Niestety mu to nie wyszło. Temat wojny był już przerabiany w kinie wielokrotnie i ciężko jest tu powiedzieć coś nowego. Można spróbować powiedzieć to samo, ale nieco inaczej. Reżyser „Civil War” owszem, spróbował, ale również widać, że bardziej podglądał to, jak kiedyś opowiadali inni i spisał od nich pracę domową, zmieniając przecinki tu i ówdzie. Nauczycielka się jednak potapała i krzyknęła: „siadaj, pała!”

Doskonale rozumiem, dlaczego ten film może się podobać widzom. Naprawdę. Ale czy faktycznie potrzebujemy kolejnego walenia łopata po głowie i mówienia, że wojna jest zła. No jest. Alex Garland zapowiedział, że to jego ostatni film, ponieważ nie sprawia mu już radości robienie ich. Cóż, Panie Garland, ja to bardzo czułem podczas seansu. Opowiadanie ciekawej historii to coś więcej niż obrazki i mądre cytaty co jakiś czas. Bohaterowie filmu nie powiedzieli nic nowego, wojna przedstawiona wcale nie jest taką grozą, jaką faktycznie mogłaby być. Jedyna lekcja – którą sam dobrze znałem wcześniej – płynąca z „Civil War”, jest moim zdaniem taka, że Druga Poprawka to bardzo szkodliwa rzecz i że ktoś w USA powinien mieć na tyle odwagi, by w końcu ją wykreślić z konstytucji i prawodawstwa.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Premiery streamingowe maj 2024



Facet z zasadami

Charlie Croker, potentat na rynku nieruchomości z Atlanty, z dnia na dzień staje w obliczu bankructwa. Próba ratowania imperium przed osobami chcącymi wzbogacić się na jego nieszczęściu prowadzi do konfliktu interesów na styku biznesu i polityki.

Premiera: 02.05

NETFLIX

The Big Cigar

Oparty na artykule Joshua Bearmana, „The Big Cigar” to niesamowita prawdziwa historia hollywoodzkiej rewolucji spotykającej się z rewolucją społeczną: to szalony kaprys założyciela Czarnej Pantery, Hueya P. Newtona, uciekającego przed FBI na Kubę z pomocą słynnego producenta Berta Schneidera w niemożliwie misternym planie, obejmującym fałszywą produkcję filmową, który idzie źle na całej linii.

Premiera: 17.05

Apple TV





Dark Matter

„Dark Matter” to opowieść o drodze, której się nie obrąto. Serial śledzić będzie losy Jasona Dessena (w tej roli Joel Edgerton), fizyka, profesora i rodzinnego mężczyzny, który pewnej nocy podczas spaceru po ulicach Chicago zostaje uprowadzony do alternatywnej wersji swojego życia. Cud szybko zamienia się w koszmar, gdy próbuje powrócić do swojej rzeczywistości pośród oszałamiającego krajobrazu życia, które mógł przeżyć.

Premiera: 08.05

Jim Henson Idea Man

Dokument przenosi nas do umysłu tego wyjątkowego kreatywnego wizjonera, od jego wczesnych lat lalkarskich w lokalnej telewizji po światowy sukces „Ulicy Sezamkowej”, „The Muppet Show” i nie tylko. Dzięki bezprecedensowemu dostępowi do osobistych archiwów Jima Howard przedstawia nam fascynujące i wnikliwe spojrzenie na osobowość człowieka, którego nieograniczona wyobraźnia zainspirowała świat.

Premiera: 31.05





MACIEJ SZAMOWSKI
[@czesc_macio](#)

Czy istnieje zła muzyka?

No właśnie, czy muzyka może być zła? Czy istnieje coś takiego jak niezaprzeczalnie zła forma podania nam dźwięków. Pewnie tak jak ja macie swoje zdanie, natomiast przyznam, że ostatnimi czasy dochodzę do wniosku, że zła muzyka po prostu nie istnieje. Istnieje za to muzyka, której najzwyczajniej w świecie nie lubimy.



Zanim jednak wytłumaczę się z tego poglądu, zasługujecie na wprowadzenie. Całe życie słuchałem muzyki rockowej, zaczynałem od zwykłego rocka, potem był progressive rock, metal, thrash metal itd. W pewnym momencie jednak skręciłem trochę w kierunku elektroniki czy hip-hopu. Nie traktowałem jednak tych gatunków nigdy jako coś złego, były to po prostu przykłady muzyki, która nie była lub była dla mnie. Wyjątkiem był jednak jeden gatunek: disco polo. No powiem wam, że szczerze disco polo nienawidziłem, uważałem, że jest to jedna z największych wad narodowych Polaków. Jak mogliśmy coś takiego stworzyć? Jak mogliśmy tego słuchać? Gdy grało disco polo, uciekałem, omijałem wszystkie imprezy z tą muzyką i starałem się zbudować wokół siebie atmosferę, że „to, to nie ja”. I tak też było bardzo długo. Jednak w pewnym momencie coś się we mnie zmieniło.

Nie jest tak, że słucham teraz disco polo, nie jest też tak, że chodzę na imprezy, gdzie gra właśnie taka muzyka. Zrozumiałem jednak, że tego typu utwory mają swoją konkretną rolę określoną w czasie i miejscu, kiedy są akceptowalne (może nie przeze mnie), ale przez większość ludzi. To urodziny, chrzciny, wesela, etc. Są sytuacje, w których ludzie, którzy z disco polo na co dzień nie mają nic wspólnego, po prostu szukają czegoś swojskiego do potupania. Wtedy całe na biało wchodzi nasze disco polo i majteczki w kropeczki.

Czy to oznacza, że u mnie się coś zmieniło? Niby nic, a w sumie wiele: przestałem czuć odrazę i nienawiść do wszystkiego, co z disco polo związane. Jest to coś, czego nie czuję, nie podoba mi się to i nie lubię się przy tym bawić. Natomiast nie jest to już coś, czego chciałbym zakazać. W końcu, jeśli dojdziemy do wniosku, że najwyższym celem muzyki jest rozrywka i dobra zabawa, to niech każdy się bawi przy tym, co lubi. Kim jestem, by czegoś ludziom zakazywać? I tak, stałem się hejterem disco polo, który nie ma gigantycznego problemu z tą muzyką. Po prostu jest to coś, czego nie lubię, nie jest dla mnie, ale rozumiem, czemu istnieje i umiem zrozumieć, że dla niektórych to najlepsza muzyka do zabawy.

Słuchajmy zatem tego, co chcemy, tego, co nam daje radość i sprawia, że mamy dobre wspomnienia i pozytywne emocje, nawet jeśli ktoś mówi nam, że jest to złe.

Nie ma czegoś takiego jak zła muzyka. Po prostu.





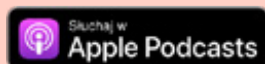
bo czemu nie?

PARTNER PODCASTU:

HAYB

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE





MAŁGORZATA ŁADA

Sałatka ziemniaczana z kiełbasą i jabłkiem



Skład:

- 4 duże ziemniaki
- 1 mała cebulka
- 2 jajka
- 2 średniej wielkości lub 1 duże kwaśne jabłko
- 2 ogórki konserwowe
- 150 g kiełbasy krakowskiej podsuszanej
- 3–4 łyżki majonezu
- łyżka drobno posiekanego koperku – niekoniecznie, jeśli ktoś lubi
- sól, pieprz

Ziemniaki myjemy i gotujemy w mundurkach w osolonej wodzie na półtwardo. Odcedzamy i odstawiamy do całkowitego wystygnięcia, a następnie obieramy i kroimy je w kostkę.

Jajka gotujemy na twardo. Po przestudzeniu obieramy i kroimy w kostkę.

Jabłka obieramy i usuwamy gniazda nasienne i również kroimy w kostkę.

Kiełbasę, cebulę i ogórki również kroimy w kostkę.

Wszystkie składniki przekładamy do dużej miski, dodajemy majonez, solimy, pieprzymy i dobrze mieszamy. Na końcu możemy sałatkę posypać koperkiem.

Sałatkę odstawiamy na 30–40 min do lodówki do schłodzenia.



iMAGAZINE

DOSTĘPNY NA

